



INSTYTUT
DZIEDZICTWA
SOLIDARNOŚCI

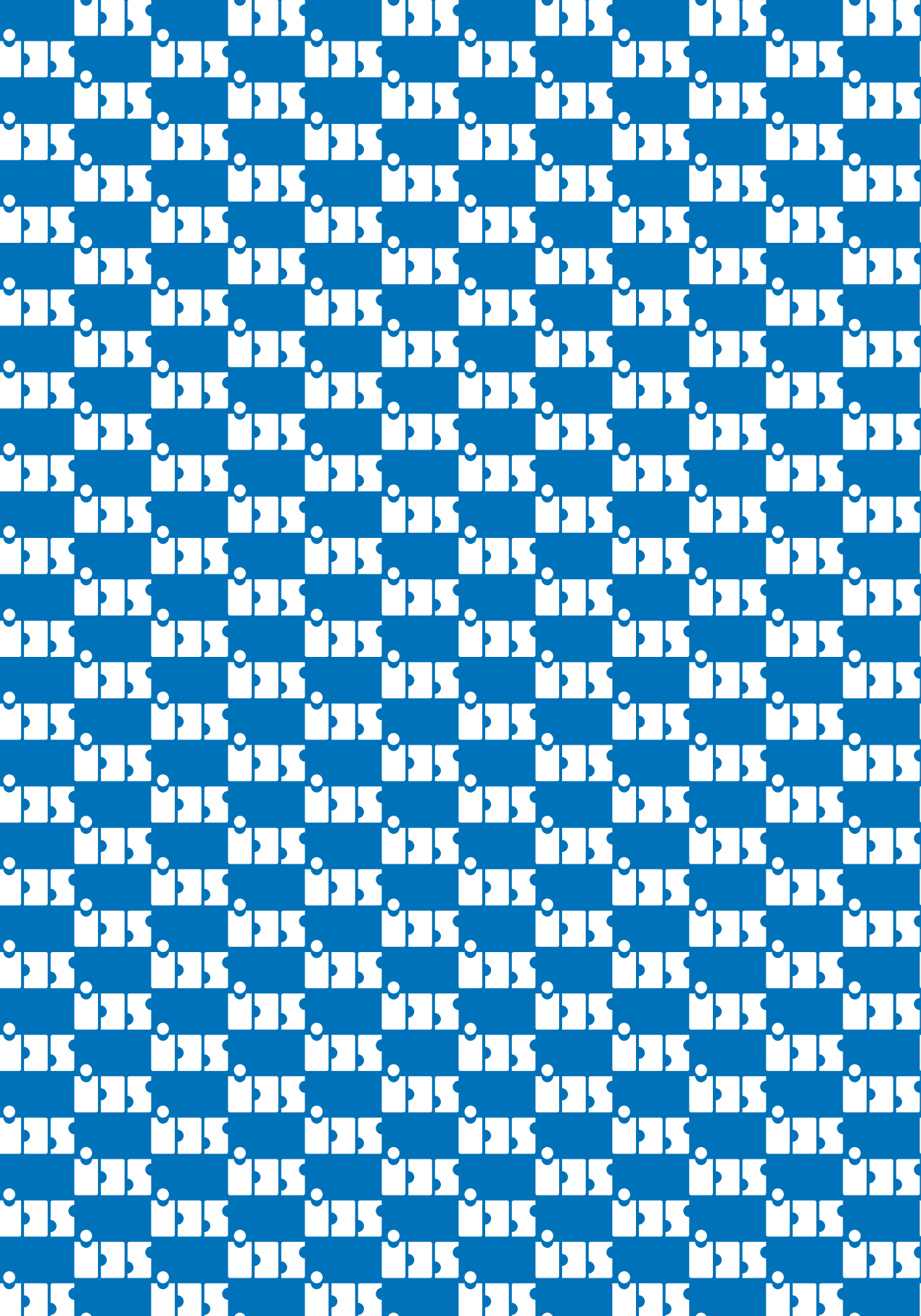
REDAKCJA | KRZYSZTOF NOWAK

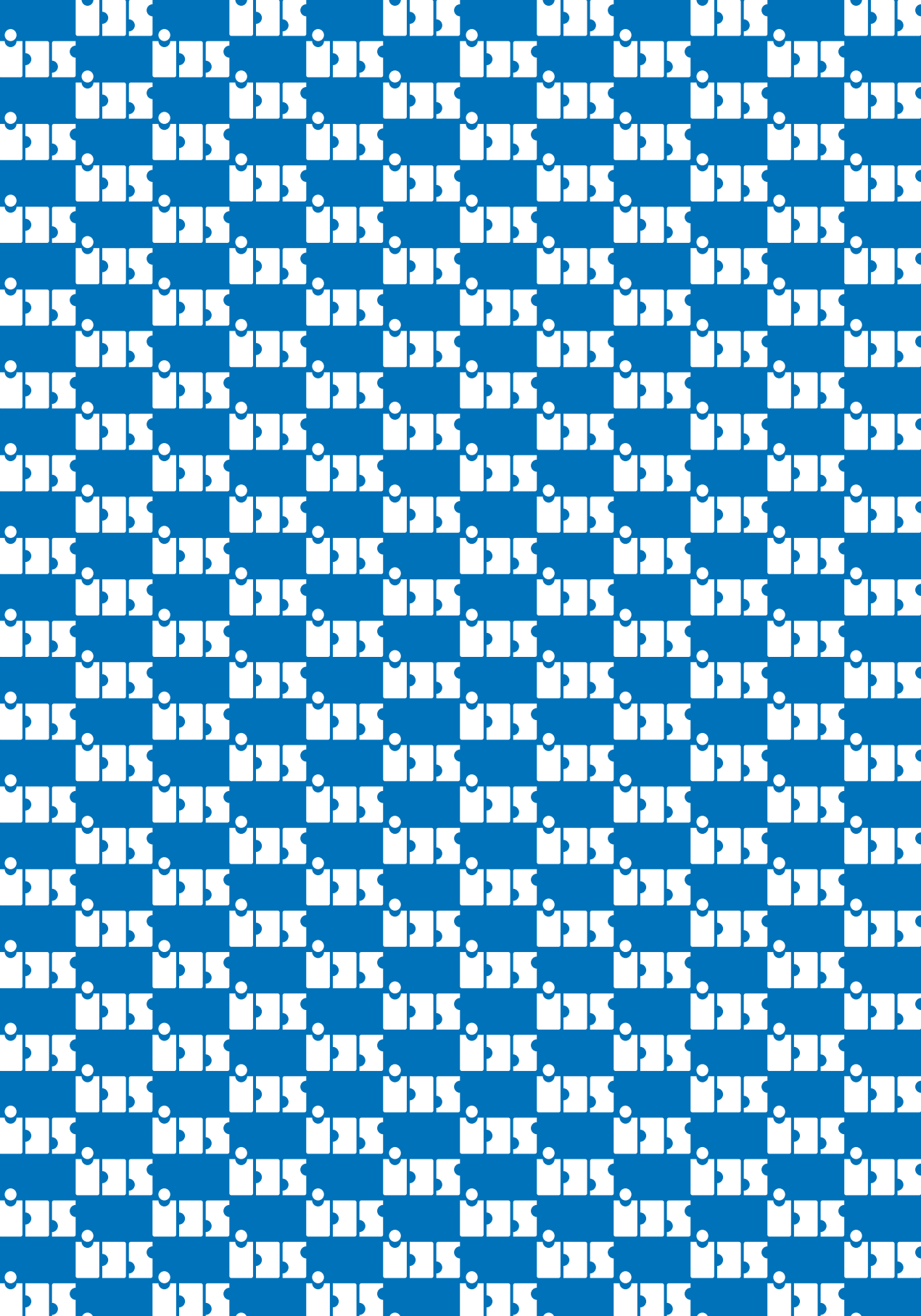
AL- FA- BET

SOLIDARNOŚCI

CZĘŚĆ 2 **KONSPIRA**

Andrzej HORUBAŁA | Paweł JANOWSKI | Piotr SEMKA |
Barbara SUŁEK-KOWALSKA | Mateusz WYRWICH





A L E X A N D E R S O L I D A R N O Ś C I

CZĘŚĆ 2 **KONSPIRACJA**

AL- FA- BET

SOLIDARNOŚCI

CZĘŚĆ 2 **KONSPIRA**



INSTYTUT
DZIEDZICTWA
SOLIDARNOŚCI

PROJEKT OKŁADKI
Agnieszka Popławska, Piotr Figura / SINDRUK

PROJEKT TYPOGRAFICZNY
Agnieszka Popławska

REDAKCJA
Krzysztof Nowak

KOORDYNATOR WYDANIA
dr Mateusz Ihnatowicz

WSPÓŁPRACA MERYTORYCZNA
Krzysztof Filip

SKŁAD I ŁAMANIE
Piotr Figura / SINDRUK

KOREKTA
Mirosław Wójcik

Copyright © Instytut Dziedzictwa Solidarności, 2024

WYDAWCA
Instytut Dziedzictwa Solidarności
Targ Drzewny 8
80-886 Gdańsk
tel. (+48) 888 804 327
e-mail: sekretariat@ids1980.pl
www.ids1980.pl

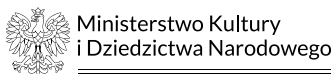
DRUK I OPRAWA
Zakład Poligraficzny SINDRUK, Opole

wydanie I
Gdańsk 2024

ISBN 978-83-971828-0-6 (pdf)

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

WSPÓŁZAŁOŻYCIEL IDS



SPIS TREŚCI

| | |
|---|-----------|
| Wstęp | IX |
| A | 1 |
| Agenci w kościołach | 2 |
| „Agitka” Anny Bojarskiej | 3 |
| Aluzje i przecieki | 4 |
| Apel kardynała Lustigera | 5 |
| Aresztowane sztandary | 7 |
| Audycja „Studia Gama” | 8 |
| B | 9 |
| Babcie | 10 |
| Biedaciesteczka | 10 |
| „Bluzg”, czyli życzenia dla generała | 11 |
| „brulion” | 12 |
| Brygida | 13 |
| Zbigniew Bujak | 14 |
| Butelki po mleku | 14 |
| Buty zabrał milicjant | 15 |
| C | 17 |
| CHUR, czyli Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy | 18 |
| Ciepły Bałtyk z soczewicą | 19 |
| Czujni | 20 |
| Czy pan się przedstawi? | 21 |
| D | 23 |
| Stanisław Danielewicz | 24 |
| Dręczenie kierownika budowy | 25 |
| Duszpasterstwo Ludzi Pracy | 26 |
| E | 29 |
| Elokwentne trepy | 30 |
| Emigracja ludzi Solidarności | 31 |
| F | 33 |
| Facet z szablą | 34 |

| | |
|--|-----------|
| Fachowcy z AK | 34 |
| Jacek Fedorowicz | 35 |
| G | 37 |
| Gdańska modlitwa na śniegu za górników z Wujka | 38 |
| Grupa Robocza Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” | 39 |
| H | 41 |
| Zbigniew Herbert | 42 |
| Hunta, czyli junta | 43 |
| Huta Warszawa | 43 |
| J | 45 |
| Jaruzel | 46 |
| K | 47 |
| Kapelan Solidarności – ksiądz Witold Andrzejewski | 48 |
| Kapelan w więzieniu | 52 |
| Kawały | 54 |
| Jan Krzysztof Kelus | 55 |
| Kłamstwami w Popiełuszkę, Zycha, Suchowolca i innych | 57 |
| Kolor butów | 59 |
| Konsolacja po Breżniewie | 60 |
| Król Kaszubów, Król Podziemia | 61 |
| Antonina Krzysztoń | 63 |
| Ksiądz Roman Idrzejczyk, kapelan Solidarności, kapelan prezydenta RP | 64 |
| Kwiaciarnia pechowca | 67 |
| L | 69 |
| Legendy | 70 |
| Lgnięcie | 71 |
| Listy proskrypcyjne | 72 |
| W | 73 |
| Magdalenka | 74 |
| Małe formy oporu | 75 |
| Marynarka Chrostowskiego | 76 |
| Matka Boska i Pałac Kultury | 78 |
| Matka Boska z Politechniki Warszawskiej | 80 |
| Tadeusz Mazowiecki | 82 |
| Mocny sen Wałęsy | 83 |

| | |
|--|------------|
| Kornel Morawiecki | 84 |
| „Myśli staroświeckiego Polaka” Piotra Wierzbickiego | 86 |
| N | 87 |
| Nasze gazety | 88 |
| Niezapomniane chwile | 90 |
| Nobel Wałęsy | 91 |
| Nowy Port | 93 |
| Nudziarze i megalomani | 96 |
| O | 97 |
| Obozy internowania | 98 |
| Obywatelska parafia | 100 |
| Okrągły Stół | 101 |
| Ormowcy | 101 |
| Orzech na Wawrzynach ksiądz Stanisław Orzechowski | 102 |
| P | 105 |
| Pielgrzymki papieskie i Solidarność | 106 |
| Pielgrzymki robotników | 107 |
| Plecakowcy i brodacze | 108 |
| Pogrzeb księdza Jerzego | 109 |
| Jan Polkowski | 111 |
| Powielacze w piwnicy – prasa podziemna | 113 |
| Prezenterzy w mundurach | 114 |
| Profesor na ambonie | 115 |
| R | 117 |
| Radio Solidarność | 118 |
| Mieczysław Rakowski | 120 |
| Ronald Reagan | 121 |
| Regionalna Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze | 122 |
| Revolucja Solidarności według świętych polskich | 125 |
| Rogatywki | 126 |
| „Rozmowy polskie latem roku 1983” | 127 |
| Rzucanie legitymacją | 128 |
| S | 129 |
| „Samorządna Rzeczpospolita” | 130 |
| Sesja na śniegu | 132 |

| | |
|---|------------|
| Skruszeni | 133 |
| Solidarność Walcząca | 134 |
| Stocznia Gdańska w grudniu 1981 r. | 135 |
| Strachy na Lachy – sfingowana agresja na Polskę | 136 |
| Strajk w maju i sierpniu 1988 r. | 138 |
| Strzebielinek | 140 |
| S | 141 |
| Świdnickie spacerory protestu | 142 |
| Świniak w gipsie | 143 |
| T | 145 |
| Teatr Ósmego Dnia | 146 |
| Telefony | 148 |
| Telewizyjne spacerory | 149 |
| Tu pierwsze Radio Solidarność | 151 |
| Tutaj nie pożyczysz | 153 |
| „Tygodnik Wojenny” | 154 |
| Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” | 159 |
| U | 161 |
| Uciszyć pamiętających | 162 |
| Ukrywanie | 163 |
| Jerzy Urban | 164 |
| Ursus, strajki | 165 |
| Uwalane ręce | 168 |
| W | 169 |
| Wakacje pod specjalnym nadzorem | 170 |
| Westerplatte i Zaspą | 172 |
| Wtyki w ścianie – techniki inwigilacji | 173 |
| Z | 175 |
| Zablokować chłopów – Solidarność rolników | 176 |
| Adam Zwierz | 178 |
| Noty o autorach | 179 |

WSTĘP

Oddając w ręce czytelników drugi tom „Alfabetu Solidarności”, mamy nadzieję, że spotka się on z równie życzliwym przyjęciem jak tom pierwszy, opisujący karnawał Solidarności z lat 1980–1981. Tym razem znany już czytelnikom zespół autorów kreśli panoramę epoki stanu wojennego w Polsce. Wojskowo-policyjny zamach stanu, który dyktatura komunistyczna PRL przeprowadziła w grudniu 1981 r., miał zatrzymać wolnościową rewolucję Solidarności i zapewnić utrzymanie władzy w rękach komunistycznej nomenklatury PZPR. Historie prezentowane w tym tomie opowiadają nam ludzie, którzy są zarazem świadkami i uczestnikami tamtych wydarzeń. Każdy z nich przez pryzmat osobistych doświadczeń oraz wiedzy, którą o tamtych czasach dziś mamy, przekazuje czytelnikom obrazy z rozmaitych, subiektywnych perspektyw, dzięki czemu znajdziemy w książce bogatą panoramę epoki.

Instytut Dziedzictwa Solidarności przywraca w tej książce pamięć o tragicznych i dramatycznych wydarzeniach stanu wojennego, a jednocześnie o ludziach, którzy ponieśli śmierć z rąk funkcjonariuszy reżimu Jaruzelskiego. O bezprawnie więzionych za wolnościowe i patriotyczne przekonania, skazywanych w sfingowanych procesach. O tych, którzy bezpowrotnie stracili zdrowie, miejsce pracy, szanse na sukcesy zawodowe lub szczęśliwe życie rodzinne. O tych, których zmuszono do emigracji, i o tych, którzy najlepsze lata swego życia spędzali w konspiracji, w warunkach izolacji i nieustannego lęku przed aresztowaniem i więzieniem.

Jest to także opowieść o ludziach Solidarności, którzy przetrwali stan wojenny, nie rezygnując z oporu wobec dyktatury. To opowieść o związku zawodowym, który przeszedł do podziemia, gdzie mimo prześladowań kontynuował działalność, kierując masowym oporem społecznym, nieustannie budując społeczeństwo obywatelskie oraz ruch narodowy na rzecz niepodległości państwa polskiego.

Dziś wiemy, że odwaga, wysiłek i ofiarność ludzi z konspiracji oraz tych, którzy im pomagali, nie poszły na marne. Upadek komunizmu po 1989 r. jest w ogromnej mierze ich zasługą. Zatem młodzi Polacy, korzystając dziś z owoców wolności i niepodległości, powinni pamiętać o ludziach, którym to zawdzięczamy. Każda historyczna wspólnota narodowa zachowuje pamięć o swoich bohaterach i szlachetnych czynach, którymi oni przysłużyli się Ojczyźnie.

Drugi tom „Alfabetu Solidarności” jest także źródłem inspiracji dla tych, którzy rozumieją, że wolność i niepodległość Polski nie są nam dane raz na zawsze. Są to wartości, których trzeba bronić, a bywa, że nawet o nie walczyć.

Krzysztof Nowak



Agenci w kościołach

Postawa hierarchii Kościoła katolickiego po narzuceniu Polakom stanu wojennego była niejednorodna. Przywódcy Kościoła w osobach biskupów nawoływali do unikania rozlewu krwi i otwartej konfrontacji. Starali się zachować spokój w społeczeństwie. Różnie to było odbierane przez działaczy Solidarności i całego podziemia patriotycznego. Siła autorytetu Kościoła była ogromna i w tamtych czasach wystawiona na naciski polityczne praktycznie z każdej strony.

Dziś już wiemy, jak wielka była skala spenetrowania środowiska kościelnego przez Służbę Bezpieczeństwa. Historycy piszą o bardzo wielu agentach w sutannach na koniec 1982 r. Wśród nich byli dziekani i wicedziekani, proboszczowie, wikariusze, zakonnicy, a do tego grona należy doliczyć też wielu agentów świeckich, studentów katolickich uczelni i działaczy społecznych. Komuniści lokowali swoich agentów we wszystkich wpływowych i niezależnych środowiskach, aby destabilizować, mieć informacje o planowanych akcjach i działaniach, wpływać na przywódców, przejmować kontrolę nad różnymi inicjatywami. Taka skala może dziwić, jednak należy pamiętać, że katolicy byli jedyną grupą społeczną w pełni inwigilowaną, obstawioną agentami z każdej strony. Żeby poznać realną skalę donosicielstwa w czasach komuny, trzeba pamiętać, że tajnych współpracowników w całym omawianym okresie i na terenie całego kraju było ok. 46 tys. w 1982 r., 70 tys. w 1984 r., a w 1988 r. blisko 100 tys.

Duchowni podejmowali współpracę zazwyczaj z tych samych pobudek, co świeccy. A więc byli donosiciele ideowi, kierujący się korzyściami materialnymi lub pomocą w karierze, ale także szantażowani utratą pracy, prześladowaniem bliskich, materiałami kompromitującymi w różnoraki sposób.

Prymas Józef Glemp zachowywał daleko posuniętą powściągliwość, umiarkowanie w wypowiedziach publicznych. Niższe duchowieństwo nie miało tak związanych rąk, czego przykładem były osoby ks. Jerzego Popiełuszki, ks. Sylwestra Zycha, ks. Stanisława Suchowolca czy ks. Stefana Niedzielaka, dominikanina Stanisława Kowalczyka, ks. Antoniego Kija, ks. Stanisława Palimąki – oni (najczęściej zamordowani przez „nieznanych sprawców”) zapłacili życiem za swoją wierność Chrystusowi, Kościołowi i polskiemu narodowi. Byli też tacy jak proboszcz Bolesław Jewulski z Połczyńska-Zdroju, który za wygłoszone kazanie i krytykę wprowadzenia stanu wojennego jako jedyny ksiądz w Polsce został aresztowany i skazany na trzy i pół roku więzienia (wypuszczony na wolność na Wielkanoc w 1982 r.).

Paweł Janowski

„Agitka” Anny Bojarskiej

To było czytelnicze wydarzenie! Z wypiekami na twarzy śledziło się losy Krzysztofa Paliwody, trzydziestolatka, tajnego współpracownika służb zafascynowanego zachodnimi lewackimi terrorystami. Tę książkę wydaną w Krakowie w małym formacie przekazywało się z rąk do rąk, bo była w niej energia i sex appeal. Wreszcie coś do czytania! I to do czytania wbrew opinii opozycyjnego salonu.

Był rok 1987. Jan Walc na łamach „Kultury Niezależnej” glanował Bojarską, zarzucał jej fascynację tajną policją, a sam odurzał się wspomnieniami karnawału Solidarności, gdy w tym czasie Czesław Kiszczak domykał operację szykowania opozycji do obrad Okrągłego Stołu. (O tym, że książka została wydana przy współudziale tajnych współpracowników SB, dowiedzieliśmy się później: posłowie do powieści napisał sam Lesław Maleszka, TW „Ketman!”).

„Agitka” to powieść o dwóch potężnych obsesjach podziemnej aktywności, tajnych służbach i wymieszaniu namiętności politycznych z erotycznymi. Tego dotychczas nie rejestrowała w takim natężeniu literatura pisana w stanie wojennym ku pokrzepieniu serc i krzewieniu nienawiści do wroga. A przecież podejrzania dotyczące agentów i donosicieli kładły się potężnym cieniem na niejednym naszym kombie. I to cieniem wielorakim, owocującym niesłusznymi pomówieniami, a z drugiej strony lekceważeniem sygnałów o infiltracji, wreszcie stosowaniem oskarżeń jako elementu gry o władzę w podziemiu.

A namiętności? – fascynacja brawurową odwagą chłopaków i dziewczyn, wzajemne popisywanie się i nakręcanie, ewidentne sublimacje. Bo nie tylko się szlachetniało, ale i piękniało w politycznym zaangażowaniu. Wpatrzone w siebie oczy dziewczyn, gdy spowity papierosowym dymem, nakręcony coraz bardziej, opowiadał o świecie podstawowych wartości i buncie, wzruszony sam sobą i ofiarą składaną na ołtarzu Ojczyzny. Nieodparta uroda rozpalonych dziewczyn podejmujących się karkołomnych straceńczych działań.

Bojarska wraz ze swym bohaterem, niezgrabotą zafascynowanym zachodnimi terrorystami, prowadzi nas przez paryskie salony kawiorowej lewicy, odwiedza więzionych terrorystów, sierpniową strajkującą Stocznię Gdańską, peerelowskie areszty, gabinety MSW i punkty kontaktowe dla zwerbowanych donosicieli.

„W polityce nie ma luzaków, mówiłam ci. Za każdym, kto działa, zaczynają się kręcić. Nie trzeba ich samemu szukać. Wystarczy zwrócić na siebie choć trochę uwagi, a już się zjawiają... Dadzą broń, drukarnie, wszystko...”.

Zadaje historyczne pytanie o sens walki, o to, czy nasze dążenie do wolności jest tylko sublimacją niespełnionych popędów, czy też czymś autentycznym. „Nienawiść niedołągi do własnej słabości – to potęga”.

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Przygląda się rudym brzydulom i okularnicom gotowym zabijać innych w imię idei. Patrzy na natchnionych brodaczy z egzemą, będącą być może przyczyną ich buntu, jednocześnie kpi z dziur wyciętych nożyczkami w swetrach u sytych lewaków. Pokazuje romantyzm i grozę ulicznych starć, przemoc policji i bezwzględność terrorystów.

Wyprzedza nasz czas, gdy prezentuje spotkanie lewackich weteranów, gdy wszystko już porozprowadzane jest przez tajne służby, gdy wszystko już jest zbrukane i dawnym bohaterom pozostaje tylko stymulowanie się amfetaminą i wymiana cynicznych uśmiechów.

To miało się potwierdzić i spełnić. I sceny, gdy pijani liderzy przyznawali się do swych podłości, by rano nie pamiętać drastycznych wyznań, i sytuacje, gdy dziewczyny myliły oddanie sprawie z oddaniem mężczyznom. A cynizm połowy lat 80. i korzystanie z usług ewidentnie ubeckich wtyk przy produkcji bibuły? A degrengolada ideowców z kieszeniami pełnymi dolarów?

Nie widział tego Tadeusz Konwicki, nie widział Marek Nowakowski, nie widział Janusz Anderman. Jednak to oni znaleźli się w kanonie literatury podziemnej, nie egzaltowana Bojarska, która pokazywała więcej, niż salon chciał dopuścić do świadomości.

Andrzej Horubała

Aluzje i przecieki

Jesienią 1981 r., począwszy od końca października, z rodzin milicyjnych i partyjnych przeciekały wiadomości o przygotowywaniu przez wojsko i MSW masowej akcji mającej zmiażdżyć ruch Solidarności. Mimo bardzo skrupulatnie zachowywanej tajemnicy służbowej członkowie tych rodzin, a szczególnie należący do młodego pokolenia, zauważali, że „coś się szykuje”. Coraz częstsze znikanie rodziców – głównie mężczyzn – na szkolenia, narady i służbowe operatywki musiało dawać do myślenia. Niekiedy ludzie Solidarności na własne uszy słyszeli aluzje i niedopowiedzenia, które były wyrazem rosnącej pewności siebie przedstawicieli aparatu PZPR. Mściwe aluzje w stylu: „Już niedługo tej waszej Solidarności” były rzucane w twarz niektórym szefom komisji zakładowych. Związek początkowo przyjął taktykę unikania nagłaśniania takich plotek. Obawiano się (jak można przypuszczać z perspektywy czasu – słusznie), że zwiększy to już i tak rosnące zmęczenie Polaków kryzysem. Z drugiej strony brak szerszej świadomości narastającego zagrożenia spowodował, że w wielu regionach nie ukryto na czas maszyn, powielaczy, papieru i nie wycofano z bankowych kont związkowych pieniędzy.

Piotr Semka

Apel kardynała Lustigera

Na wielkim, pustym i ponurym placu Defilad w straszny grudniowy wieczór – może już 20 czy 21 grudnia 1981 r. – usiłowaliśmy kupić dla naszego synka jakąkolwiek choinkę. Wśród kilku zagranicznych tirów hulał wiatr. Z szoferki jednego z nich zeskokczył wielki facet i szybko podbiegł do naszego otwartego samochodu: powiedział coś miłym głosem w nieznanym języku, wrzucił kartonowe pudełko, pomachał ręką i równie zręcznie wrócił do szoferki.

W pudełku była świąteczna paczka z holenderską flagą i piękną kartką na Boże Narodzenie: dech nam zaparło z wrażenia! Ktoś o nas myśli! Były kawa i herbata, kakao i puszki z sardynkami oraz rodzyнки i migdały, były suchary i herbatniki, a także ryż i konserwa mięsna. To wszystko oglądaliśmy już w domu z małym Karolkiem i ze łzami w oczach.

Jeszcze nie wiedzieliśmy, jak szeroko rozlała się w Europie akcja pomocy dla Polaków. Arcybiskup Paryża, kardynał Jean-Marie Lustiger, zresztą rodem z Będzina, zaapelował do swoich parafii, aby żadna warszawska parafia nie została bez pomocy parafii paryskiej. W rezultacie między parafią Najświętszego Zbawiciela z Warszawy a parafią św. Lamberta z Paryża zawiązały się takie kontakty, że kiedy tylko stało się to możliwe, młodzi paryżanie przyjechali na wakacyjny obóz w Mochnacze k. Krynicy, razem z grupą z parafialnego Przymierza Rodzin. W dodatku na granicy polscy celnicy – czy może esbecy – zarekwirowali im sprzęt turystyczny: namioty, śpiwory, kochery... wiadomo, wyposażenie terrorystyczne. Przymierze Rodzin pod wodzą dr Hanny Rembertowicz z Politechniki Warszawskiej i ks. prałata Bronisława Piaseckiego, proboszcza – a wcześniej ostatniego kapelana prymasa Stefana Wyszyńskiego – rozpoczęło działalność właśnie w 1983 r. i brało pod swoje skrzydła zwłaszcza te dzieci, które ze względu na internowanie rodziców czy utratę przez nich pracy były najbardziej zagrożone społeczną degradacją. Obóz był wielką atrakcją dla wszystkich, a ludzie z tych parafii tak się polubili, że jeszcze w 1992 r. przyjechała z Paryża wspaniała grupa przyjaciół od św. Lamberta. Ale było jeszcze coś więcej: Ela i Jérôme postanowili się pobrać i było polsko-francuskie wesele. Małżonkowie doczekali się pięciorga dzieci, najstarszy syn Stefan wstąpił we Francji do dominikanów, a jego prymicje odbyły się także w Polsce, w parafii Najświętszego Zbawiciela. Francuska lekcja pomocy przydała nam się bardzo, kiedy my z kolei rozpoczęliśmy pomoc dla parafii w Stryju, jeszcze w XX wieku i później – po 24 lutego 2022 r., gdy Rosja dokonała zbrojnej napaści na Ukrainę, sięjąc tam śmierć i zniszczenie.

Tymczasem w środowisku podziemnych dziennikarzy działały się fantastyczne rzeczy, choć nie ja powinnam o tym pisać, bo wychowywałam dzieci i zakładałam parafialną gazetę, a w tej konspiracyjnej prowadziłam tylko zagraniczne newsy. Koledzy zaczęli wyjeżdżać na zagraniczne ministypendia, na naukę dziennikarstwa w wolnym świecie, na zawiązywanie kontaktów i poszerzanie horyzontów. Jedną z fundatorek

A

B

była rodzona siostra bł. Piera Giorgia Frassatego – Luciana Frassati-Gawrońska, z jej hojności skorzystało wielu dziennikarzy z katolickiego świata, w niedalekiej przyszłości dziennikarzy odradzających się wolnych mediów.

C

D

Ale nie tylko oni wyjeżdżali! Okazało się, że są za granicą rodziny, które zapraszają dzieci z Polski na wakacje! Pojechał i nasz Karolek, z dwoma innymi ministrantami, samolotem do Bazylei – jako nieletni lecieli pod opieką stewardesy – na zaproszenie niemieckiej rodziny, która mieszkała tuż przy granicy ze Szwajcarią. Był to już rok 1988, a znajomość z tą miłą rodziną przetrwała długie lata. Jeszcze w 2002 r. Karol dostał od niej piękne ślubne życzenia! Solidarność zataczała naprawdę szerokie kręgi!

E

F

G

Barbara Sułek-Kowalska

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Aresztowane sztandary

Sztandary poszczególnych komisji zakładowych – najczęściej liczebnie większych, które było stać na taki wydatek – były fundowane ze składek pracowników należących do związku. Projektowane i wykonywane przez lokalnych artystów i rzemieślników były jednym z wielu świadectw oddolnej aktywności i szukania nowej tożsamości społecznej pod szyldem Solidarności. Treści i symbolika na nich występujące ukazywały dobitnie, że wartości głoszone przez Kościół katolicki, a zwłaszcza wiara w opiekę Matki Najświętszej tak bardzo obecnej w polskiej pobożności, były rozpowszechnione i zakorzenione w naszym narodzie pomimo wieloletnich działań komunistów, którzy za główny cel postawili sobie ateizację Polaków i zniszczenie Kościoła katolickiego.

Sztandary były pieczołowicie przechowywane w siedzibach komisji zakładowych, pilnie strzeżone i zabezpieczone przed zniszczeniem. Każda komisja mająca swój sztandar wyznaczała członków poczty, których przywilejem było trzymanie straży przy sztandarze podczas ważnych uroczystości i wydarzeń, takich jak wybory, zjazdy delegatów czy wspólnie przeżywane Msze św. za Ojczyznę.

Sztandary symbolizowały walkę o wolność, godność robotników, a jednocześnie nawiązywały w swej stylistyce do sztandarów polskich wojsk zasłużonych w wielu bitwach o niepodległość. Po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. zaczęły się masowe aresztowania działaczy Solidarności, ale – o czym się często zapomina – jednocześnie niszczone lub konfiskowano symbole związkowej walki i niezależności: sztandary. Wiele z nich zdołano ukryć, ale niejeden dostał się w ręce funkcjonariuszy komunistycznej Służby Bezpieczeństwa. Jednym z nich był sztandar komisji zakładowej NSZZ „Solidarność” w małym mieście uzdrowisku, w Połczynie-Zdroju (z jednej strony na sztandarze umieszczono symbol uzdrowiska, a z drugiej napis po przekątnej „Solidarność Połczyn Zdrój”) – w czerwcu 1981 r. poświęcił go bp Tadeusz Werno w półczyńskim amfiteatrze, był to pierwszy taki sztandar w tym województwie.

Ten sztandar, jak wiele innych, decyzją komunistycznych władz został aresztowany. Komendant zażądał dostarczenia sztandaru do Koszalina. Do koszalińskiego komisarza wojewódzkiego Mazurkiewicza odwołanie od decyzji dwukrotnie pisał Mieczysław Mischczak, przewodniczący komisji zakładowej Solidarności w uzdrowisku. Odwołanie okazało się nieskuteczne. Sztandar został zawieszony do Koszalina, ówczesnej stolicy województwa.

Dopiero gdy reżim Jaruzelskiego podjął decyzję o zawieszeniu stanu wojennego, zwłaszcza pod wpływem nacisków politycznych ze strony Stolicy Apostolskiej, powstała możliwość odzyskania sztandaru. W tych działaniach pomógł Marian Janowski, który napisał odpowiednie pisma i razem z przewodniczącym Mischczakiem udał się do Warszawy na ul. Kopernika, gdzie mieściły się magazyny, w których sztandary były przechowywane. Świadek wspominał, że aresztowanych sztandarów było ponad 100.

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Obaj panowie przywieźli sztandar do Połczyna-Zdroju i w czerwcu 1984 r., podczas uroczystej mszy św. – w rocznicę jego poświęcenia – sztandar ponownie powitano, po czym umieszczono w siedzibie komisji zakładowej NSZZ „Solidarność”.

Paweł Janowski

Audycja „Studia Gama”

W 1981 r. był to niezwykle popularny blok muzyczny w programie I Polskiego Radia, który nadawany był co tydzień w sobotę i trwał między godziną 23.00 a 1.00. Zazwyczaj był prowadzony przez najpopularniejszych prezenterów radiowej Jedynki. Sam byłem tego programu entuzjastą. I właśnie dlatego jednym z pierwszych sygnałów, który zaczął mi podejrzewać, że w sobotni wieczór 12 grudnia dzieje się coś dziwnego, był fakt, że „Studia Gama” nie było. Zamiast dziennikarzy muzycznych Sławomir Szof, dziennikarz serwisów radiowych, ograniczał się jedynie do podawania aktualnej godziny między nadawanymi bez żadnego komentarza piosenkami. Szof był wówczas uważany za jednego z bardziej zaufanych dziennikarzy ówczesnej władzy i w 1984 r. wyjechał na atrakcyjną placówkę korespondenta TVP i Polskiego Radia w Rzymie.

Piotr Semka



A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Babcie

Starszym paniom z odważnym sercem, które w stanie wojennym angażowały się w wyciąganie młodych ludzi z rąk zomowców, powinno się postawić pomnik. Pamiętam emerytki otaczające czołgi, które 13 grudnia 1981 r. wyjechały na ulice Gdańska. Odważnie patrząc w twarz żołnierzom, pytały: „Wy Polacy jesteście? Polacy? Polacy tak nie postępują”. Równie ważne były interwencje babć, gdy dostrzegały one zomowców legitymujących młodych chłopaków. Starsze panie podchodziły do milicjantów i przystępowały do słownego ataku: „Co się czepiacie chłopaka? Co wam takiego zrobił?”. Funkcjonariuszom nie bardzo było wygodnie znosić takie tyrady. Cała sytuacja wyprzewadzała ich z pewnością siebie i zdarzało się, że nie chcąc przeciągać niezręcznej sytuacji, oddawali dokumenty. Dla młodych chłopaków, którzy mieli ze sobą np. ulotki w torbie, takie nagłe zakończenie legitymowania bywało zbawieniem.

Piotr Semka

Biedaciasteczka

Zupełnie zapomniany został już specjał z pierwszych miesięcy stanu wojennego. Zimą i wiosną 1982 r. z rynku zniknęła nie tylko czekolada, ale nawet tzw. produkty czekoladopodobne, w których czekoladę zastępowano mieszanką kakao i mało szlachetnych tłuszczów spożywczych. Jak mus to mus – gospodynie wygrzebały stare przepisy, niektóre ponoć jeszcze z lat niemieckiej okupacji. Na bazie płatków owsianych, mleka, kakao i cukru wytwarzano dość prymitywne domowe ciasteczka. Dziś pewnie zachwyłyby mało kogo, ale wtedy zjadano je ze smakiem. Była w tym pewnie odrobina dumy z własnej zaradności.

Piotr Semka

„Bluzg”, czyli życzenia dla generała

Do dziś nie wiadomo, kto napisał ten fascynujący poemat. Powstał w pierwszych dniach stanu wojennego i doskonale wyrażał to, co czuła duża część Polaków, widząc na ekranie oblicze Wojciecha Jaruzelskiego. Tekst ten ocalał od zapomnienia wybitny aktor Emilian Kamiński, który po 1989 r. wydobyl gdzieś z domowych archiwów ulotkę z wydrukowanym tekstem utworu i w swoim kongenialnym wykonaniu uwiecznił go na dobre.

„[...] Ty farbowana świnio, marszałku kurewski,/ Chamie zbuntowany, zatęchła skle-
rozo,/ Gnoju zasmarkany, ty zdrajco ZOMOZO,/ Gnido zarzygana, jadowita mendo,/ Ty
kukło gówniana, kacapski przybłędo./ Tchorzu zafajdany, ropiejący strupie,/ Padalcu
rozdeptany, ty wrzodzie na dupie,/ Ty diabelskie łajno, ty głupi żołdaku,/ Ty kurwo
sprzedajna, ty ruski zupaku,/ [...] Ty pało gumowa, nędzny okupancie,/ Zakało narodu,
złamany palancie,/ Cuchnący pierdzielu, pełzająca glisto,/ Ponury skurwielu, czerwony
faszysto./ Ty sługo kremlowy, lokaju sowiecki,/ Ty zbóju wojskowy, pomioście radziecki,
Ty mówco obłąkany, nadęty bufonie,/ Za naród sprzedany piekło cię pochłonie”.

Cały poemat liczył sobie znacznie więcej wersów i dziś pewnie brzmi dość banalnie i wulgarnie. Ale w pierwszych miesiącach stanu wojennego odczytywany na spotka-
niach w czasie godziny milicyjnej doskonale pomagał odreagowywać szok 13 grudnia.

Piotr Semka

„brulion”

Tak jak demonstracje uliczne zostały nagle wzbogacone przez Pomarańczową Alternatywę, która niby to wspierała ruch protestu, ale jednocześnie wprowadzała ów protest w zupełnie inny wymiar, tak i literacki kwartalnik „brulion” pod wodzą Roberta Tekielego – niby był pismem podziemnym, ale jednocześnie kwestionował i poddawał obróbce bunt manifestowany w kulturze niezależnej.

Była druga połowa lat 80., opór podziemnej Solidarności dawno już się wypalił i młodzi z roczników lat 60. szukali nowego języka dla określenia się w świecie. Nie odnajdywali się w ramach skrojonych dla nich przez starszych mistrzów i choć przedrukowywali ich utwory i posiłkowali się ich nazwiskami w promocji, chcieli przemawiać własnym głosem. A ów głos coraz silniej brzmiał kontestacją zastanych podziemnych hierarchii.

„brulion” niby przypominał tradycyjne pismo niezależnej kultury, ale coraz więcej w nim było sygnałów, że czas na zmianę. Już w pierwszym numerze kwartalnika zapisało werdykt: „Tytuł Napisu Roku otrzymuje węgiel z ulicy Poselskiej (Kraków): STRZELAJ ALBO EMIGRUJ”. Ciosy rozdawali redaktorzy trochę na oślep, wychwytyjąc wszystko, co kwestionowało monolit kultury niezależnej. A to fragment wywiadu z Agnieszką Holland, protestującą przeciw moralizatorstwu Adama Michnika i ostracyzmowi Zbigniewa Herberta, a to wypowiedź Jerzego Giedroycia, że trzeba postraszyć Europę możliwością krwawej destabilizacji. Między wypowiedzi o poezji niezależnej wciśnięto wiersz Tadeusza Różewicza „Przyszli żeby zobaczyć poetę”.

Nieprzypadkowo leitmotiwem dyskretnie przewijającym się przez premierowy numer były wyniki badań socjologicznych świadczących o mikroskopijnym poparciu dla opozycji. Motyw ów pojawił się w relacji Radosława Smutnego z „Przeglądu Kabaretów Amatorskich” i zaowocował quasi-programową wypowiedzią. Przeciwwstawiając społeczny optymizm Jacka Fedorowicza (cały naród przeciw komunie) goryczy kabaretu „Koń Polski” Leszka Malinowskiego, autor stwierdzał, iż temu drugiemu „udało się powiedzieć to, co młodzi mają żyjącym dłużej do powiedzenia: żyjąc tu, jesteśmy winni”.

Młodzi mieli dość. Z Krakowa przez szczeliny między utworami dorosłych sączyło się nowe: rebeliancki głos niecierpliwych szczeniaków, którzy mieli dość bycia adiutantami starszych kolegów.

Andrzej Horubała

Brygida

Pamięć o ks. Henryku Jankowskim, proboszczu gdańskiej parafii św. Brygidy, jest dziś obciążona wieloma oskarżeniami o molestowanie seksualne. Wszystko to nie zmienia faktu, że od pierwszych godzin stanu wojennego to właśnie Brygida, stoczniowa parafia, była miejscem, w którym pomagano rodzinom ofiar. Tu spisywano listy nazwisk osób aresztowanych, tu dawano otuchę zdruzgotanym rodzinom i tu modlono się za internowanych. Bez tej nieformalnej ambasady solidarnościowej na terenie plebanii ileś żon, mężów i dzieci aresztowanych załamałoby się w otchłań beznadziei. Przez kolejne miesiące to właśnie poprzez Brygidę docierały do potrzebujących rodzin paczki z żywnością. To tu trwały dyżury prawników, którzy wyjaśniali rodzinom, jakie uprawnienia mają w postępowaniach sądowych. Msze św. za Ojczyznę, każdego 13. dnia miesiąca, budowały siłę duchowego oporu gdańszczan i szerzej – mieszkańców całej Polski. Po zwolnieniu Lecha Wałęsy z internowania plebania stała się miejscem, w którym przywódca Solidarności przyjmował zagranicznych gości. W czasie strajków w maju i sierpniu 1988 r. ks. Jankowski zorganizował, angażując dzieci mieszkające w domach stojących w okolicy stoczni, nieformalną służbę, tzw. kangurów. Dzieciaki znające każdą dziurę w płocie w okolicy stoczni potrafiły omijać patrole ZOMO i dostarczały na teren zakładu konserwy dla strajkujących.

Piotr Semka

Zbigniew Bujak

W legendzie Solidarności pozostanie jako utalentowany konspirator, który w noc stanu wojennego uniknął zatrzymania w sopockim Grand Hotelu, później przewodniczył Regionalnej Komisji Wykonawczej Solidarności Mazowsza i był członkiem Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność”. Parokrotnie udało mu się uniknąć zatrzymania w pierwszej połowie lat 80. Te jego ówczesne, budzące podziw wyczyny podnosiły wielu zwolenników „S” na duchu w najgorszym okresie zastoju w latach 1984–1986. Andrzej Gelberg, redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność”, opisywał kiedyś list, który przysłał jeden z czytelników – pisał on w nim o tym, jak w 1991 r. Zbigniew Bujak wywołał kontrowersje, wystawiając na sprzedaż na charytatywnej aukcji, organizowanej przez żonę byłego szefa MSW Marię Teresę Kiszczak, otrzymaną w latach stanu wojennego honorową legitymację członka młodzieżowych grup oporu Solidarności. W liście czytelnik z gorącością wspominał, jak w połowie lat 80. dzielił pokój w jednym z warszawskich urzędów z gorącym zwolennikiem podziemia, który entuzjazmował się odwagą Bujaka. Pewnego dnia ów fan podziemnego Robin Hooda przyszedł do pracy, otworzył gazetę i jego uwagę przykuła krótka notatka. Po jej przeczytaniu bohater wydarzenia przez chwilę patrzył w wyraźnym szoku w okno, po czym zgiął się w sobie i bezwładnie opadł na biurko. Jak się okazało, serce tego nieznanego z nazwiska zwolennika Solidarności nie wytrzymało szoku po przeczytaniu komunikatu MSW o zatrzymaniu Bujaka.

Piotr Semka

Butelki po mleku

W czasie zadym 16 i 17 grudnia 1981 r. demonstranci próbowali robić koktajle Mołotowa. Doskonale nadawały się do tego litrowe butelki od mleka zabierane ze skrzynek przy sklepach. Demonstranci wlewali do nich benzynę ściąganą ze stojących na ulicy pojazdów, zatykali je kawałkami papieru przesiąkniętego paliwem, podpalali i rzucali w jadące pojazdy milicyjne. Niespecjalnie szkodziły one milicyjnym transporterom. Do prawdziwych koktajli Mołotowa potrzebna jest specjalna mieszanka benzyny z olejem w odpowiednich proporcjach. Taki miks nie ścieka po pancerzu, tylko tworzy płonącą kałużę. Demonstranci tego nie wiedzieli i mimo najlepszych chęci lali do butelek tylko benzynę bez zagęszczacza. Benzyna, niestety, szybko ściekała z pancerzy transporterów. Oprócz efektownego łoskotu rozbijanego szkła na pancerzu nic z tego nie wynikało.

Piotr Semka

Buty zabrał milicjant

– Takie zimno, a ty w pantoflach? – witałam siostrę, która wreszcie dotarła do nas na Ursynów, tak głęboki, że za nami już tylko pola.

No owszem, wszyscy jesteśmy w szoku, ale przecież dwa dni wcześniej kupiła sobie jakimś cudem nowe piękne kozaki! Ale zostawiła je w biurku! W pracy! A pracowała, ku swej wielkiej satysfakcji i dumie rodziny, w mazowieckim Regionie NSZZ „Solidarność”.

Kiedy milicjantów, rozrzucających tam 13 grudnia „roku pamiętnego” zawartość wszystkich szuflad, zapytała o swoje buty, usłyszała, że ma się cieszyć, że sama jest cała i więcej pytań nie zadawać, bo żadnych butów nie ma i nie będzie.

Ale wiadomo, że nie to było problemem.

Hania dotarła do nas już po pierwszym wstrząsie, po naszym – jak się później w różnych opowieściach okazywało – klasycznym poranku z dzieckiem.

– Tato, nie śpij! Dlaczego nie ma teleranka, tato?! Wałąc w żółty telewizorek, próbowaliśmy wywołać w nim jakiś obraz, ale na ekranie tylko prószył śnieg niczym ten za oknem. Wreszcie ukazała się ponura twarz generała. Rzuciliśmy się więc do radia – strasznym głosem generał obwieszczał, że jest wojna. Do telefonu nie mogliśmy się rzucić nie dlatego, że i tak były w całym kraju wyłączone – ale u nas żadnych telefonów jeszcze nie było, nawet ulicznych automatów (o ile w roku 2024 ktoś jeszcze wie, co to były uliczne automaty telefoniczne).

Słuchałam generała, łzy same leciały mi po twarzy. Prerażony Karolek – dlaczego rodzice krzyczą, a mama płacze? – usiłował w trzyletniej głowie coś sobie układać.

Szok – mróz – śnieg – brak kontaktu ze światem. Jeszcze nic nie wiedzieliśmy o internowaniach, o ograniczeniach, o niczym. Co z Hanią? Potem się okazało, że „tylko” straciła pracę – na wiele lat, bo nikt nie zatrudniał takich jak ona. Pieczątką „S” w dowodzie osobistym sprawiła, że jeszcze w 1987 r., kiedy zachorował nasz tata, nie wpuścili jej do samolotu na trasie Warszawa–Słupsk. Że niby taka niebezpieczna? Czy że tak ją trzeba ukarać?

Kiedy się wreszcie u nas zjawiła, opowiedziała – także żądnym wiadomości sąsiadom – o pierwszych godzinach pierwszej doby stanu wojennego, o swoim sąsiedzie już w mundurze, o naradach prowadzonych w jej koleżeńskim gronie w kościele Najświętszego Zbawiciela, o pierwszych próbach samoorganizacji. I o próbach odzyskania butów!

Wracam do telefonu: co z tego, że nasi rodzice w Słupsku mieli telefon? Telefony przecież nie działają, telegramu wysłać nie można, benzyny nie ma, godzina milicyjna, więc jak jechać. Pociągi jeżdżą puste, bo nie wolno się przemieszczać. To co robimy? Przecież matka z ojcem – a byli niemłodzi – nie mogą zostać na Wigilię bez żadnej wiedzy o córkach: oni w Słupsku, one w Warszawie, w dodatku jedna z nich formalnie zatrudniona w Solidarności – i nie wiadomo, co się z nią dzieje.

A

B

Była to sprawa oczywista, że etatowy pracownik NSZZ „Solidarność” w żadną podróż – nawet z fałszywą delegacją – nie pojedzie. Czyli pojedzie druga córka, bo jako dziennikarka wprawdzie zawieszona, ale jednak reżimowej prasy powinnam sobie poradzić. Zaufani koledzy pomogli zorganizować jakiś papierek niby delegujący mnie do Słupska, ale i tak najważniejsi byli poczciwi kolejarze. Jak już wiele razy w polskich dziejach bywało – natychmiast stworzyli nieformalną sieć komunikacji i wsparcia. Nie pytali o żadne zezwolenia, nie sprawdzali, szukali połączeń, przekazywali najnowsze wiadomości.

Nie zrobiłam wtedy żadnych reporterskich zapisków po powrocie, wyprawa była mroczna, ponura, zimna. Nie zapisałam też emocji, z jakimi powitali mnie mama i tata – ich radości pomieszanej z ulgą. I niekończących się pytań i obaw.

Potem dostałam telegram z Paryża od mojej przyjaciółki Dominique Lagrange, która chciała przyjechać do nas na święta – z odsieczą duchową i żywnościową. Ale Polska była zamknięta! Jej telegram to był prawdziwy powiew wolnego świata! Tam o nas jednak wiedzą!

Barbara Sułek-Kowalska

L

ł

M

N

O

P

R

S

ś

T

U

W

Z

ż



CHUR, czyli Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy

Powstał w 1984 r. w krakowskiej parafii na Mistrzejowicach. Jego założycielem był zmarły w 1993 r. ks. Kazimierz Jancarz. Opatrzył on CHUR imieniem ks. prymasa Stefana Wyszyńskiego. Prymas Tysiąclecia, który w latach 30. XX wieku prowadził uniwersytet robotniczy, uważał bowiem, że edukacja jest podstawą rozwoju człowieka w wolnym kraju. W następnym roku powstały w Krakowie jeszcze trzy filie tej robotniczej uczelni. Ksiądz Jancarz uważał, że trzeba wykuwać kadry dla przyszłej niepodległej Polski. Uważał, że te kadry będą wykorzystane do budowy wolnej Polski. Parafia na Mistrzejowicach szybko stała się ośrodkiem skupiającym ludzi kultury i nauki. Uniwersytet w głównej mierze był przeznaczony dla robotników. Zajęcia prowadzili m.in. wykładowcy z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Uniwersytetu Lubelskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Polskiej Akademii Nauk czy Papieskiej Akademii Teologicznej. Program naukowy obejmował siedem działów: podstawy filozofii i teologii chrześcijańskiej, katolicką naukę społeczną, podstawy prawa, problematykę historii i kultury, psychologię i wychowanie, również zagadnienia ekologii. Studia te nie były uznawane przez jakiegokolwiek ówczesne władze świeckie. Prowadzone były na wzór studiów stacjonarnych. Słuchacze mieli indeksy, zdawali egzaminy, a nieobecność na trzech nieusprawiedliwionych sesjach powodowała relegowanie studenta. W wolnej Polsce niemal większość słuchaczy CHUR dostała się na studia i je ukończyła. Wielu z nich brało udział w działalności politycznej wolnej Polski, w pracach administracji państwowej, samorządu lokalnego, czy też będąc posłami lub senatorami. Kilku z nich w latach 90. z powodzeniem zajęło się pracą naukową.

Mateusz Wyrwich

Ciepły Bałtyk z soczewicą

– Ale co się robi z tą nieszczęsną soczewicą? – powtarzało się pytanie, kiedy dostawaliśmy paczkę „z darów”, jak to się wtedy nazywało, z parafii czy z komitetu pomocy lub od nieznanych nadawców z zagranicy, do których dotarły polskie adresy. W sprawie soczewicy i innych suszonych „warzyw ziem rzadkich” na ratunek ruszyły przedwojenne mamy i babcie, bo jeszcze pamiętały takie smaki! Soczewicę kazały moczyć całą noc! Ale nie wiedziały, że w 1982 r. to już była zupełnie inna soczewica, modyfikowana i łatwa w przygotowaniu! Rozgościła się w naszych kuchniach na dobre!

Nikt natomiast nie pytał, co się robi z olejem, bo to był cudowny dar. Olej, dużo cebuli i już jest co jeść! Olej, dużo cebuli i jajka – cóż za rewelacja! A jeśli jeszcze kartofelki – uczta po prostu!

Królowały też sery, i to zarówno z darów, może nawet holenderskie, jak i nietypowe sery amerykańskie, ciemnożółte, wręcz pomarańczowe. Amerykańskie – do nabycia w sklepach i to bez kartek. Sery znowu stwarzały pole do popisu, a rozpowszechnione wtedy zapiekanki mają swoich amatorów do dzisiaj.

Prawdziwą rewelacją tych paczek były rozpuszczalne czekolady i „łomy” czekoladowe, zwłaszcza że w sklepach królowały dość paskudne wyroby czekoladopodobne i nawet na kartkach był taki napis! Nawet dzieci się z tego naśmiewały! Pomysłowe Polki z tych „łomów” wyrabiały najlepsze na świecie „bloki”, a niektórzy uważają, że już nigdy potem nie było takich słodkości – nie mówiąc o poczuciu konspiracyjnej więzi. Nie każdy przecież miał dostęp do darów! Co innego rodziny internowanych, wyrzucenych z pracy czy po prostu biednych parafian, którzy nie mieli dla dzieci nic słodkiego. Ówczesne dziesięcioletki do dziś pamiętają zapach przypalanych rondelków, w których produkowało się domowe karmelki, bo o inne cukierki było raczej trudno!

A w darach były jeszcze angielskie biskwity dla niemowlaków, które po dodaniu paru łyżek mleka czy wody tworzyły pożywną papkę! Rewelacja mojego macierzyństwa w 1984 r., dwie minuty i gotowe, córeczka zajada, a matka może siadać do „Biuletynów Specjalnych” PAP! I brzoskwinie w puszcze – na ich widok nobliwe panie z Powstania Warszawskiego z uśmiechem wspominały smakołyki z UNRRY.

To, że w każdym domu pachniało bimbrem, to oczywiście mit. Choć rzeczywiście, mała instalacja do destylacji alkoholu – i upojny zapach, jakiego na pewno nie dawało się ukryć – stanowiła niezły pretekst do podejmowania ciekawych tematów z wpadającymi w odwiedziny niewtajemniczonymi „w podziemie” kuzynami, bezrobotnymi przyjaciółmi i wścibskimi sąsiadami. Ówczesna młodzież studencka pamięta za to „ciepły Bałtyk”, obrzydliwą wódkę na kartki, ale możliwą także do kupienia bez kartek!

Jednak zapachem, który pojawiał się w każdym domu, był zapach rosółu – bo co innego można było gotować, jeśli podstawowym mięsem dostępnym na kartki był tzw. woł. ciel. z kością. Oczywiście, nie ma takiego mięsa, ale na kartce widniał taki właśnie

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

napis – oznaczał wołowinę lub cielęcinę z kością, i był to często prawdziwy ochłap, z którego na pewno wychodził jakiś rosół. A potem – zmielony – był farszem do nieśmiertelnych pierożków, o ile było dość mąki, która jeszcze w 1983 r. też była na kartki. Fantastycznie opisała to Małgorzata Musierowicz w niemal kultowej wtedy powieści „Opium w rosole”, która ukazała się po licznych perypetiach w 1985 r. i została wprost rozszarpana przez żądne pociechy czytelniczki.

Resztki kartek wklejałam do encyklopedii, żeby stanowiły dowód dla dzieci i wnuków, że to wszystko działa się naprawdę.

Barbara Sulek-Kowalska

Czujni

Zazwyczaj wywodzili się jeszcze z pokolenia pamiętającego okupację niemiecką lub sowiecką albo z tzw. starej opozycji, która drukowała ulotki jeszcze w epoce Gierka. Wbrew entuzjastom i optymistom z obozu solidarnościowego, którzy byli przekonani, że władza nie odważy się podnieść ręki na 10-milionowy ruch, właśnie ta grupa opozycjonistów brała pod uwagę najgorsze. Już od października 1981 r. zakładali, że nastąpi czołowe zderzenie z władzą. Po cichu wycofywali część sprzętu z regionów Solidarności do tajnych skrytek, gromadzili zapasy ryżu papieru i przygotowywali w piwnicach profesjonalne lokale na drukarnie. Dzięki ich zapobiegliwości podziemny rynek ulotek mógł ruszyć dosłownie od pierwszego dnia stanu wojennego.

Piotr Semka

Czy pan się przedstawi?

Wezwali nas dopiero 21 lutego! Tak zwane weryfikacje dziennikarzy trwały zapewne od początku stycznia 1982 r., choć może i w grudniu zaczęli już – „oni”, czyli władza – podejmować pierwsze decyzje. Przecież telewizja jednak przekazywała jakieś wiadomości, częściowo działało radio i wychodziła „Trybuna Ludu”, organ partyjny. Tam zapewne dziennikarzy też weryfikowano.

Innych tytułów na razie nie wznawiano, choć „Życie Warszawy” już zaczęło pracować, *notabene* w towarzystwie komisarza, czyli jakiegoś nieokreślonego wojskowego, którego uprawnienia i zadania też były nieokreślone. Każdy zakład pracy musiał mieć komisarza!

Dziennikarze z tytułów wciąż niewznawianych mieli czas, żeby knuć – czyli rozmawiać, spiskować i planować różne przedsięwzięcia. O konspiracji należało rozmawiać rozważnie, o czym nie każdy z nas wiedział. Nie wszyscy się do niej rzucili, choć wydawało się, że jest masowa.

Nas, czyli zespół redakcyjny „Tygodnika Studenckiego »ITD«”, w którym w czasie karnawału Solidarności poczynaliśmy sobie jak na owe czasy całkiem odważnie, wezwali do komisji weryfikacyjnej na 21 lutego. A może to był mój i kilkorga jeszcze koleżanek i kolegów termin, a nie wszystkich? Telefony nie działały, więc i tak nie mieliśmy jak wymieniać wrażeń i poglądów. Skąd jednak wiedzieliśmy o terminie? Zapewne chodziliśmy do wydawnictwa dowiadywać się o dalsze losy – i o pieniądze.

Przez lata całe trzymałam notesik, w którym robiłam podczas tej rozmowy notatki – ku zdziwieniu komisji, której członkowie chyba nie bardzo wiedzieli, jak mi tego zabronić. Na wstępie poprosiłam ich, aby się przedstawili, choć dwóch znałam mniej więcej z widzenia, bo byli z naszego wydawnictwa!!! Jeden o mało z krzesła nie spadł – i zapytał, w jakim celu miałyby się przedstawić. Wyjaśniłam, że oni wiedzą, z kim mają do czynienia – i ja też chcę wiedzieć. Na pewno dodało mi to animuszu, ale proszę – minęło 40 lat i nie mam zamiaru podawać tych nazwisk, bo po co? I nawet nie wiem, czy mam jeszcze ten notesik.

Panowie najbardziej chcieli wiedzieć, jak mi się podobało w minionych miesiącach w naszym „ITD”. Bardzo mi się podobało, baaardzo! Doprowadziliśmy przecież do usunięcia partyjnego redaktora naczelnego, wybraliśmy nowego, rządiliśmy się sami i wydawaliśmy pismo zgodnie z naszymi pomysłami, relacjonowaliśmy zjazd Solidarności i ostrzegaliśmy, że to już ostatnia szansa PZPR.

- I to się pani podobało? – Baardzo!
- A jaką linię pisma widziałyby pani teraz?
- Właśnie taką jak dotychczasowa!

A

B

C

Kiedy się dowiedziałam, że zostałam zweryfikowana negatywnie, co oznaczało zwolnienie z pracy – poczułam satysfakcję i wściekłość zarazem. Jakim bowiem prawem ktoś taki decyduje za mnie, czy ja mam tu pracować, czy nie?!

D

Ogłosiłam, że będę się z nimi sądzić! A co! W czasie rozprawy, późną wiosną 1982 r., przydzielony już przez KC PZPR nowy redaktor naczelny – którym okazał się Aleksander Kwaśniewski, przyszły prezydent – twierdził, wijąc się w fałszywych uśmiechach, że zostałam zwolniona, ponieważ wiekiem już nie pasuję do zespołu „ITD”. Ha, ha!

E

F

Dwie pracujące koleżanki dziennikarki, Barbara Prater i Maria Supranowicz, narażając się na jakieś szykany, były moimi świadkami – i obie dzielnie oświadczyły, że są starsze ode mnie. Jeszcze raz im za to dziękuję.

G

H

A tekst na temat piszę po to, żeby oddać honor tym sędziom, którzy w owym strasznym czasie byli uczciwi i porządni! Bo wygrałam! Sąd przywrócił mnie do pracy!

I

J

Wprawdzie wydawnictwo – czytaj: partyjna decyzja – już tydzień później skierowało sprawę do wyższej instancji, ale wygrałam! W kolejnych instancjach, włącznie z Sądem Najwyższym w 1985 r., już tylko przegrywałam.

K

Barbara Sułek-Kowalska

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż



Stanisław Danielewicz

Był znanym dziennikarzem zajmującym się jazzem i muzyką rockową, którego felietony w „Dzienniku Bałtyckim” cieszyły się ogromną popularnością. I oto jego felieton zamieszczony we wspólnej mutacji „Dziennika Bałtyckiego” i „Głosu Wybrzeża” okazał się sensacją. Do czytelników dotarł tuż przed demonstracją solidarnościową 13 lutego 1982 r. i formalnie opowiadał o nowej płycie popularnej wówczas piosenkarki Amandy Lear, tyle że pierwsze litery akapitów tego tekstu układały się w hasło „Wrona skona”. W ciągu dosłownie połowy dnia gdańszczanie wyrywali sobie felieton Danielewicza z rąk. Odważny dziennikarz zapłacił za swoją odwagę dziewięcioma miesiącami więzienia. Po wyjściu z aresztu oczywiście nie mógł już pracować w państwowych mediach.

Piotr Semka

Dręczenie kierownika budowy

TVP w miesiącach stanu wojennego doczekała się specyficznego gatunku telewizyjnego. Miała pokazywać, jak bardzo stan wojenny jest nie tylko zmianą polityczną, ale i moralną, która uderza nie tylko w Solidarność, ale i w nieuczciwych ludzi władzy. Inicjatorem nowych porządków miały być wojskowe tzw. terenowe i miejskie grupy operacyjne, które składały się z oficera średniego szczebla, najczęściej porucznika lub kapitana, odwiedzającego w towarzystwie aktywistów z Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej miejsca, gdzie panował nieład. Scenariusz takiej nagłej inspekcji był zawsze taki sam. Ekipa telewizyjna towarzysząca wojskowym przybywała do bazy maszynowej lub jakiegoś przedsiębiorstwa miejskiego. Miejsce oglądał szef grupy i jeśli zauważał bałagan lub jakieś zaniedbania – pod okiem kamery surowo ochrzaniał kierownika instytucji. Atrakcją dla widza był nagrywany rzekomo spontaniczny dialog. Oficer deklarował zdziwienie: „No, panie przewodniczący zakładu, dlaczego tyle sprzętu rdzewieje bez zadaszenia?”. Złapany *in flagranti* szef placówki mógł tylko mamrotać, że „bezwłocznie usunie wszystkie niedociągnięcia”. Cały show kończył się surową reprimendą i zapowiedzią kolejnej inspekcji za pewien czas. Tak kreowano wizerunek ludowego wojska jako siły naprawczej państwa – czynnika ponadpartyjnego i jednakowo surowego wobec szkodników z Solidarności, jak i niższych szczebli władzy.

Piotr Semka

Duszpasterstwo Ludzi Pracy

Duszpasterstwo Ludzi Pracy, niekiedy nazywane Duszpasterstwem Ludzi Pracujących, swe nieformalne początki bierze w pierwszej połowie lat 60. XX wieku. To wówczas Kościół w Polsce, przygotowując się do obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski, zgromadził tysiące wiernych, którzy organizowali uroczystości milenijne na poziomie parafii, dekanatu bądź diecezji. Te spotkania wokół uroczystości procesyjnych wiązały się też z przygotowaniem duchowym. Stąd prowadzenie liczniejszych niż zazwyczaj rekolekcji, spotkania z zakonnikami czy misjonarzami z odległych, czasem dziewiczych krajów, prezentującymi różne formy ewangelizacji, często jakże inne od praktykowanych w polskim Kościele.

Ta aktywność kapłanów, jak i świeckich nie uszła uwadze komunistycznych władz. Zarówno Służba Bezpieczeństwa, jak też Urząd ds. Wyznań wzywały kapłanów na „spotkania” – co w jednym, jak i w drugim wypadku było nieformalnym przesłuchaniem. Podczas rozmów usiłowano przekonać ich o świeckim charakterze uroczystości milenijnych, a nie kościelnym. Zazwyczaj próbowano wyrzucić presję na duchownych, by zaniechali obchodów. Podobną presję wywierano na świeckich, grożąc wyrzuceniem z pracy, pozbawieniem prawa do przydziału mieszkania czy brakiem awansu zawodowego. Młodzież straszono wyrzuceniem ze szkoły lub uczelni, co niekiedy stawało się faktem w ramach komunistycznych represji.

Z początkiem września 1966 r., co można było odnotować jako kulminację bezradności komunistów w walce z Kościołem, Służba Bezpieczeństwa aresztowała na Jasnej Górze kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, wędrującą od diecezji do diecezji, od domu do domu przez dziewięć lat. Nie przeszkodziło to dalszej wędrówce Matki Bożej, choć w bardziej wymownej formie – pustych ram, bez aresztowanego obrazu.

Po obchodach milenijnych we wszystkich parafiach Polski Kościół postanowił zagospodarować aktywność wiernych, zarówno młodzieży, jak i starszych. Powstały więc przyparafialne grupy bez formalnej organizacji i nazwy. Często na swój sposób zakonspirowane. Skupiały się przede wszystkim wokół organizacji świąt kościelnych czy pielgrzymek, jak choćby tej największej na Jasną Górę lub też do lokalnych miejsc kultu. Ale też coraz częściej zapraszano księży z seminariów, profesorów społecznej nauki Kościoła – również z wykładami na temat chrześcijańskich związków zawodowych lub historii Polski – opowiadających o historii kraju poprzez zupełnie inne treści niż te, jakie można było spotkać w komunistycznych książkach czy medialnej propagandzie. Oczywiście i to nie uszło uwadze komunistów. Liczne prześladowania dotyczyły zarówno księży, jak i wykładowców czy słuchaczy. Coraz częściej, już od połowy lat 70., wokół parafii powstawały nieformalne grupy dyskusyjne, które omawiały tematy z zakresu historii i polityki.

W 1973 r. tę skupioną wokół parafii społeczność postanowiono sformalizować. Przy Episkopacie Polski powstała Komisja ds. Duszpasterstwa Ludzi Pracy. Jej przedstawiciele oddelegowano do pomocy duszpasterstwom.

Już od połowy lat 70. wokół parafii gromadzili się też ludzie związani z nielegalnymi antykomunistycznymi środowiskami politycznymi, co w doskonały sposób pomogło w organizowaniu się świeckim podczas strajków w 1980 r. Wtedy to setki kapłanów służyło pomocą w zbieraniu żywności dla strajkujących czy niosło posługę kapłańską. Na wielu plebaniach powstawały też zarysy postulatów czy też programów działania powstałych w 1981 r. niezależnych samorządnych związków zawodowych, od września zwanych Solidarnością.

Rozwój duszpasterstw w sposób niemal skokowy nastąpił we wspomnianym 1981 r. W szczególności zaś w stanie wojennym, gdy dla wielu pracowników, studentów, naukowców czy artystów kościoły i duszpasterstwa stały się schronieniem przed komunistyczną agresją – miejscem, gdzie tworzyła się nowa rzeczywistość, odradzał się polski naród, rodziła się nowa wspólnota. Tam robotnicy wspólnie z naukowcami i chłopami zawierali prawdziwe sojusze. Powstawały wielkie przyjaźnie trwające po dziś dzień. W duszpasterstwach, gdzie poznawano społeczną naukę Kościoła, rodziły się także zręby samorządności, która powstanie tuż po 1989 r. Duszpasterstwa były też łącznikiem pomiędzy niepodległościowym podziemiem lat 80. a światem ludzi, choć niedziałających, to jednak wspierających opozycję wolnościową i dążących do niepodległości. Duszpasterstwa niezwykle silnie rozwinęły się na wsi. Tu powstawał prawdziwy, a nie fałszywy, jak przedstawiali go komuniści, sojusz robotniczo-chłopski. Przyczynił się on nie tylko do wzajemnego, mentalnego poznawania, ale też ułatwił prozaiczną wymianę dóbr, owoców pracy rolnika i robotnika.

Z początkiem stanu wojennego kapłani prowadzący duszpasterstwa zostali „zamianowani” przez pracowników wielkich zakładów „kapelanami Solidarności”, a ich symbolem stał się zamordowany przez komunistów w 1984 r. ks. Jerzy Popiełuszko. To on w 1982 r. zorganizował niezwykłą Pielgrzymkę Ludzi Pracy na Jasną Górę, na wielkie, narodowe rekolekcje. Z hasłami m.in. wzywającymi do przestrzegania godności i praw człowieka, praw pracowników, nawołującymi m.in. do wolności związkowej.

W krótkim czasie duszpasterstwa dopracowały się swoich sztandarów i uczestniczyły z nimi w uroczystościach kościelnych czy narodowych, a zakazanych przez komunistów, jak 3 Maja czy 11 Listopada. Szczególnie było to widoczne podczas pielgrzymek Jana Pawła II do Polski. Duszpasterstwa wykształciły też tysiące ludzi myślących wspólnotowo, a nie klasowo, czyli po marksistowsku. Dla wielu z nich były szkołą nie tylko umacniania wiary, ale także patriotyzmu.

Dzięki niezwykle oddanym kapłanom, duszpasterzom ludzi pracy, kapelanom Solidarności opór przeciwko komunistom stał się zwyczajnym mimo olbrzymiej opresji komunistycznego reżimu.

Dziś nazwiska księży kapelanów Solidarności stały się symbolem oporu Kościoła przeciwko nieludzkiemu reżimowi, jakim był komunizm. Gdy mowa o historii

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Solidarności, trzeba zawsze pamiętać o tych duchownych, wśród których można wymienić nazwiska między innymi: Jerzego Popiełuszki, Edwarda Frankowskiego, Romana Indrzejczyka, Ignacego Tokarczuka, Stanisława Bogdanowicza, Stanisława Orzechowskiego, Czesława Sadłowskiego, Stefana Miecznikowskiego, Kazimierza Jancarza, Zbigniewa Kuzi, Huberta Czumy, Witolda Andrzejewskiego, Adama Sudoła, Stanisława Małkowskiego, Mariana Kopki, Jana Sikorskiego.

Duszpasterstwa Ludzi Pracy nadal istnieją w setkach czy nawet tysiącach parafii. Już kolejne pokolenia kontynuują dzieło swoich poprzedników, tak w swej duchowości chrześcijańskiej, jak i w patriotyzmie.

Mateusz Wyrwich

Elokwentne trepy

W pierwszych tygodniach puczu Jaruzelskiego kuratoria zaczęły zawiadamiać szkoły średnie o obowiązkowych spotkaniach młodzieży z komisarzami wojskowymi, którzy mieli wytłumaczyć przyczyny wprowadzenia stanu wojennego. Tacy komisarze pojawili się także w moim gdańskim III Liceum Ogólnokształcącym im. Bohaterów Westerplatte. Były to stare wygi, które nie dawały się bynajmniej wyprowadzić z równowagi zaczepnymi pytaniami młodych. Wręcz na odwrót. Z jakąś perwersyjną przyjemnością lubili, gdy ktoś zadawał konfrontacyjne pytania, ale wtedy zalewali słuchaczy drętwą retoryką z propagandowych okólników. O wiele skuteczniejsza była inna metoda – zablokowania takich spotkań. Od matki jednego z kolegów pracującej w wytwórni konserw rybnych otrzymaliśmy kilka litrów wnętrzości rybich, które postanowiliśmy jeszcze lepiej przyrządzić poprzez trzymanie ich na kaloryferze w piwnicy kolegi, aż dojrzeją. Wczesnym rankiem w szkolnej auli, gdzie miało się odbyć spotkanie z wojskowym komisarzem, rozlaliśmy pięć litrów tej wstrząsająco smrodliwej cieczy. Sala wypełniła się tak morderczym fetorem, że prelekcję trzeba było odwołać.

Piotr Semka

Emigracja Ludzi Solidarności

Szeroko zakrojona akcja nakłaniania internowanych i aresztowanych działaczy Solidarności do emigracji rozpoczęła się w marcu 1982 r. Władze stanu wojennego próbowały upiec kilka pieczeni na jednym propagandowym ogniu. Po pierwsze zmniejszyć liczbę osób przetrzymywanych za kratkami, co miało być argumentem w relacjach z państwami Zachodu, protestującymi przeciwko masowości represji, po drugie chciano w naturalny sposób pozbyć się z kraju wichrzycieli, po trzecie planowano wykorzystać takie wyjazdy do skompromitowania elit związkowej i przedstawienia ich jako ludzi, którzy stawiają wyżej osobistą wygodę ponad własne ideały. Jeszcze jednym wątkiem propagandy miało być wzbudzenie zawiści zwykłych Polaków, których często nie było stać na zagraniczny wyjazd, do działaczy Solidarności otrzymujących od władz PRL paszport na tacy. Jednych działaczy skłaniali do emigracji ich nadzorcy z obozów internowania, innych namawiały do tego rodziny, które dawały się przekonać, że trzeba korzystać z tej okazji, bo kolejna może się nie zdarzyć przez wiele lat. Bardzo często decyzja o emigracji dzieliła rodziny. Młodzi ludzie, którzy byli niezwykle dumni z tego, że ich ojciec został aresztowany, z chwilą gdy dowiadawali się o decyzji ojca albo matki o przyjęciu emigracyjnego paszportu od oficerów SB, niejednokrotnie przeżywali załamanie nerwowe. Bardzo często decyzja o emigracji była udziałem robotników, którzy przed Sierpnem '80 nie stykali się z opozycją, a dając się wybrać na wysokie funkcje związkowe, nie przypuszczali, że może się to wiązać z uwięzieniem lub utratą pracy. Jak podaje historyk Grzegorz Wołk na portalu Dzieje.pl¹, w ciągu pierwszych czterech miesięcy trwania akcji emigracyjnej do władz wpłynęło 700 podań od internowanych w sprawie emigracji, z czego tylko 30 rozpatrzono negatywnie. W gronie wyjeżdżających znalazło się 25 członków KK NSZZ „Solidarność” oraz 97 członków zarządów regionów. Było to sporo, ale jak wynika z dokumentów MSW, władze resortu liczyły na znacznie większą liczbę osób wyjeżdżających. Według danych MSW do końca 1988 r. PRL opuściło ponad 2000 internowanych i ok. 600 opozycjonistów. Po 1989 r. większość z nich nie wróciła już do Polski.

Piotr Semka

¹ <https://dzieje.pl/artykuly-historyczne/uchodzcy-jaruzelskiego>



A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Facet z szablą

W pierwszych tygodniach po 13 grudnia 1981 r. żelaznym punktem pierwszych stron wydawanych wówczas nielicznych gazet były komunikaty prokuratury wojskowej mające zastraszyć ludzi. Nosiły one zunifikowane tytuły: „Zatrzymania osób łamiących przepisy stanu wojennego”. Spośród wielu takich tekstów w pamięci utkwił mi jeden, który miał w sobie coś z ducha Samosierry. W Bydgoszczy emerytowany były ułan zaatakował szablą patrol zomowców. Wskrziesiciel szwoleżerskich tradycji otrzymał surowy wyrok więzienia, ale jednocześnie zapewnił sobie wdzięczność i sympatię milionów Polaków. O tym, jak mocne wrażenie zrobiła ta informacja na zwykłych Polakach, świadczy fakt, że wiele lat potem spotykałem przyjaciół, którzy po kilku toastach pytali: A pamiętacie tamtego faceta z szablą z pierwszych tygodni po 13 grudnia?

Piotr Semka

Fachowcy z AK

W 1981 r. ludzie z tzw. generacji Kolumbów (urodzeni ok. 1920 r.) liczyli sobie ok. 60 lat. Gdy tylko zaczęła się konspiracyjna epopeja, stali się bardzo cenionym punktem oparcia dla wszystkich ukrywających się i szukających miejsca na tajne drukarnie. Takich ludzi rozpoznawało się bardzo szybko. Niczego nie trzeba było im tłumaczyć i do niczego nie trzeba było ich zachęcać. Można powiedzieć, że czuli się odmłodzeni o 40 lat. Działali sprawnie i intuicyjnie. Wiedzieli, jak omijać esbeckie pułapki. Cierpliwie uczyli nas młodych, jak organizować struktury podziemne, jak sprawnie przesyłać informacje i jak gubić ogony. A co najważniejsze, promienieli dumą, że ich akowskie doświadczenia mogą się przydać kolejny raz.

Piotr Semka

Jacek Fedorowicz

Jeden z tych, który rozwał ustrój humorem. Humorem ostrym, walącym po nazwiskach kolaborantów, a jednocześnie przecież pokazującym, że nie ma zgody na kolejną normalizację, na kolejny wielki kompromis, fałszywe narodowe pojednanie i stabilizację.

Realizując swoje kasety audio i wideo, Jacek Fedorowicz jednocześnie pokazywał, w jaki sposób upadnie ustrój: to technologia unicestwi komunizm. Nie tylko „Gwiazdne wojny” Reagana, ale też rynek pirackich kaset i telewizja satelitarna.

Fedorowicz to był ktoś! W latach 70. spełniał się w Trójce w audycji „60 minut na godzinę”, nagrywając wielogłosową opowieść o przygodach zespołu dowodzonego przez Kolegę Kierownika, kapitalnie oddając nie tylko tępotę partyjnych aparatczyków, lecz także opresję inteligenta żyjącego w państwie rządzonej przez troglodytów. Epoka Gierka to był także czas sukcesów twórcy jako filmowego scenarzysty (współ ze Stanisławem Bareją – „Poszukiwany, poszukiwana” oraz „Nie ma róży bez ognia”, gdzie także zagrał główną rolę). No tak, nie ogarniam pamięcią wcześniejszych, w większości nierejestrowanych aktywności Fedorowicza: tworzenia nowatorskiego teatru Bim-Bom (cóż, pozostają mi okruchy klimatu w postaci „Do widzenia, do jutra” w reżyserii Janusza Morgensterna) czy udziału w programach telewizyjnych kreowanych przez Jerzego Gruzę, takich jak „Poznajmy się” czy „Małżeństwo doskonałe”.

W stanie wojennym aktywność pana Jacka, choćby w Prymasowskim Komitecie Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom przy kościele św. Marcina w Warszawie, świadomość, że jest z nami, że tam można go spotkać, przynosiła pewność, iż jest się po właściwej stronie. Były jego świetne rysunki z Lechem Wałęsą w roli głównej: wykpiwający komunistyczną propagandę „Portret nieznanego mężczyzny z wąsem (II poł. XX w.)” oraz „Tatry w czerwcu”, przedstawiający spotkanie papieża z Wałęsą w Tatrach w 1983 r., podczas którego towarzyszy im stado owiec-esbeków. Był też komiks „Solidarność – 500 pierwszych dni”, do którego rysunki i dymki stworzył Fedorowicz. Były wreszcie nowatorskie podziemne „Dzienniki Telewizyjne” z podmienioną ścieżką dźwiękową oficjalnego wieczornego serwisu, wyszydzającą komunistów i ich poputchików. Parskaliśmy śmiechem, oglądając sfingowany wywiad z Waldemarem Świrgoniem i Leszkiem Millerem o ćwiczeniu młodych partyjniaków w całowaniu zagranicznych delegacji, zaśmiewaliśmy się z rozmowy w „Pegazie” z Wojciechem Żukrowskim, który machając rękoma, opowiadał, jak niczym piesek służy komunistycznej władzy.

Żart Fedorowicza miał wielkie znaczenie: wyszydził rytuał „Dziennika Telewizyjnego”, przekłuwał balon nadętej propagandy, pokazywał idiotyzm wojskowych prób zaprowadzenia ładu i porządku, szydził z hołdów składanych generałom i tępych aparatczykom. Część dowcipów sprawiała wrażenie mało finezyjnego odreagowania, ale przecież nie tylko o subtelną sztukę wtedy szło. Chodziło o wolność, chodziło

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

o powiedzenie „nie” i o niewikłanie się w żadne układy z komuną. Liczył się bojkot, odmowa współudziału. I Jacek Fedorowicz, który wespół z milionami Polaków od 13 grudnia postawił na bezwzględne zerwanie ze złudzeniami na temat ustroju, był dla wielu znakiem nadziei i solidarności. Chodziło wtedy o tyle, tylko tyle i aż tyle.

Aha, było jeszcze kapitalne wcielenie Kolegi Kierownika z podziemnych nagrań i półlegalnych występów, forsującego swój scenariusz propagandowego filmu fabularnego, w którym jest mowa o desancie US Marines na Warszawę. „Ludność krzyczy przerażona: Amerykanie nadchodzą, ratunku! I rzuca się do ucieczki [...]”. No tak, śmieszyło to nas bezbrzeżnie. Nas z lat 80., nas wypatrujących Amerykanów jak zbawców, nas niedoświadczonych jeszcze przez Brygady Marriotta – amerykańskich doradców i agentów, którzy wyroili się dekadę później, by nas modernizować.

Andrzej Horubała



Gdańska modlitwa na śniegu za górników z Wujka

O masakrze w katowickiej kopalni dowiedziałem się w bardzo dziwnych okolicznościach. 16 grudnia 1981 r. od rana między tzw. Zieleniakami, czyli dużym wieżowcem w pobliżu Stoczni Gdańskiej, a dworcem PKP trwała regularna bitwa z zomowcami, która toczyła się aż do zapadnięcia zmroku. Około godziny 12 w południe ze zdumieniem zauważyłem, że nieco na uboczu pola walki kilku ludzi klęczy na śniegu przy wbitym w skamieniałą ziemię kilofie górniczym. Ktoś powiesił na nim obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Gdy przepchnąłem się przez tłum i zapytałem, skąd ta modlitwa, ktoś szepnął mi do ucha, że Wolna Europa podała informację o masakrze w stolicy Górnego Śląska. To modlitewne czuwanie na śniegu około 20 metrów od przesuwającej się linii walki gdańszczan z zomowcami wyglądało jak jakaś scena z filmu Andrieja Tarkowskiego o Andrieju Rublowie. Szukałem potem zdjęć tej wstrząsającej modlitwy, ale znalazłem tylko jedną fotografię bezpośrednio pokazującą kilof z przymocowanym do niego obrazem jasnogórskim. A przecież była to scena godna pędzla Jana Matejki.

Piotr Semka

Grupa Robocza Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”

Gwałtowne wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981 r. spowodowało naturalny podział w sytuacji działaczy Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”. Jedni działacze trafili do obozów internowania i aresztów, a inni zdołali uniknąć aresztowania i zeszedli do podziemia. Wśród osób internowanych po pewnym czasie wyłonił się jeszcze kolejny podział. Część liderów regionów i członków KKP uległa naciskowi władz i udała się na emigrację, a tzw. siódemka, czyli siedmiu czołowych działaczy związku, została oficjalnie oskarżona o próbę obalenia przemocą ustroju PRL, za co groziła nawet kara śmierci. Tę tzw. siódemkę Solidarności tworzyli: Andrzej Gwiazda, Seweryn Jaworski, Marian Jurczyk, Karol Modzelewski, Grzegorz Palka, Jan Rulewski i Andrzej Rozpłochowski². Władzom nie udało się doprowadzić do szybkiego procesu, gdyż wielu świadków, którzy mogli coś wnieść do tej sprawy, odmówiło zeznań. W 1983 r. władze PRL przyjęły nową kwalifikację – podjęcie przygotowań do obalenia ustroju, za co groziła surowa kara do 10 lat więzienia, ale już bez możliwości orzeczenia kary śmierci. Cała siódemka zdała egzamin ze śledztwa. Władzy nie udało się skłonić żadnego z działaczy władz związku do samooskarżania się według wyznaczonej propagandowo linii. Ostatecznie, po całej sekwencji prób stosowania różnych taktyk wobec zatrzymanych, wszyscy opuścili więzienia w ramach amnestii 26 lipca 1984 r. Zwolnieni, mimo bardzo serdecznego powitania ich przez istniejące już władze podziemnej Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność”, znaleźli się w specyficznej sytuacji. TKK uznawała się za jedyną legalną władzę i na dodatek w bardzo sprawny sposób współpracowała z przewodniczącym związku Lechem Wałęsą. Dla Andrzeja Gwiazdy i pozostałych z siódemki (oprócz Karola Modzelewskiego, który poszedł własną drogą) nie było miejsca w TKK. Dlatego stworzyli oni w kwietniu 1987 r. własne środowisko – Grupę Roboczą Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Uznali, że skoro w wyniku amnestii na wolności jest już większość działaczy statutowych władz związku sprzed 13 grudnia, to należy doprowadzić do wskrzeszenia dawnej KKP z wyjątkiem osób, które zdradziły związek. Wezwanie takie liderzy podziemia na czele z Władysławem Frasyniukiem czy Zbigniewem Bujakiem faktycznie odrzucili. Na brak porozumienia wpłynął też fakt, że Gwiazda, Jurczyk czy Rulewski jeszcze przed 13 grudnia należeli do zdecydowanych krytyków Lecha Wałęsy. Problemem Grupy Roboczej było to, że jej wpływy na terenie kraju były nierównomierne – najsilniejsze były w Łodzi i Szczecinie. Wobec braku porozumienia 20 września 1987 r. Grupa Robocza zainicjowała ogłoszenie listu dwudziestu dwóch członków dawnej Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, w którym

² Owa siódemka wraz z czwórką liderów KSS „KOR” (Jacek Kuroń, Adam Michnik, Henryk Wujec i Zbigniew Romaszewski) wchodziła w skład słynnej „jedenastki”, która została oskarżona o próbę obalenia socjalizmu w PRL, za co groziła kara śmierci. Odzyskali oni wolność dopiero w 1984 r. – przyp. wydawcy.

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

publicznie wezwano Lecha Wałęsę do zwołania posiedzenia KK (w składzie z 1981 r.). Lider Solidarności zignorował to wezwanie.

TKK NSZZ „Solidarność” kierowała podziemną działalnością związku aż do 25 października 1987 r., gdy na wspólnym posiedzeniu z powołaną przez Lecha Wałęsę Tymczasową Radą NSZZ „Solidarność” utworzono nowe kierownictwo pod nazwą Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność”.

Grupa Robocza uznała to za uzurpację. W końcu lat 80. stała się środowiskiem coraz bardziej krytycznie odnoszącym się do działań Lecha Wałęsy i KKW NSZZ „Solidarność” w kwestii rozmów z ekipą Jaruzelskiego. Tacy działacze Grupy Roboczej jak Andrzej Gwiazda, Marian Jurczyk czy Seweryn Jaworski będą należeć do zdecydowanych krytyków rozmów w Magdalence, a następnie negocjacji Okrągłego Stołu.

Piotr Semka



Zbigniew Herbert

Któż z nas nie powtarzał sobie „Bądź wierny. Idź”. Czy to niepewnie wchodząc na klatkę schodową w bloku, gdzie miało odbyć się konspiracyjne spotkanie, czy to biorąc plecak wyładowany bibułą, czy wyruszając na demonstrację. Ten cytat z „Przesłania Pana Cogito” obok innych kawałków, choćby tych z „Raportu z oblężonego Miasta” – „i jeśli Miasto padnie [...] on będzie niósł Miasto [...]”, ale też „a wokół huczy wspaniałe życie/ rumiane jak rzeźnia o poranku” albo: „łańcuchy tautologii parę pojęć jak cepy” – zaspokajały przecież potrzebę poetyckich zaklęć, które dodają siłę, przypominają o wyższych celach lub opisują zdeprawowany świat, wymierzając mu sprawiedliwość.

Zbigniew Herbert, poeta obdarzony niezwykłą umiejętnością skrótu, kondensacji, ale też puentowania utworów – poprzez nagłą zmianę tonacji, perspektywy, nagły sztych przecinający wyliczanki – dostarczał takich właśnie cytatów. A przy tym był poetą subtelnym, dowcipnym, stosownie złośliwym, rozbrajającym patos za pomocą ironii, zawieszającym sąd, czyniącym z poezji intelektualną i artystyczną grę.

„Raport z oblężonego Miasta” Herberta oraz pasująca go na poetę numer jeden eseistyka Adama Michnika, ale też postawa pisarza, który w stanie wojennym pozostał z nami w kraju, sprawiały, że przewidywania Miłosza na temat literatury stanu wojennego („Szlachetność, niestety”) się nie sprawdziły. Zresztą Miłosz przeczył jakby sam sobie, cytując w owym szkicu świetne wiersze Herberta.

A my? Mieliśmy doskonały tom „Raport z oblężonego Miasta”, owszem z paroma słabszymi utworami, ale któż nie pisze słabszych utworów, z fałszywie po latach brzmiącą frazą „Zbyt stary żeby nosić broń i walczyć jak inni –”, jakby podziemna Solidarność była ruchem zbrojnym, ale przecież mnóstwo wierszy było wspaniałych: „Potwór Pana Cogito” i inne utwory z tym bohaterem, a także „Do Ryszarda Krynickiego – list”.

A poza tym Herbert udzielił wywiadu Jackowi Trznadłowi do „Hańby domowej”! I przecież jest to najważniejsza rozmowa w całej książce. „Wypluć z siebie wszystko” – zamierza Herbert i to czyni, naruszając wielkie opozycyjne tabu, to znaczy wskazując na stalinowską przeszłość większości opozycyjnych literatów, wskazując na ich niskie motywacje, na ich zbrukanie. To był numer! Numer, od którego zachwiał się cały opozycyjny salon!

Andrzej Horubała

Hunta, czyli junta

Wojskową Radę Ocalenia Narodowego od razu zaczęto nazywać „huntą”. Ale że w języku hiszpańskim głoskę „h” zapisuje się za pomocą litery „j”, to ktoś pomysłowy wykorzystał tę pisownię do bardzo dowcipnego hasła: „junta juje”. Inny slogan, jaki zobaczyłem na murach, głosił: „Wojtek, nie wiem jak u historii, ale u mnie masz prze...ne”.

Piotr Semka

Huta Warszawa

Huta Warszawa była jednym z największych zakładów w stolicy, i najbardziej upartyjnionym. Komórka zakładowa PZPR, Służba Bezpieczeństwa i dyrekcja bardzo dbały, by nie dochodziło w zakładzie do – jak wówczas mówiły komunistyczne władze – „prze-stojów w pracy”. Mimo wszystko strajk w Hucie Warszawa zapoczątkował krótki protest płacowy w lipcu 1980 r., wkrótce zastrajkowali również robotnicy w Świdniku i Lublinie. Wśród organizatorów byli m.in. Zdzisław Szlendak i Wojciech Marlikowski. Strajk trwał 48 godzin i miał charakter głównie ekonomiczny. Dyrekcja huty szybko podniosła stawki godzinowe i protest został wygaszony. – Powołaliśmy z kolegami Komitet Rozdziału Funduszu Finansowego i tak to się skończyło – wspominał przed laty Zdzisław Szlendak. – Kiedy rozpoczęły się strajki na Wybrzeżu, agitowałem naszych pracowników, nawet w czasie dojazdu do pracy, w autobusach i tramwajach, żeby i u nas podjąć strajk. Mówiłem, że tam rozpoczęły się strajki, a my co? Największy zakład w Warszawie, a my? Jesteśmy tak słabi czy tchórzliwi?

Strajki w 1980 r. w hucie rozpoczęły się 28 sierpnia. Z samego rana 29 sierpnia, kiedy do pracy szła pierwsza zmiana, przy wejściu do zakładu agitowano na tablicach ogłoszeniowych, by rozpoczynać strajk na poszczególnych wydziałach. – Kiedy wszedłem na zakładową świetlicę, ludzie już wybierali delegatów z poszczególnych wydziałów – wspominał przed laty jeden ze współorganizatorów strajku inżynier Karol Szadurski. Ukonstytuował się już Komitet Strajkowy z Sewerynem Jaworskim na czele.

– Nie chcieliśmy zostawić Wybrzeża na pastwę losu, tak jak to się stało w 1970 r. Postanowiliśmy im przyjść z pomocą i rozpoczęliśmy strajk. Powołałem się na Wolne Związki Zawodowe, chociaż u nas ich nie było. Miałem klucz do pomieszczenia z nagłośnieniem wydziału. Cały wydział słyszał, co mówiłem. Odczytałem z kartki postulatory WZZ. Chodziło m.in. o możliwość stworzenia wolnych związków oraz, co było niezwykle ważne, by nie byli represjonowani ludzie, którzy zorganizowali strajk i strajkujący – mówił

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
Ś
T
U
W
Z
Ż

po latach przewodniczący strajku, a później przewodniczący NSZZ „S” w hucie. – Odwołałem się także do postulatów ze Stoczni Gdańskiej, które miałem z Radia Wolna Europa, ale tylko do kilku, nie wszystkie postulaty udało mi się usłyszeć, ponieważ RWE było zagłuszane. Podpisywaliśmy porozumienie 1 września.

W nocy do strajkujących przyjechał minister hutnictwa w komunistycznym rządzie Franciszek Kaim. Negocjacje trwały całą noc. Wśród kilku postulatów, jakie przedstawili hutnicy, było m.in. nierepresjonowane organizatorów, jak i uczestników strajku; uznanie wolnych związków zawodowych jako reprezentacji huty; a także zapewnienie bezpiecznego dotarcia delegacji huty do strajkujących w Stoczni Gdańskiej. Wśród załogi zebrano 2 tys. postulatów. Po wyeliminowaniu powtarzających się zgłoszono do Komitetu Strajkowego ponad 600.

– Podczas strajku załoga wystąpiła z propozycją odprawienia mszy świętej. Kiedy mieliśmy pierwsze posiedzenie Komitetu Strajkowego przyszło dwóch kolegów, którzy powiedzieli: „Seweryn, poprosimy księdza, żeby odprawił na jutro mszę świętą”. To było bardziej stwierdzenie niż prośba. Odpowiedziałem: „Naturalnie, idźcie do sąsiedniej parafii, by nam ją odprawił”. Poszli do parafii pw. św. Marii Magdaleny, ale tam ksiądz powiedział, że bez zgody prymasa nie mogą odprawić mszy, bo huta jest na terenie państwowym. Pojechali do prymasa, który nakazał swojemu sekretarzowi zadzwonić do proboszcza św. Stanisława Kostki, ks. Teofila Boguckiego. A dlatego do niego, bo był tamtejszym dziekanem. I ten zaproponował, by wyznaczyć ks. Jerzego, który był znany prymasowi z tego, jak bardzo bohatersko zachowywał się w czasie służby wojskowej, walcząc o różaniec – mówił przed laty Seweryn Jaworski. Msza odbyła się 31 sierpnia.

– Wcześniej już był przygotowywany ołtarz przez Alfreda Burakowskiego. Ksiądz Jerzy siedział na krześle i spowiadał, a kolejka do spowiedzi miała kilkanaście metrów – wspominał Jan Marczak, który wraz z Jackiem Lipińskim został oddelegowany „do poszukiwania” księdza. – W czasie mszy ksiądz miał bardzo natchnione kazanie. Nie takie *ex cathedra*, jak to się niektórym księżom zdarzało, ale było proste, ot takie do ludzi. Takim go wtedy zapamiętałem. Choć to nie była pierwsza msza podczas strajku, bo wcześniej odprawiał ks. Lucjan Kołodziej z parafii pw. św. Marii Magdaleny, ale msza z udziałem ks. Jerzego wywarła na mnie i na hutnikach największe wrażenie. Już wtedy było widać, że jest kapłanem charyzmatycznym.

Kiedy powstał NSZZ „Solidarność” ks. Jerzy Popiełuszko został członkiem honorowym Komisji Zakładowej NSZZ. W lutym 1981 r. został wybrany na kapelana NSZZ „S” Huty Warszawa.

Stan wojenny w Hucie Warszawa został przyjęty ambiwalentnie. Kilka wydziałów strajkowało. Hutnicy na innych podjęli pracę. Z 14 na 15 grudnia aresztowano blisko 150 osób. Ponowna próba podjęcia strajku się nie powiodła. Kilkuset pracowników podpisało tzw. deklaracje lojalności i wróciło do pracy.

Mateusz Wyrwich



Jaruzel

Nikt po 13 grudnia nie używał pełnej formy nazwiska twórcy stanu wojennego. Mówiło się „Jaruzel”, „Ślepiec” ewentualnie „Ślepowron”. Szefa WRON nazywano też „Zomozą” (od nazwiska uważanego wówczas za wcielenie zła dyktatora Nikaragui Anastasio Somozy). Mnie osobiście najbardziej podobał się przydomek „Spawacz” – od ciemnych okularów na oczach. W połowie lat 80. na rockowym festiwalu w Jarocinie występował nawet zespół Nocny Atak Spawacza.

Szef WRON przedstawiany jest dzisiaj przez jego obrońców jako postać tragiczna. Współczesny Hamlet, który musiał wybierać między sowiecką inwazją a posprzątnięciem po Solidarności. Tymczasem moja pamięć sprzed 40 lat przekazuje zupełnie inne powszechne społeczne wyobrażenie. Nam młodym Jaruzelski kojarzył się wówczas z nudnymi, wielogodzinnymi przemówieniami wygłaszanymi językiem tępego trepa. Szef WRON upodobał sobie wystąpienia na konferencjach podstawowych organizacji partyjnych PZPR w największych zakładach pracy typu Huta Katowice lub Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu. Wlokące się godzinami transmisje wypełniały telewizyjne wieczory. Co ciekawe, po 1989 r., gdy trafiłem do TVP na Woronicza, odkryłem, że po tych rytualnych spędach nie ma ani śladu. Jakieś usłużne ręce wyczyściły archiwa telewizyjne z tych nudnych nasiadówek. Mam wrażenie, że odbyło się to w ramach akcji budowania nowego image’u generała jako eleganckiego dżentelmena starej daty.

Piotr Semka



Kapelan Solidarności – ksiądz Witold Andrzejewski

– W 1965 r. Pan Bóg zrobił mi dowcip i powołał do kapłaństwa – wspominał przed laty ks. Witold Andrzejewski, proboszcz parafii pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia NMP w Gorzowie Wielkopolskim. – Było to tuż przed Bożym Narodzeniem. Jechałem do Łodzi. Zatrzymałem się u przyjaciół w Poznaniu. Piłem zimne piwo i zastanawialiśmy się nad tym, co zrobić, żeby podgryzać komunę. Nagle przyszła mi niepolityczna myśl do głowy, że Pan Bóg chce, abym został księdzem. Nie w kontekście komuny wcale. Zupełnie nie. Przez pół roku próbowałem Panu Bogu wytłumaczyć, że się pomylił. Bo przecież miałem sensowną robotę aktorską. Również popularność. Kilkadziesiąt ról za sobą. Jak na złość aktorstwo zaczęło mi już dobrze iść. W ostatnim sezonie zagrałem Gustawa Konrada w „Dziadach”. To dla młodego aktora było niebywale wydarzenie. Wyżywałem się aktorsko. Poza tym myślałem sobie, tyle młodych dziewczyn jest na świecie... A tu nagle Pan Bóg każe mi księdzem zostać. Do momentu wejścia do seminarium nie byłem pewien, czy dobrze zrozumiałem, co do mnie Pan Bóg mówi. Jeszcze miałem nadzieję, że mnie z seminarium wyleją. Ale byłem na tyle uczciwy, że nie prowokowałem. Mama nie przyjęła tego z wielkim entuzjazmem. Chciała być babcią. Później całymi latami współpracowałem z młodzieżą, która oblegała mamę jak pchły psa. Szczególnie dziewczyny z tymi swoimi zakochanymi problemami. Z czym ja miałem olbrzymią wygodę, bo one zamiast do mnie przychodziły do mamy. Wreszcie mama kiedyś mi powiedziała : „Witek, ja chciałam mieć wnuki, ale nie aż tyle”.

Ksiądz Witold Andrzejewski nigdy nie poznał swego ojca, który został zamordowany w 1940 r. w Charkowie. Osieroconemu chłopcu opowiadała o nim mama i krewni. O bohaterze zmagają 1920 r. i września 1939 r.

Im bardziej Witold dorastał, tym miał większą świadomość, że Polska nie jest wolna. Chociaż ojczyzna była dla Witka czymś świętym, chłopak z każdym rokiem wrastał w Polskę bolszewicką. W domu bez ogródek mówiono: „Komuniści to komuniści, ale trzeba się uczyć, kształcić dla Polski. By być jej godnym reprezentantem”. W domu i w rodzinie słowo POLSKA mówiono dużymi literami.

Czas seminarium przeszedł nieco zdziwionemu klerykowi tak szybko, jak kilka sezonów teatralnych. Tym razem nie od premiery do premiery, ale od adwentu do adwentu. Ale seminarium to też przypomnienie o polityce, bogactwo literatury patriotycznej, również toczący się proces przeciwko antykomunistycznej organizacji RUCH, której współzałożycielami byli bracia Czumowie. Spotkał się z nimi już wcześniej jako licealista w Łodzi. Wielkim autorytetem dla niego stał się o. Hubert Czuma, do którego chodził na katechezę. Spotkania z braćmi sprawiły, że wkrótce kleryk

Andrzejewski był wzywany do Warszawy na przesłuchania i straszony, że jeśli nie złoży zeznań zgodnych z oczekiwaniami SB, to będzie miał kłopoty. Nie złożył.

Podczas pobytu kleroika Andrzejewskiego w seminarium polityka jeszcze wielokrotnie zatrzęsła Polskę. W 1968 r. dwa wydarzenia okazały się dla niego ważne. Jedno związane z Marcem na uczelniach. Drugie to napaść ZSRS na Czechosłowację. Trzecim politycznym trzęsieniem, jakie przeżył, była zbrodnia dokonana przez komunistów na Pomorzu i Wybrzeżu. Nie zabiło to jednak marzeń młodego alumna o wolnej Polsce.

W 1972 r. Witold Andrzejewski otrzymał święcenia kapłańskie z rąk sługi Bożego biskupa gorzowskiego Wilhelma Pluty, wielkiej osobowości polskiego Kościoła. Rozpoczął posługę w gorzowskich świątyniach. Prócz codziennych obowiązków niebawem skoncentrował się na prowadzeniu pierwszego duszpasterstwa akademickiego, choć w Gorzowie była tylko filia poznańskiej AWF. Nie ukrywał, że wielkim wzorem był dla niego o. Hubert Czuma, który uczył, że oprócz formacji religijnej duszpasterstwo powinno prowadzić do kształtowania świadomości społeczno-politycznej, patriotyzmu, polskości – bez bolszewickiej mentalności, żłobiącej świadomość kolejnego pokolenia. Duszpasterstwo było postrzegane jako nieformalna grupa, więc studenci tym bardziej garnęli się do tego, co nieformalne. Ksiądz Witold postanowił pójść w czterech kierunkach: formacji wewnętrznej przez liturgię; formacji biblijnej, czyli teologicznej; formacji moralnej, czyli etycznej; oraz formacji społecznej – w jej ramach ksiądz zorganizował wykłady z nieklamanej historii Polski. Po latach ze środowiska duszpasterskiego powstała elita gorzowskiej inteligencji.

Z końcem lat 70. do gorzowskiego duszpasterstwa zaczęła docierać pierwsza bibuła wydawana przez KOR, jak również środowiska katolickie, m.in. lubelskie Spotkania. Prasę niezależną kolportowały założone przez ks. Andrzejewskiego grupy piątkowe, w ich skład wchodziło pięciu ludzi, według wzorców wojennego podziemia. Młodzież coraz lepiej odczytywała też rolę, jaką wskazywał jej polski Kościół: być elitą zdolną w przyszłości pokierować krajem, nadać ton polskiej nauce, kulturze. Cezurą w pracach duszpasterstwa dla ks. Witolda Andrzejewskiego stał się rok 1978, czyli wybór Karola Wojtyły na papieża.

Kazanie Jana Pawła II na placu Zwycięstwa w 1979 r. w Warszawie ks. Witold Andrzejewski przyjął jako wskazanie rodakom drogi. Szczególnie zaś stwierdzenie, że nie można człowieka zrozumieć bez Chrystusa. A także i to, że wszystkie drogi Kościoła prowadzą do człowieka, że Kościół jest misyjny, że nie jest dla siebie, ale dla ludzi, że nie chodzi o potęgę Kościoła, ale o dobro człowieka. Tego człowieka, który jest daleko. Ojciec Święty zmienił wówczas kierunki widzenia świata. To, co zapoczątkował II Sobór Watykański, Jan Paweł II w syntetyczny sposób pokazywał wiernym, szczególnie kapłanom.

Strajki na Wybrzeżu zastały ks. Witolda na trasie jasnogórskiej pielgrzymki. Wieczorami z namiotów, stodół, stogów i wiejskich chałup słychać było przedzierający się przez zagłuszarki głos lektorów Radia Wolna Europa, Głosu Ameryki czy BBC. Ludzie nasłuchiwali wiadomości ze Stoczni Gdańskiej. Niedługo czas później, zanim

A
B
C
D
E
F
jeszcze Solidarność została zarejestrowana, rozmawiano już podczas gorzowskiej konferencji kapłanów o pomocy dla niej. Wtedy to ks. Witold stanął z czapką i zaproponował składkę finansową. Księża zebrali dużą sumę na podstawowe potrzeby nowych związków zawodowych, zaś pierwsze spotkanie nieformalnej jeszcze struktury Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Regionu Gorzowskiego odbyło się na plebanii gorzowskiej katedry, w której wikarym był ks. Andrzejewski. Spotkanie na plebanii było dla ks. Witolda wielkim wydarzeniem emocjonalnym. Oto powstawała pierwsza za jego życia niezależna formacja, która bardzo dobitnie deklarowała więź z Bogiem, Kościołem.

G
H
I
J
ks. Andrzejewski, wielką radością było dla niego widzieć, jak tłamszona wolność nagle zakiełkowała.

K
L
Ł
M
N
O
P
Kiełkująca wolność nie trwała długo. Na kilka godzin przed wprowadzeniem stanu wojennego ksiądz został uprzedzony, że „coś się szykuje”. Nie wierzył w jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Mimo to przekazał informację do Zarządu Regionu Solidarność. Późnym wieczorem pojechał jeszcze do strajkujących studentów. Namawiał, żeby na wszelki wypadek zakończyli strajk. Tymczasem na ulice wkraczało już wojsko. Służba Bezpieczeństwa włamała się do Zarządu Regionu Solidarność. Ksiądz pojechał do dziekana Kurii. Tam już było kilku księży i świeckich. W czasie narady na plebanii księża opracowali bardzo krytyczny list, potępiający wprowadzenie stanu wojennego. Za akceptacją wikariusza generalnego i biskupa list został odczytany we wszystkich kościołach. Mimo stanu wojennego ks. Andrzejewski postanowił poświęcić sztandar „S” Elektrociepłowni. Następnego dnia Służba Bezpieczeństwa wezwała księdz na przesłuchanie. Straszili, że jeśli będzie wspierał Solidarność, to może mu się stać coś złego. Rozpoczęto również śledztwo w sprawie listu protestacyjnego księży.

R
S
Ś
Niemal od pierwszego dnia stanu wojennego zawiązywały się różne formy oporu wśród uczniów, studentów, robotników. Przy powstawaniu niemal wszystkich inicjatyw obecny był ks. Andrzejewski. Wśród jednych nastąpiła apatia, pośród innych wielka chęć działania bez względu na niebezpieczeństwo.

T
U
W
Z
Gdy ks. Witold odprawiał mszę świętą, to zawsze katedra była pełna. Cieszył się on wielką charyzmą. Na jego kazania przychodzili również ludzie, którzy nie angażowali się w działalność. Mieli jednak na tyle odwagi, żeby przychodzić do kościoła na Msze św. za Ojczyznę, czy też na uroczyste nabożeństwa związane z narodowymi rocznicami. Jak wspominają działacze podziemnej Solidarność, wokół ks. Witolda gromadziły się tłumy ludzi. Był instytucją samą w sobie, spajającą niemal wszystkich, którzy chcieli działać w legalnej, a później podziemnej Solidarność. Niebawem ks. Witold został oficjalnie uznany za duszpasterza Solidarność. Cotygodniowe spotkania ks. Witolda

z Duszpasterstwem Ludzi Pracy zaowocowały też wystawami plastycznymi, spotkaniami z aktorami.

Niemal od początku stanu wojennego na plebanii działała podziemna struktura Solidarności. Ksiądz nie ingerował w jej działania. Nic nie narzucał. Był raczej naszą podporą duchową, szczególnie w sytuacjach zagrożenia. Był człowiekiem wielkiego zaufania. Kiedy w środowisku pojawiał się ktoś nowy, ksiądz zawsze go sprawdzał. Jak podkreślają dziś byli działacze podziemia: „ksiądz to był nasz kontrwywiad”, a założone przez księdza Duszpasterstwo Ludzi Pracy stało się później substytutem związków zawodowych.

Mateusz Wyrwich

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Kapelan w więzieniu

Praca duszpasterska w więzieniach za czasów komuny była zakazana. Ateistyczni Sowieci i ich agenci w Polsce nie dopuszczali myśli, że Kościół katolicki może w jakikolwiek sposób być obecny w życiu społecznym, nawet w więzieniach. Jak tylko mogli, niszczyli jego obecność i autorytet. Dopiero wydarzenia z sierpnia 1980 r. i rejestracja Solidarności (10 listopada 1980 r.) otworzyły możliwość pracy księży w zakładach karnych. Wprowadzenie stanu wojennego zastało kapelanów więziennych w miejscach pełnienia przez nich obowiązków. Jednym z nich był ks. Tadeusz Pajurek. 13 grudnia 1981 r. o godz. 7.00 znalazł się wraz ks. Stanisławem Chomiczem pod więzieniem w Hrubieszowie (na Lubelszczyźnie, przy granicy z Ukrainą). Nie wpuszczono ich do środka, mówiąc: „Mszy nie ma – wojna”. Nie wiedzieli, co to znaczy. Wracając, zauważyli na ulicach miasteczka uzbrojone patrole wojskowe i milicyjne. Przed kościołem czekały płaczące kobiety, którym aresztowano mężów. Już od lutego 1982 r. do więzienia zaczęto zwozić aresztowanych działaczy Solidarności – pierwsza grupa liczyła 20 osób, wśród nich był Jerzy Kropiwnicki, późniejszy minister.

Na propozycję spowiadania więźniów w pokoju wychowawcy ksiądz odpowiedział odmownie – obawiał się podsłuchu, czym zyskał zaufanie osadzonych. Później spowiadał w świetlicy podczas głośnej modlitwy pozostałych (skutecznie zagłuszających rozmowę z księdzem).

Nawet niewierzący więźniowie korzystali z możliwości rozmowy z księdzem, prosili o Pismo Święte, obrazki Matki Bożej. Wszyscy przychodzili na niedzielną Eucharystię. Byli tacy, którzy w więzieniu przyjęli chrzest. Ksiądz, wykorzystując fakt, że nie przeprowadzano mu dokładnej rewizji, przynosił więźniom czasopisma, prasę podziemną, listy od rodzin. Wszystko ukrywał w szatach liturgicznych. Można powiedzieć, że podtrzymywał na duchu, utwierdzał wiarę i budził nadzieję. Naczelnik więzienia Jerzy Sokołowski próbował zakazać śpiewów podczas mszy świętej, ale ksiądz zagroził, że przestanie przychodzić do więzienia. Więźniowie tak polubili śpiewy, że także po liturgii śpiewali pieśni patriotyczne i religijne, a o godz. 21 Apel Jasnogórski przy otwartych oknach. Mieszkańcy okolicznych domów słyszeli ich śpiewy. Traktowanie więźniów politycznych jak przestępców wywoływało protesty – organizowano strajki głodowe, także w Hrubieszowie, gdzie został zakończony dzięki negocjacjom bp. Zygmunta Kamińskiego.

Żeby utrudnić rodzinom odwiedziny, zamknięto miejscowy hotelik – za to miejscowa plebania, ale także domy i mieszkania miejscowych (m.in. rodziny Bartników, Dołbów, Lemańskich, Onisków) zamieniły się w noclegownię. Spotkania z rodzinami mogły się odbywać tylko wcześniej rano w niedziele, dlatego na niedziele przygotowywano dary przywożone dla więźniów z całej Polski (życzliwość kapitana Tadeusza Solaka pełniącego niedzielne dyżury była kluczowa dla powodzenia tej dystrybucji).

W okresie stanu wojennego w zakładzie w Hrubieszowie było ok. 200 więźniów³ (wśród nich m.in. Witold Bawolski, Adam Cichocki, Jerzy Orzeł, Krzysztof Michałkiewicz, Wojciech Marciniak, Stanisław Pietruszewski). Ksiądz Pajurek wykonał jeszcze jedną misję – zawiózł list napisany na prześcieradle przez internowanych do papieża Jana Pawła II do Watykanu. W liście napisali oni m.in.: „Umiłowany Ojczy Świąty, wierzymy, że zakończy się okres przemocy i gwałtu, zbrodni i fałszu. Zerwane zostaną pęta niewoli tych, którzy pośród nas cierpią w więzieniach tylko dlatego, że dali świadectwo prawdzie, wytrwali z godnością na powierzonych im posterunkach pracy i służby społecznej dla Polski. Wierzymy [...], że wspólnie z Tobą na naszej ziemi będziemy prosić Chrystusa i Jego Matkę za przyczyną świętego patrona heroicznej wierności Maksymiliana Marii Kolbego – o solidarność całego narodu, o powrót do ojczystego domu, o nawrócenie marnotrawnych synów...”. W całej Polsce było ponad 100 kapelanów Solidarności, oczywiście z najświetniejszym bł. ks. Jerzym Popiełuszką na czele. Ksiądz Pajurek za swoją pomoc uwięzionym został w 1984 r. dyscyplinarnie usunięty z funkcji kapelana i do końca komuny nie mógł uzyskać paszportu.

Paweł Janowski

³ Zakład Karny w Hrubieszowie traktowano jako jeden z obozów internowania. Przeszło przez niego ok. 150 internowanych, natomiast wymienione niżej osoby, w tym Witold Bawolski, zostały tam osadzone w wyniku wyroków za działalność opozycyjną. Podana w tekście liczba 200 osób jest mało prawdopodobna – przyp. wydawcy.

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Kawały

Jedną z tradycyjnych cech Polaków jest natychmiastowe odreagowywanie sytuacji zagrożenia ulicznym humorem. Kawały na temat WRONY mnożyły się jak króliki. Przypominam sobie dwa dowcipy z grudnia 1981 r. Pierwszy opowiadał o zomowcu, który przychodzi do lekarza z siekierą w plecach. Lekarz pyta: – Teściowa? A zomowiec odpowiada: – Nie, Wujek. Kolejny dowcip opowiadał, jak to jeden z mieszkańców gdańskiego bloku wychodzi mimo godziny milicyjnej na spacer. Zatrzymany przez patrol tłumaczy, że mieszka w pobliskim bloku i wystarczy spytać gospodarza budynku. Jeden z zomowców idzie sprawdzić, po czym wraca i wściekły krzyczy: – Okłamałeś nas, gospodarz mówi, że tam wcale nie mieszkasz. Skatowany pechowiec dowleka się do bloku i na schodach wita go gospodarz domu: – Panie Władku, byli po pana. Ale oczywiście powiedziałem, że nikt taki tu nie mieszka.

Piotr Semka

Jan Krzysztof Kelus

Chudziutki socjolog zaplątany w wielką Historię, sądzony w procesie tzw. tatarników, zaangażowany w KOR-owską pomoc dla Radomia, wyrzucany z pracy, internowany. Piosenkami śpiewanymi marnym głosem, czy też na wpół deklamowanymi, przy totalnie amatorskim akompaniamencie własnej gitary przebijał się z komunikatem o beznadziei naszej PRL-owskiej rzeczywistości i własnej niezgodzie na taki świat.

Dzięki zrytej kasecie magnetofonowej trafił do mnie, bodaj szesnastolatka, w 1978 r. i stał się objawieniem. Tylko objawieniem nieco dziwacznym, pokracznym, artystycznie niepełnym, chromym, ale przecież poruszającym. Kasetą zawierała kilka utworów ze „Sztucznego oddychania” Stanisława Barańczaka, ale przede wszystkim mnóstwo piosenek autorskich.

Kelus po mistrzowsku przedrzeźniał oficjalną propagandę, wykrzywił oficjalne hasła, obnażał fałsz sloganów. Z jaką ekscytacją słuchałem „Piosenki o drugiej Polsce” z 1976 r., która nie tylko rozwłóczyła propagandowe hasła, ale i szydziła z uwikłanych ludzi: „Wierzący, co wierzą, że muszą być w Partii,/ bo żona, bo dziecko, bo raty, bo ma-luch,/ Partyjni co chyłkiem przyjmują komunię,/ bo bony na cukier, bo bony do rajy...”.

Przed oczyma przesuwwały się różne postaci: małżeństwo, które szczęśliwie weszło w posiadanie fiata 126p, wuj dzielący się mądrościami partyjniaka: „zamiast płynąć przeciwwietrznie, trzeba wietrzyć wiatr historii” i wreszcie kumpel idący po studiach do wojska z modlitwą: „Boże pozwól, bym potrafił, gdy ojczyzna mnie zawoła, zamiast piersi wypiąć dupę, bo ta nafta nie jest moja”.

Piosenki zdawały sprawę z więziennych przeżyć, fundując drogowskazy („Nie tyle ważne kiedy, ale jaki wyjdę stąd”), przenikliwie z lekką nutką resentymentu opisywały podłości, jakich w imię kariery dopuszczali się rówieśnicy.

Potem była jeszcze „Ballada o szosie E7” o czasach korowskiej aktywności, z hołdem dla żony: „Ta moja żona jest taka drobna/ czasem jest całkiem trudno uwierzyć,/ że przesiedziała w więzieniu dłużej/ niż ta wariatka Angela Davis...”.

Stan wojenny przyniósł kolejną porcję świetnych utworów: „Ostatnią szychcę na KWK Piast” do słów Jana Michała Zazuli, a także rzecz o Solidarności, czyli „Sentymentalną Pannę S.”, która została zgwałcona, a do tego – jak śpiewał Kelus – „nie był potrzebny żaden sąsiad/ rodzimej dosyć jest kanalii/ by wytłumaczyć nam na zawsze/ że nie jesteśmy w Portugalii”.

Zaś w songu będącym zabawą z Cohenem dzielił się kolejną geograficzną obserwacją, że „Wisła to nie Ganges”: „nad brzegiem siedz i czekaj, bez kija i bez wiosła,/ aż trup twojego wroga, w dół rzeka będzie niosła// czasami umiesz siedzieć, jak radził stary mędrzec/ czasami popchniesz rzekę, by popłynęła prędzej/ taboret, koc pod tyłkiem w więzieniu Białoleka i Wisła to nie Ganges”. Ano właśnie.

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
Ś
T
U
W
Z
Ż

Był Kelus nosicielem mitu człowieka prywatnego, wolnego, niewikłanego w politykierskie kalkulacje, żyjącego w Prawdzie. Należał do kategorii ludzi, którzy choć osobiście nieznani promieniają swoją prywatnością, ludzi, o których życiu chciwie dowiadujemy się z ustnych przekazów, z półsłówek, z napomknięć, których życie składamy sobie ze skrawków informacji wplatanych w ich wypowiedzi... I przecież świadomość, że gdzieś żyją, że gdzieś czują, że gdzieś sensownie starają się zachować, była dla nas i źródłem pociechy, nadziei, i punktem odniesienia.

Andrzej Horubała

Kłamstwami w Popiełuszkę, Zycha, Suchowolca i innych

Oszczerstwa komunistycznych kłamców, na czele z Jerzym Urbanem – rzecznikiem rządu w okresie stanu wojennego, sprowadzały się do zarzucania duchownym katolickim „siania nienawiści”, „podżegania do rewolucji”, podrzucano do ich mieszkań materiały wybuchowe lub mające skompromitować w inny sposób. Najważniejszym celem kłamliwej propagandy było osłabienie wiarygodności Kościoła katolickiego. Księża zaszczuwano i oczerniano publicznie, a oni nie mogli się publicznie bronić. Jednym z takich przykładów jest decyzja prokurator Anny Jackowskiej z 22 września 1983 r. o wszczęciu śledztwa w kierunku przestępstwa z art. 194 kk, jakoby: „przy wykonywaniu obrzędów religijnych, w wygłaszanych kazaniach nadużywał wolności sumienia i wyznania w ten sposób, że permanentnie oprócz treści religijnych zawierał w nich zniesławiające władze państwowe treści polityczne [...], że te władze posługują się fałszem, obłudą i kłamstwem, poprzez antydemokratyczne ustawodawstwo niszczą godność człowieka”. Za takie przestępstwo groziło 10 lat więzienia.

Za mówienie prawdy komuniści wsadzali do więzienia i niszczyli dobre imię ludzi. Na ich celowniku znaleźli się przede wszystkim księża niezłomni, tacy jak Stanisław Suchowolec (1958–1989), autor kazań patriotycznych. Z jego inspiracji w Suchowoli – w rodzinnej parafii ks. Jerzego Popiełuszki powstała izba pamięci i symboliczny grób zamordowanego przez komunistów męczennika. Był także wikarym w Dojlidach i kapelanem białostockich struktur KPN (Konfederacji Polski Niepodległej), a od 1988 r. także w Fabryce Przychodów i Uchwytów w Białymstoku. Był nieustannie śledzony, represjonowany na wiele różnych sposobów, kilkakrotnie pobity, jego samochód był kilka razy celowo uszkodzany – liczone, że zginie w wypadku. Zginął, ale w jeszcze bardziej dramatyczny sposób, w niewyjaśnionych w pełni do dziś okolicznościach. Oddał życie na plebanii. Oficjalnie zatruł się czadem, który ktoś umyślnie podpałił.

Błogosławiony ks. Jerzy tymi słowami po raz ostatni zegnał się ze swoją świętobliwą matką: „Mamo nie martw się, bo gdyby, nie daj Boże, coś mi się stało, to przecież Staszek mnie zastąpi”. I tak też się stało. W anonimowych listach grozono mu, że „zdechnie jak Popiełuszko”. Ksiądz Stanisław zginął kilka lat później. Tym razem mordercy lepiej przeprowadzili swoją akcję – skutecznie zatarli ślady i nie pozostawili świadków. Mężczyzna i kobieta, których widziano na plebanii, zniknęli i nigdy nie zostali zidentyfikowani.

Innym księdzem niszczone przez kłamstwa komunistów i zastraszanym był Sylwester Zych (1950–1989). Bardzo aktywny duszpastersko (zainicjował wieszanie krzyży w szkołach w Tłuszczu) i patriotycznie. Od sierpnia 1980 r. odważnie wspierał dokonujące się w Polsce zmiany. Otwarcie potępił wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Udostępnił swoje mieszkanie na spotkania młodzieżowej organizacji Siły

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Zbrojne Polski Podziemnej w Grodzisku Mazowieckim. Został aresztowany po wypadku, podczas którego jeden z członków wspomnianej organizacji postrzelił milicjanta. Ksiądz był torturowany i zastraszany – osadzony w więzieniu w Warszawie. Skazano go 8 września 1982 r. na cztery lata więzienia – Sąd Najwyższy podwyższył wyrok do sześciu lat. Zakazano mu sprawować mszy św. i duszpasterzować wśród więźniów (na dziewięć miesięcy zamknięto go w izolatce). Po ogłoszeniu amnestii i wyjściu na wolność 10 października 1986 r. nadal popierał Solidarność i środowiska aktywne społecznie. Wielokrotnie grożono mu śmiercią. W marcu 1989 r. został dotkliwie pobity, próbowano go upoić alkoholem. Został zamordowany w niewyjaśnionych okolicznościach – jego okaleczone ciało znaleziono w Krynicy Morskiej 10/11 lipca 1989 r. Choć był abstynentem, próbowano zrobić z niego pijaka. Do dziś nie znamy dokładnego przebiegu wydarzeń. Kłamstwem o alkoholizmie niszczone jego imię także po śmierci. Odór tych pomówień unosi się do czasów współczesnych.

Trzecim księdzem, którego komuniści próbowali zniszczyć kłamstwami i groźbami śmierci, był Stefan Niedzielak (1914–1989), najstarszy z tego grona, który służył jeszcze w czasie II wojny światowej w Armii Krajowej. Był kurierem abp. Adama Sapiehy i kapłanem organizacji Wolność i Niezawisłość. Przez całe życie podtrzymywał wśród wiernych ducha wierności Bogu i Ojczyźnie. W latach 80. organizował sanktuarium Poległym i Pomordowanym na Wschodzie przy kościele św. Karola Boromeusza w Warszawie. Był głównym celebrazem corocznych Mszy św. Katyńskich, a w 1988 r. współtworzył stowarzyszenie Rodzina Katyńska i wspierał repatriantów ze Wschodu. Przez wiele lat prześladowano go i zastraszano, kilkakrotnie go pobito. Pozostał niezłomny, a tego komuniści nie zdzierzyli i zamordowali ks. Stefana u progu odzyskania niepodległości 20 stycznia 1989 r. – w jego mieszkaniu na plebanii. Oczywiście sprawców nie wykryto, śledztwo umorzono. Próbowano z niego uczynić „politykiera”, ale kłamstwa komunistów nie złamały i nie zniszczyły jego pięknej postaci.

Paweł Janowski

Kolor butów

W pierwszych dniach stanu wojennego na ulicach Gdańska jedną z kluczowych umiejętności stało się rozróżnianie patroli wojskowych od zomowskich. Moro, jakiego używało LWP, różniło się tylko lekkim odcieniem od nieco ciemniejszych mundurów polowych milicji. Dlatego o wiele lepsze było zerkanie na kolor butów. Wojskowi mieli buty brązowe, a zomowcy czarne. Różnica była istotna. Wojskowi przechadzali się w kilkusobowych grupach z karabinami na plecach, ale jak mogli, unikali bezpośrednich interwencji. Zomowcy dla odmiany dyszelili nienawiścią i byli zawsze chętni do przyczepienia się do kogoś.

Piotr Semka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Konsolacja po Breżniewie

Wiadomość była niespodziewana i nie do końca wiarygodna, przede wszystkim dlatego, że wszystkie wiadomości z Kremla były nie do sprawdzenia – tam zawsze mówili to, co chcieli, „Jak za cara Mikołaja! Jak za cara Piotra!”, napiszę za poetą⁴. Teraz zresztą też tak się dzieje.

Ale jednak wiadomość została powtórzona raz i drugi: Breżniew nie żyje.

Może rzeczywiście? Może jednak będzie jakaś zmiana?

Był 10 listopada, dzień ponury nie dlatego, że listopad – to też – ale dlatego, że był rok 1982, stan wojenny trwał i trwał, nie wyglądało to wszystko wesoło, naprawdę nie było z czego się cieszyć. A tu taka wiadomość!

Dla nas, ówczesnych młodych i bardzo młodych ludzi, Leonid Breżniew był przywódcą znenawidzonego Związku Radzieckiego – wtedy prawie nikt nie mówił „sowieckiego”, tylko najstarsi ludzie, przedwojenni jak mój tata. A i tak uważałam to za dziwactwo, niech mi Bóg wybaczy. Otóż Breżniew rządził niemal od zawsze, podczas gdy panował dopiero od 1964 r. Krążyło o nim mnóstwo dowcipów, zwłaszcza w ostatnich latach powszechnie naigrawano się z jego starości (a przecież nie miał nawet 80 lat!) i z jego sklerozy (z braku miejsca nie przytoczę w całości mojego ulubionego „dorogaja Indira Gandhi”, kiedy potwornie stary – jak mi się wówczas wydawało – Breżniew wita Helmuta Schmidta, ale na pomiętołonej karteczce, którą wyjął z kieszeni, ma napisane „dorogaja Indira Gandhi” i tylko to potrafi powiedzieć). Te dowcipy, co tu dużo mówić – okropne, były jednak naszą nadzieją, że kiedyś to wszystko naprawdę się zawali.

Na razie jednak postanowiliśmy z mężem, że zrobimy z tej okazji przyjęcie, bo trzeba przecież uczcić ten pierwszy powiew wolności, która wraz ze śmiercią tyrana błysnęła gdzieś na horyzoncie. Mieszkaliśmy w malutkim bloku – zaledwie dziesięć mieszkań na czterech piętrach – i zaprosiliśmy wszystkich sąsiadów, naiwnie sądząc, że wszyscy mają do tego podobny stosunek.

Ha! ha! ha! Ale na pewno było dużo wódki! I szampan!

Barbara Sułek-Kowalska

⁴ Jacek Kaczmarski, *Czastuszki o pierestrojce*, 1987

Król Kaszubów, Król Podziemia

Ksiądz Hilary Jastak był na liście do zamordowania w rozkazach Służby Bezpieczeństwa. Niemal od początku objęcia parafii pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni przez całe swe kapłaństwo był szykanowany. Po raz pierwszy aresztowany w 1950 r. jako dyrektor regionalnej Caritas za odczytanie z ambony listu Episkopatu na temat likwidacji Caritas. Aresztowano również jego matkę i kilka innych osób z najbliższego otoczenia księdza. Ale nie bał się, wiedząc, że staną za nim ludzie. Ubecy nie wykonali zbrodni na księdzu, bali się bowiem, że za księdzem staną właśnie parafianie. Od końca lat 40., kiedy został proboszczem parafii pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni, do 1984 r., kiedy przestał nim być, otrzymał ponad 500 wezwań na przesłuchania – na milicję, do Służby Bezpieczeństwa czy Urzędu ds. Wyznań. Wbrew zakazom komunistów udało mu się wybudować kościół, który został konsekrowany w 1966 r. Dostał bowiem parafię bez świątyni.

Kim był, skoro okazał się tak niebezpieczny dla komunistycznych władz? Wyświęcony w 1941 r. został kapelanem AK. Później także kapelanem honorowym Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. W następnych latach m.in. Honorowym Prałatem Jego Świątobliwości, Kanonikiem Honorowym Kapituły Archikatedralnej Gdańskiej, Honorowym Członkiem Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Grudnia 1970 w Gdyni. Obdarzony został honorowym tytułem komandora, a także uhonorowany ponad 20 orderami i odznaczeniami, w tym Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (w 1995 r.) i pośmiertnie – Krzyżem Wolności i Solidarności.

Był przede wszystkim niezwykle oddanym kapłanem, który zawsze znajdował czas dla innych – podkreślają bliscy, mówiąc o zmarłym w 2000 r. księdzu zwanym przez parafian Królem Kaszubów. Zawsze mówił o sobie: ja syn ziemi kaszubskiej. Gdynia i Kościerzyna zaliczyły księdza w poczet swoich honorowych obywateli. Był człowiekiem o wielkim autorytecie, szeroko wykraczającym poza region. Wokół siebie skupił młodzież, robotników i intelektualistów. Integrował ich, podkreślając, iż władzy zależy na rozbiciu środowisk. Podkreślał, że kiedy im się to uda, łatwo wtedy będzie rozbić Kościół. Komuniści nie mogli darować księdzu odwagi. Pamiętali kazanie, które wygłosił w 50 rocznicę zaślubin Polski z morzem. W płomiennej homilii wygłoszonej w Pucku składał wielki hołd przywódcom II Rzeczypospolitej. Mówił o żołnierzach polskich na Zachodzie, o Andersie, ale też o ludobójstwie w Katyniu.

Dzięki relacji księdza Episkopat Polski dowiedział się o strzelaniu do ludzi na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. Ta wiadomość o zbrodni komunistów dotarła też do Watykanu i obiegła cały wolny świat. W liście do ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego z końcem stycznia 1971 r. ksiądz opisywał na kilkudziesięciu stronach, jak naprawdę wyglądał Grudzień w Gdyni. Kończąc tę relację pisał: „[...] chciałbym podkreślić, że ludność Gdyni stała się ofiarą niewinnego i niezawinionego męczeństwa, ofiarą bestialskich rozkazów

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
Ś
T
U
W
Z
Ż

wykonywanych przez organa milicji. Stanisław Kociołek, sekretarz PZPR, w przemówieniu w Gdańsku dnia 7 stycznia br. twierdził, że pracownicy byli uprzedzeni, by w czwartek 17 grudnia nie szli do pracy. Jest to oczywiste kłamstwo. Wręcz przeciwnie, robotnicy byli przez niego wzywani do stawienia się do pracy. Przypuszcza się, że partyjni zostali uprzedzeni telefonicznie bądź przez specjalnego gońca, by w czwartek 17 grudnia nie poszli do pracy [...]”.

Pomoc ks. Hilarego Jastaka ofiarom Grudnia była ogromna. Dzięki niemu powstał także pomnik gdyńskiej masakry. Kiedy wybuchł strajk w gdyńskiej stoczni, nie zaważał się przyjść do stoczniowców i odprawiać msze święte. Podczas homilii dodawał im wiary w słuszność ich decyzji. Rozdał przy tym setki obrazków z hasłem „My trzymamy z Bogiem” oraz tysiące medalików z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej z jednej strony i z wizerunkiem Ojca Świętego Jana Pawła II z drugiej strony. Kiedy we wrześniu 1980 r. zawiązał się Społeczny Komitet Budowy Pomników Ofiar Grudnia 1970 w Gdyni, ksiądz wszedł w jego skład.

Wraz z wybuchem stanu wojennego wojskowi zagrozili ks. Jastakowi aresztowaniem, jeśli będzie pomagał ludziom prowadzącym jakąkolwiek działalność niezgodną z wprowadzonymi prawami wojny. Nie przeląkł się. Bacznie obserwował działania władzy, a skupionym wokół siebie ludziom podziemnej Solidarności powtarzał: „Róbcie swoje, a ten ustrój i tak niebawem upadnie”. Przez cały stan wojenny kościół pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni wspomagał ludzi więzionych, internowanych i wszystkich, którzy potrzebowali pomocy. Ksiądz Hilary, choć nie wprost, wspierał podziemie „S”, podziemie niepodległościowe. Od stanu wojennego mówiono o księdzu nie tylko Król Kaszubów, ale zyskał też przydomek Król Podziemia. Zawsze podkreślał, że to, co zrobił Jaruzelski, było wypowiedzeniem wojny narodowi, a z całym narodem nie wygra. Bo Polacy – jak mówił – w ciągu wielu wieków byli prześladowani i potrafili się podnieść. Tym razem będzie tak samo. I było. Nigdy nie namawiał do siłowej rewolucji. Powtarzał, że można zwyciężyć godną postawą, moralnością i upominaniem się o swoje prawa.

Mateusz Wyrwich

Antonina Krzysztoń

Mieć po swojej stronie artystkę prawdziwą, obdarzoną talentem od Boga, to rzecz wielka. Niewątpliwie to przypadek Antoniny Krzysztoń, angażującej się od najmłodszych lat w działalność opozycyjną. Dziewczyna wcześniej osierocona przez ojca lekarza, wzrastająca w bardzo dziwnej i powichrowanej rodzinie jako prawie że pasierbica swojej ciotki Haliny Mikołajskiej i jej męża Mariana Brandysa, od początku zaangażowana w KOR-owskie aktywności, zaliczająca milicyjne dołki, stawiająca się esbecji, prawdziwe utrapienie przeszukujących mieszkania, urządzających kotły na knujących przeciw ustrojowi.

Podśpiewująca sobie amatorka debiutująca z gitarą na I Przeglądzie Piosenki Prawdziwej „Zakazane Piosenki” w Gdańsku z Herbertowym „Przesłaniem Pana Cogito”, a potem w roku 1983 wygrywająca „Chustą Weroniki” krakowski Festiwal Piosenki Studenckiej. I znów obecna niezwykajnie, bo odmawiająca występu na koncercie galowym przed kamerami reżimowej Telewizji Polskiej. Łamiąca sobie karierę, gdy wiele zespołów koncesjonowanego buntu w przeróżnych „Trujkach”, plebiscytach telewizyjnych, na festynach i festiwalach pod auspicjami działaczy SZSP i różnych TW zdobywało popularność i laury niepokornych. Jednak decydując się na prawdziwy bunt, nie godząc się na wejście w tryby oficjalnej promocji i zagłaskiwania przez koncesjonowane media, była pieśniarką, która sama decyduje o swoim miejscu i spotkaniach ze słuchaczami.

Kasety z nagraniami utworów własnych, ale i pieśni Karela Kryla, wierszy Herberta, „Pieśni nad Pieśniami” towarzyszyły nam, knującym, i wiedzieliśmy, że są śpiewane przez osobę, która jak my żyje życiem osobnym, nie wchodząc w układy z władzą. Pieśni niepieszczone przez reżimowe radio, niesłuchane przez konformistów idących na układ.

Jej ostry głos ciął rzeczywistość, rozdzielając światło od ciemności. Dziewczęcy urok, a z drugiej strony moc nieugiętej kobiety, protestującej przeciw kłamstwu, nienawiści i przemocy. Mistyczne tony jej songów, niesamowity klimat, który nawet piosenki miłosne otwierał na wieczność.

Nie układała się z rządzącymi, co można wyśpiewać, a co nie. Nie bawiła się w aluzje i nie czekała na werdykty cenzury. Była jedną z nas.

Andrzej Horubała

Ksiądz Roman Indrzejczyk, kapelan Solidarności, kapelan prezydenta RP

Podczas prezydentury Lecha Kaczyńskiego był kapelanem prezydenta. Zginął wraz z nim 10 kwietnia 2010 r. Kiedy został kapelanem, wielu pytało, kim jest ów kapłan. A więc...? Był niewątpliwie kapelanem Solidarności. Jednym z tysięcy kapłanów, którzy doprowadzili do wolności i niepodległości Polski. Był człowiekiem o wielkim poczuciu humoru. Chodził szybkimi krokami, z charakterystycznym białym szalem wokół szyi. Mało kto wie, że jako młodzik był zdobywcą bokserskiego mistrzostwa w zawodach Pierwszy Krok Mazowsza⁵. Na pytanie: kim był? jego znajomi i przyjaciele odpowiadali: ksiądz, poeta, poliglota, taternik, przewodnik górski. Na pytanie: jaki? odpowiadali: przebojowy, jeśli trzeba było pomóc innym. Dla siebie nie potrzebował wiele. Był niewątpliwie wstrzemięźliwy w opiniach o innych, niezwykle skromny, nadzwyczaj gorliwy w swym kaznodziejstwie, niebывale rozmodlony. Jego wielka miłość do Boga emanowała na wszystkich, którzy go spotkali. Dla wielu stanowił wielki autorytet. Żył niemal w ubóstwie materialnym. Kiedy został kapelanem prezydenta Lecha Kaczyńskiego, żądni sensacji dziennikarze pisali, że otrzymał apartament w budynkach rządowych. Tymczasem mieszkał nadal w jednej izbie na poddaszu w domu parafialnym na warszawskim Żoliborzu.

Wyświęcony został w 1956 r. przez prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego. Był nie tylko teologiem, ale skończył też studia psychologiczne, co znakomicie wykorzystywał w kontaktach z młodzieżą szkolną i akademicką. Jak mówił przed laty – cały czas towarzyszyła mu świadomość, że jego zadaniem jest być Alter Christus, że idzie przygotowany, aby modlić się z ludźmi i za ludzi. Będzie się modlił z tymi, którzy przyjdą do świątyni, i za tych, którzy nie przyjdą. Z całą odpowiedzialnością za Kościół. Uważał, że kapłan powinien być do wszystkiego. Zarówno do udzielania sakramentów, jak i służenia ludziom pierwszą pomocą w zrozumieniu Pana Boga.

Pierwszą parafią, w jakiej posługiwał po święceniach, był podwarszawski Drwalew. Później został wikarym w Grodzisku Mazowieckim. Posługując tu, prowadził szkolną katechezę, podczas której często sięgał do opowieści o przedwojennym harcerstwie. Zapragnął również, aby przywrócono do harcerstwa młodzież, która służyła w organizacji Harcerze w Służbie Bogu. Nieoczekiwanie za te działania zaareztowano księdza na

⁵ Roman Indrzejczyk ukończył szkolenie w tzw. Pierwszym Kroku Bokserskim (wygrał tam eliminacje) – przyp. wydawcy.

dwa dni i postawiono mu zrzut, że buntuje młodzież, chodząc z nimi na biwaki i ucząc Modlitwy harcerskiej.

W kolejnych latach ksiądz posługuje w warszawskich parafiach. Następnie w świątyni pw. św. Kazimierza w Tworkach, będąc proboszczem nieuznawanej przez państwo parafii. Jego ówcześni parafianie wspominają, że od początku pojawienia się był niezwykle aktywnym kapłanem i jak na owe czasy ewangelizował bardzo nowocześnie. Przyciągał zajmującymi opowieściami o historii Kościoła, wykorzystywał nowoczesne formy audiowizualne, jakimi były wówczas magnetofon i slajdy. Często ewangelizował za pomocą muzyki. Założył chór i grupę wokально-instrumentalną, również orkiestrę, ale przede wszystkim skupiał młodzież i miał u niej coraz większy autorytet. Zarówno wśród uczniów szkół średnich, jak i studentów, których w tym podwarszawskim miasteczku mieszkało w latach 60. i 70. coraz więcej. Mówił im o prawdziwej, nieocenzurowanej najnowszej historii Polski. Przedstawiał pogłębioną wiedzę na temat relacji państwo – Kościół w czasach PRL. I wyjaśniał prawdziwe stanowisko Watykanu na temat historii i sytuacji Kościoła na świecie.

Mówił, że człowiek powinien tworzyć dobro, bo zawsze pozostaje twórcą dobra. Nawet jeśli tego od niego nie wymagają, to sam musi wymagać od siebie. Nie może zagłuszać sumienia z chęci zysku. Taka filozofia nie podobała się władzy. Ksiądz był coraz częściej wzywany na przesłuchania przez SB, jak również do Urzędu ds. Wyznań, które także pełniło rolę represyjną wobec Kościoła.

Strajki i powstanie Solidarności ksiądz przyjął z zaskoczeniem, ale umiarkowanym, gdyż zawsze wierzył, że wyzwolenie narodu od komunistów kiedyś musi nastąpić. Powstałą Solidarność nazywał wielkim ruchem odnowy, który przyniesie religię do szkół i prawdę do serc ludzkich.

Po wprowadzeniu stanu wojennego chodził na wszelkiego rodzaju uroczystości związane z rocznicami patriotycznymi oraz wędrował taternickimi szlakami, w białym swetrze z ciągnącym się przez cały tułów wyhaftowanym napisem „Solidarność”. Jedni milicjanci zatrzymywali kapłana. Inni, podejrzewając jakiś podstęp w tej ostentacyjności, starali się nie zwracać na księdza uwagi.

Niewielki kościółek w Pruszkowie-Tworkach, mimo że w mieście były jeszcze dwa kościoły, w krótkim czasie stał się centrum opozycyjnej działalności i walki o niepodległość. Ksiądz organizował różnego rodzaju spotkania z księżmi, politykami, historykami. Również wycieczki patriotyczne, nie tylko do miejsc kultu religijnego, ale także do tych związanych z walką przeciwko okupantom, tak niemieckim, jak i rosyjskim i sowieckim. Podziemia kościółka stały się biblioteką bezdebitowych pism i książek, a także miejscem spotkań działaczy Solidarności. Również z okolicznych miasteczek i wsi, zarówno jawnych, jak i konspiracyjnych. Dzięki swoim licznym znajomościom ksiądz szybko nawiązał kontakt z działaczami podziemia z Warszawy. Stamtąd przywoził matryce, farby i papier, pierwsze nielegalne tytuły, m.in. „Tygodnik Wojenny”, „KOS”, „Tygodnik Mazowsze”. Kolportował również wydawane nielegalnie książki. W razie potrzeby był nawet lektorem w podziemnym Radiu Solidarność. Do małego kościółka w Pruszkowie

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
Ś
T
U
W
Z
Ż

przyjeżdżali znani wykładowcy z prelekcjami dotyczącymi historii najnowszej i kultury, także artyści ze spektaklami teatru podziemnego. Tu też powstała, dzięki darom obco-krajowców, apteka leków zagranicznych.

Rozrastająca się aktywność pruszkowskiej opozycji wywołuje niecodzienny odwet komunistów: esbecy dewastują XIX-wieczną figurkę Matki Boskiej stojącą nieopodal kościoła. Obcinają jej ręce i głowę. Ksiądz zaczął być szykanowany przez SB, często wzywany na przesłuchania.

Ksiądz Roman Indrzejczyk pod wpływem nacisków wywieranych na ówczesnego biskupa warszawskiego został usunięty z Pruszkowa-Tworek i w 1986 r. „przesunięty” do warszawskiego kościoła pw. Dzieciątka Jezus na Żoliborzu. Ta niewielka świątynia ożywiła się działalnością podobną do tej, jaką ksiądz prowadził w Pruszkowie. Również i tu, dzięki kontaktom księdza z działaczami Komisji Krajowej Solidarności, szybko na plebanii „zagnieżdżyła” się podziemna Solidarność. Służba Bezpieczeństwa dopiero po roku odkryła rolę, jaką odgrywa nowy proboszcz. W zamian za to podpaliła świątynię. Tak zwani nieznani sprawcy wywiercili dziurę w ścianie kościoła i wpuścili łatwopalną ciecz. Płonął ołtarz. Cudem uratowano wnętrze.

W drugiej połowie i końcówce lat 80. na plebanii niewielkiego kościoła zaczynają odbywać się posiedzenia najwyższych władz podziemnych struktur Solidarności, zarówno regionalnych, jak i krajowych, m.in. tajne posiedzenia Tymczasowej Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”. U proboszcza Indrzejczyka powstaje też Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie. W 1987 r. doszło też do spotkania krajowych struktur Solidarności przed przyjazdem Jana Pawła II do Polski. Tu również, pod koniec tego samego roku, odezwały się pierwsze „sondażowe” telefony pomiędzy ministrem w komunistycznym rządzie – Stanisławem Cioskiem a doradcą Krajowej Komisji Wykonawczej Solidarności – Bronisławem Geremkiem. Tematem rozmów były wstępne uzgodnienia dotyczące rozmów Okrągłego Stołu. Następnego roku na plebanii u księdza odbył się nielegalny zjazd tolerowanej już wówczas przez komunistów Solidarności i przedstawicieli niektórych partii opozycyjnych.

Po 1989 r. ks. Roman Indrzejczyk nie zaprzestał swej aktywności społeczno-politycznej. Zakładał z Jackiem Kuroniem jadłodajnie dla ubogich. Pomagał też tym, którzy niegdyś walczyli o wolną Polskę, a w niepodległej Rzeczypospolitej zostali odrzuceni i pozbawieni pracy. Ksiądz włączył się również w dialog pomiędzy religiami. Współtworzył Polską Radę Chrześcijan i Żydów. W żoliborskim kościele rozpoczęły się wspólne modlitwy.

W 2004 r. ks. Indrzejczyk odszedł z probostwa na emeryturę. W następnym roku został powołany na kapelana prezydenta Rzeczypospolitej i rektora prezydenckich kaplic.

Mateusz Wyrwich

Kwiaciarnia pechowca

Na początku grudnia 1981 r. jeden z prywaciarzy (albo jedna z biznesmerek) otrzymał niełatwą do uzyskania zgodę na budowę prywatnej kwiaciarenki, która miała stać przy gdańskiej ulicy Wały Jagiellońskie, niedaleko tzw. budynku LOT-u. Przedsiębiorczy gdańczyk zgromadził potrzebne cegły, worki z cementem, a nawet gruszkę do betonu. Pech chciał, że 17 grudnia właśnie tamten teren był miejscem starć z milicją. Zadymiarze szybko rozebrali deski ogrodzenia na barykady. Oprócz kontenerów na śmieci użyli betoniarki do zbudowania prowizorycznej barykady, a rozłupanymi cegłami zaczęli walić w milicję. W ciągu kilku godzin cały zgromadzony kosztem zapewne niemałych wyrzeczeń skład materiałów budowlanych zniknął jak kamfora. Ciekawe byłoby zobaczyć twarz właściciela tych skarbów, gdy ujrzął pustkę w miejscu swego magazynu surowców budowlanych. Gdyby nie stan wojenny, to nie miało prawa się wydarzyć.

Piotr Semka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

[REDACTED]

[REDACTED]

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Legendy

Pierwszy tydzień stanu wojennego był pełen barwnych plotek. Najwięcej mówiono o rzekomych egzekucjach oficerów czy to żołnierzy, którzy mieli odmówić – jak to się wtedy dość wyniośle mówiło – „strzelania do Polaków”. Przez pierwsze tygodnie krążyły też opowieści o wywiezieniu części zatrzymanych do Związku Sowieckiego.

Na wyobraźnię oddziaływały szczególnie opowieści o dzieciach zabranych z zakładowych przedszkoli, które ZOMO miało trzymać na mrozie, aby złamać opór górników na Górnym Śląsku. Te ostatnie opowieści były na tyle nośne, że w trakcie Mszy św. za Ojczyznę w gdańskiej Brygidzie w litanii powtarzano frazę: „Matko na mrozie trzymanych – módl się za nami”. Inną legendą pierwszych dni po 13 grudnia była rzekoma śmierć Tadeusza Mazowieckiego w czasie nocy aresztowań. W Paryżu odprawiono nawet mszę żałobną za ówczesnego doradcę Solidarności.

Piotr Semka

Lgnięcie

Groza pierwszych dni stanu wojennego skłaniała ludzi do gromadzenia się w domach, gdzie wieczorami wymieniano najświeższe informacje, pito hektolitry herbaty i kawy, czy po prostu słuchano Radia Wolna Europa albo piosenek Kaczmarskiego z magnetofonu kasetowego Kapral. Atmosfera napięcia i lęku była odreagowywana na różne sposoby – albo na wspólnych modlitwach, albo poprzez desperackie akcje malowania napisów na murach, albo wreszcie grudniowe noce zbliżały do siebie ludzi w sensie dosłownym. Nieśmiali licealiści, którzy nie śmieli nawet podnieść wzroku na ukochaną z równoległej klasy, bardzo często za zgodą rodziców zostawali u koleżanek, powołując się na brak możliwości powrotu z racji godziny milicyjnej. Oficjalnie mieli nocować na kanapie w salonie (czyli w tzw. dużym pokoju), ale bardzo często noc kończyła się dla nich w zupełnie innym miejscu. Takie też były efekty napięcia nerwów po 13 grudnia.

Piotr Semka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Listy proskrypcyjne

Była to ulubiona legenda władz stanu wojennego. Specjalistą od opowiadania takich historii był wojskowy propagandzista Janusz Przymanowski, który opowiadał w Sejmie, jak to Solidarność szykowała listy członków PZPR i milicjantów przeznaczonych do wymordowania wraz z rodzinami. Ten oratorski zapal niegdysiejszego scenarzysty „Czterech pancernych i psa” uwieczniony został w ówczesnej ludowej piosence: „Siekiera, motyka, siwe włoski, w Sejmie szczeka Przymanowski”.

Piotr Semka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

[REDACTED]

Magdalenka

Negocjacje działaczy i doradców Solidarności oraz władz PRL w ośrodku konferencyjnym MSW w okolicach Warszawy, przeprowadzone między wrześniem 1988 r. a styczniem 1989 r., budzą do dziś żywe kontrowersje.

W czasie obrad Okrągłego Stołu odbyło się pięć spotkań w Magdalence (spotkania odbywały się też niekiedy w gmachu Urzędu Rady Ministrów) – w czasie tych spotkań przygotowywano stanowiska wspólne, które znane były potem jako ustalenia Okrągłego Stołu. W sumie tzw. Grupa Magdalenka spotykała się 13 razy – były to spotkania robocze i spotkania współprzewodniczących grup.

Lista osób uczestniczących w negocjacjach w Magdalence liczy 42 osoby⁶:

Opozycję solidarnościową reprezentowali: Lech Wałęsa, Andrzej Stelmachowski, Władysław Frasyniuk, Lech Kaczyński, Władysław Liwak, Tadeusz Mazowiecki, Jacek Merkel, Alojzy Pietrzyk, Edward Radzewicz, Bronisław Geremek, Mieczysław Gil, Witold Trzeciakowski, Adam Michnik, Zbigniew Bujak, Jacek Kuroń, Andrzej Wielowiejski, Ryszard Bugaj. W rozmowach brali udział jako obserwatorzy przedstawiciele Kościoła katolickiego: ks. Alojzy Orszulik, ks. abp Bronisław Dąbrowski, ks. bp Tadeusz Gołowski.

W imieniu rządu negocjowali: gen. Czesław Kiszczak, Stanisław Ciosek, Artur Bodnar, Jan Janowski, Jan Jarliński, Mieczysław Krajewski, Harald Matuszewski, Jerzy Ozdowski, Romuald Sosnowski, Bolesław Strużek, Jan Szczepański, Tadeusz Szymanek, Stanisław Wiśniewski, Andrzej Gdula, Bogdan Królewski, Janusz Reykowski, Aleksander Kwaśniewski, Ireneusz Sekuła, Jerzy Uziębło, Władysław Baka, Jan Błuszkowski, Leszek Grzybowski.

Każdy proces polityczny wymaga negocjacji niejawnych. Uczestnicy rozmów z rekomendacji podziemnych władz „S” mieli zgodę na takie negocjacje. Jednak w praktyce tacy doradcy związku jak Adam Michnik czy Bronisław Geremek zaczęli prowadzić coraz bardziej samodzielną politykę, korzystając z szerokiej formuły akceptacji swych działań przez Lecha Wałęsę. O szczegółach rozmów w małym stopniu informowano prasę związkową. Dopiero po latach wyszło na jaw, że w trakcie rozmów w Magdalence omawiano np. kwestie prezydentury dla Wojciecha Jaruzelskiego, o czym nie informowano opinii publicznej. Zwykli sympatycy Solidarności nic nie wiedzieli na ten temat. Tak było z wieloma innymi szczegółami przygotowań do negocjacji z władzą. Druga kwestia, która będzie ciążyć nad wspomnieniami o Magdalence, to kwestia zgody na biesiadowanie przy alkoholu. Przykro to pisać, ale w delegacji Solidarności zabrakło kogokolwiek, kto by zwrócił uwagę, że należy rozdzielić negocjacje od wspólnego zasiadania do stołu. Jest to tym bardziej zdumiewające, że ludzie podziemia powinni mieć świadomość, jaki użytek Służba Bezpieczeństwa robiła zarówno z alkoholu, jak i z nagrań z ukrytej kamery. Filmy te do dziś budzą niedobre wrażenie niezwykle szybkiej fraternizacji części przedstawicieli opozycji z aparatczykami PZPR.

Piotr Semka

⁶ https://pl.wikipedia.org/wiki/Rozmowy_w_Magdalence

Małe formy oporu

Gdy sięgam pamięcią do tamtego ponurego grudnia, zdumiewa mnie dziś szybkość przestawienia się dużej części Polaków na reguły społeczeństwa podziemnego. Wszyscy wszystko wiedzieli, jakby epoka wojennego podziemia skończyła się raptem kilka lat wcześniej. Miłośnicy elektroniki do dziś pamiętają, jak z dnia na dzień przybywali do nich rozmaici znajomi, prosząc o załatwienie opornika. Ta mała część elektroniczna była wpinana w swetry czy żakiety, była symbolem oporu, ale potrafiła też ściągnąć furię zomowców na osobę noszącą ten symbol. Mnie rozczuliła skromna pani z Biblioteki Publicznej przy ul. Podwale Staromiejskie w Gdańsku, która nakleiła chałupniczo wykonany plakat z napisem: „Nie oddychać – stan wojenny!”.

Piotr Semka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Marynarka Chrostowskiego

Waldemar Chrostowski był kierowcą bł. ks. Jerzego Popiełuszki. W założeniu miał czuwać nad jego bezpieczeństwem. W założeniu... rzeczywistość zweryfikowała to założenie. On sam tak opisał moment opuszczenia samochodu, w którym został umieszczony (siedział na przednim siedzeniu obok kierowcy): „Z całej siły odbiłem się od podłogi. Poczułem powiew powietrza i zobaczyłem uciekającą jezdnię [...]. Upadłem na jezdnię. Uderzam o nią kajdankami”. Według zeznań jednego z porywaczy – Grzegorza Piotrowskiego – Chrostowski klęczał na jezdni. Nie zatrzymali się, kazał Leszkowi Pękali, funkcjonariuszowi SB uczestniczącemu w zamachu, jechać dalej.

Natomiast przypadkowi świadkowie, którzy widzieli przed sobą jadącego fiata 125p, stwierdzili, że jechał „wężykiem”, na chwilę włączył światła „stopu”, zobaczyli, jak ktoś wyrzuca „żarzącego peta” (upadł na pobocze, po prawej stronie samochodu), po czym samochód pojechał już normalnie.

Na sfigowanym procesie toruńskim przyjęto, że kajdanki, którymi skuty był Chrostowski, rozerwały się pod wpływem uderzenia o asfalt. Ciekawa bajeczka, w którą wielu uwierzyło. Na opisywanie innych detali nie mamy tu, niestety, miejsca (odsylam do licznych publikacji prokuratora Andrzeja Witkowskiego, który prowadził dwa śledztwa w sprawie morderstwa ks. Popiełuszki i poczynił ciekawe ustalenia). Świadkowie jadący z tyłu zobaczyli wychodzącego z rowu Chrostowskiego. Prezes składu „sędziowskiego” Artur Kujawa nie wezwał żadnego z czterech świadków tego „epizodu”. Każdy z nich zeznawał coś innego. Co jest jeszcze istotnym wątkiem? Chrostowski, według swoich zeznań, wyskoczył z samochodu jadącego z prędkością ok. 100 km/godz., upadając na asfalt. Wyszedł z niego cało, bez większych obrażeń. We wspomnieniach opisywał swoje zmagania w tonie bohaterskim i pełnym determinacji: „...muszę coś zrobić, żeby ratować Jerzego. Nie wiem, czy jest w bagażniku, czy zostawili go w lesie, ale wiem, że muszę go ratować. Pomyślałem: skoczę i zabiję się. Może nawet zostać po mnie mokra plama”.

Podobno wyskoczył przy prędkości 100 km/godz. Nic mu się nie stało. Wstał o własnych siłach, wymachiwał szeroko ramionami przed nadjeżdżającym maluchem (fiat 126p). Potem biegł przez pola i zatrzymał się w hotelu w Przysieku. Po oględzinach ubrania i ciała Chrostowskiego, dokonanych 4,5 godziny po „wyskoczeniu” z samochodu, napisano: „powierzchowne otarcia skóry w różnych częściach ciała”, „obrażenia mają charakter lekki”, styczność z asfaltem mogła mieć tylko prawa dłoń itd. Już w trakcie „śledztwa” stwierdzano, że przebieg wydarzeń opisywany przez Chrostowskiego wydaje się nieprawdopodobny. Nie szkodzi. Proces „poszedł” według ustalonego planu...

Dzisiaj już wiemy, że ks. Jerzy w Górsku został zmuszony do opuszczenia samochodu. Odprowadzono go ok. 200 metrów do samochodu, którego do dzisiaj nie udało się zidentyfikować. Szarpano go i bito. Wywieziono go w nieustalone do dzisiaj miejsce

(istnieje hipoteza, że był to Kazuń Polski). W Górsku „ucharakteryzowano” marynarkę Chrostowskiego – po zdjęciu jej z niego wycięto w niej ostrym narzędziem fragmenty tylnej prawej poły, nacięto na powierzchni lewego i prawego rękawa marynarki. Tak spreparowaną marynarkę Chrostowski nałożył na siebie. Potem zainscenizowano „wyskok” z samochodu. Samochód z esbekami odjechał, a pan Waldemar zaczął grać swoją rolę życia... O cieniu śmierci ks. Jerzego.

Paweł Janowski

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Matka Boska i Pałac Kultury

Najpierw byliśmy zbulwersowani: jak to plac Defilad? Komu w ogóle mogło to przyjść do głowy? Przecież tam wciąż nad wielkimi drzwiami Pałacu Kultury znajduje się napis, że to gmach imienia Józefa Stalina. Wprawdzie napisu nie widać, bo zasłonięty, ale jest wykuty po wsze czasy. I tam mamy się spotkać z naszym papieżem, na którego tak czekamy?! Z Janem Pawłem II, który mówi nie tylko do nas, ale przede wszystkim za nas? Czekamy, bo znowu doda nam otuchy, odwagi, znowu nam pomoże zebrać się, spotkać, policzyć i ogarnąć. Ale nie w tym miejscu!

Ale jednak tak! Powoli zaczęliśmy myśleć: tak, właśnie tak! Dopiero im pokażemy!

W 1987 r. mieliśmy już naprawdę wszystkiego dość. Formalnie stan wojenny skończył się kilka lat wcześniej, ale nazywaliśmy ten czas po swojemu. Byliśmy zmęczeni konspiracją, demonstracjami, represjami i opresjami, znikaniem emigrujących znajomych i przyjaciół, brakiem nadziei i brakiem normalnych sklepów. Brakiem wszelkiej normalności!

W kręgach parafialnych i w kręgach konspiracyjnych, wśród elit i wśród zwykłych warszawiaków zaczyna się wielkie myślenie: przecież to jest niebywałe, że na tym placu będzie msza święta! Że przyniesiemy tam krzyże i transparenty z Matką Boską! Żaden duch moskiewskiego tyrana nam nie przeszkodzi! Wampira komunizmu zniszczymy samą naszą obecnością! Bardzo byliśmy buńczuczni – bo bardzo to nam było potrzebne!

Mówiły o tym same transparenty, które masowo – wbrew zakazom władzy i jej kontrolom – przynieśliśmy na plac. I wśród nich te najważniejsze: „Następna pielgrzymka już do wolnej Polski!”.

Nie wiedzieliśmy, że właśnie zaczęła się ostatnia runda naszych zmagania z komunistycznym systemem. Nie wiedzieliśmy, ale poculiśmy, że to naprawdę jest koniec – skoro na tym placu i przed tym gmaszyskiem tysiące ludzi śpiewają „Ciebie Boga wystawiamy”. I kilka innych pieśni.

Na wprost głównych drzwi – z tym niewidocznym haniebnym napisem – siedziały licznie zgromadzone pierwszokomunijne dzieci z wielu warszawskich parafii. A przed nimi wznosił się krzyż! Krzyż na placu Defilad! Matka Boska na setkach plakatów i transparentów!

Tak się cudownie złożyło, że i наша młoda ursynowska parafia św. Tomasza Apostoła miała tam miejsce, i nasz najstarszy syn Karol, który już zdążył dorosnąć do drugiej klasy, też tam z nami siedział. Już świadomy naszej wielkiej nadziei, wszak dzień wcześniej pomagał nam rozprowadzać pierwsze historyczne wydanie naszej gazety parafialnej, która zachęcała do udziału w spotkaniu z Janem Pawłem II. Jeszcze nie wie – ani on, ani my – że jeszcze tylko dwa lata i już będzie 4 czerwca. I nasz jedenastolatek – zanim w poniedziałek 5 czerwca pójdzie do szkoły – obiegnie pędem okoliczne lokale

wyborcze i spiszę ołówkiem na wydartej z zeszytu kartce wyniki, po czym wróci do domu, krzycząc od parteru pełnym nowej energii głosem: wygraliśmy, mamó, wygraliśmy! Bo taty nie będzie jeszcze w domu z tą samą radosną nowiną, po nocy spędzonej w komisji wyborczej na Pradze-Północ, gdzie był mężem zaufania Anny Radziwiłł, kandydatki do Sejmu z rekomendacji Solidarności.

Ale na razie mamy rok 1987: czekamy na papieża i wiemy, że modli się teraz na grobie ks. Jerzego, którego my sami odprowadzaliśmy w ostatnią drogę. I wiemy, co powiedział dwa dni wcześniej w Gdańsku: „Nigdy jeden przeciw drugiemu, jedni przeciw drugim. [...] Nie może być walka silniejsza nad solidarność. Nie może być program walki ponad programem solidarności”.

Po mszy świętej, w przeogromnej procesji z Najświętszym Sakramentem – przed którym w papamobile klęczał Jan Paweł II – poszliśmy na plac Zamkowy. W poczuciu solidarności, która zwycięży.

PS W roku 2023 wciąż nie ma na placu Defilad żadnego upamiętnienia tamtej historycznej obecności Jana Pawła II. Dziś już świętego.

Barbara Sulek-Kowalska

Matka Boska z Politechniki Warszawskiej

– Ale która? – od razu zapyta pani dr inż. Irena Gronowska z Wydziału Fizyki Politechniki Warszawskiej – bo są dwie! Dwie solidarnościowe Matki Boskie, czy raczej ich wizerunki. I wciąż wiszą w krużgankach tej największej polskiej uczelni.

Jeśli więc opowiadać o tamtych – z lat stanu wojennego – obrazkach, gadżetach, przypinkach i innych budzących nadzieje i nierzadko zdrowy śmiech przedmiotach, to te dwie Matki Boskie wchodzą na podium. Znalazłby się tam jeszcze absolutnie niezwykle krzyż z kwiatów, układany przez warszawiaków codziennie od nowa – bo też codziennie niszczone przez „nieznanych sprawców”, czyli ubranych po cywilnemu zomowców lub milicjantów – przy kościele św. Anny, a potem na placu Zwycięstwa, w miejscu papieskiego krzyża z 1979 r.

Podium będzie zresztą dłuższe niż zazwyczaj, bo medalowe miejsce dałabym też opornikom, tak – zwyczajnym opornikom z warsztatu elektryka, które tak fantastycznie przerabiali na broszki różni zapaleńcy i rozprawiali tymi samymi kanałami kolportażu, co książki i gazety. W dobrym towarzystwie wprost nie uchodziło pokazywać się bez takiej ozdoby! Błyskawicznie też pojawiła się piękna przypinka z tym kwiatowym krzyżem podpartym obowiązkowo literą „V” z ułożonych palców – bo w różnych przydomowych warsztacikach błyskawicznie wprowadzano nowe technologie i produkcja wojennej biżuterii szła chyba pełną parą! Dość szybko pojawiły się też znaczki i kartki świąteczne, wprost rewelacyjne!

A dwie Matki Boskie?

Pierwsza zjawiła się na Wydziale Fizyki. Kiedy w poniedziałek 14 grudnia 1981 r. powoli zaczęli ściągać na wydział oszołomieni niedzielą stanu wojennego pracownicy, niewielka Matka Boska Częstochowska już tam była. Mocno przyklejona do tablicy informacyjnej Solidarności przyciągała uwagę podpisem: „Ty, która dana byłaś na obronę naszego narodu, módl się za nami”.

– Telefony nie działały, u wejścia siedzieli wojskowi i wpuszczali tylko pracowników, a studentów wkrótce rozesłano do domów na przyspieszone ferie. Tablicy żadna władza nie kazała zdjąć, choć działalność związkowa została zakazana. Ale jednak któregoś dnia wizerunek zniknął, zamiast tego pojawiło się godło. Długo nie wisało – opowiadała mi pani dr Irena Gronowska – bo wkrótce zamiast niego pojawił się napis: „Polecałem szukać Madonny – Orzeł Biały”. Radości z tego napisu nie da się opisać, była jak najlepsze lekarstwo – wspominała Irena Gronowska. Niedługo potem znowu ktoś w tym miejscu przykleił wizerunek Matki Bożej, a technicy z warsztatu po cichu przyśrubowali go przez tablicę do ściany. Na zawsze – co można sprawdzić.

W 1983 r. pojawiła się zaś ta Matka Boska, która teraz wisi w sławnych krużgankach na pierwszym piętrze. Pobłogosławił ją 17 czerwca 1983 r. sam Jan Paweł II w obecności kilkuset świadków w kościele Kapucynów przy Miodowej, podczas spotkania z przedstawicielami różnych środowisk i duszpasterstw, w których – a wciąż trwał stan wojenny – spotykali się także ludzie zdelegalizowanej Solidarności.

– Duszpasterstwo Inżynierów to była przestrzeń wolności – opowiada Irena Gro-nowska, wtedy młoda pani doktor. Razem z dr. inż. Wojciechem Szarańcem z Wydziału Elektroniki PW byli na tym niezwykłym spotkaniu, na które papież, ze zmęczenia niemal szary na twarzy, przyjechał wprost ze spotkania z Wojciechem Jaruzelskim.

– I nasz proporzec z Matką Boską, brązowo-żółty, czyli w barwach PW, wywołał uśmiech na jego smutnej twarzy!

O wszystkim młodzi fizycy opowiedzieli ówczesnemu rektorowi, prof. Władysławowi Findeisenowi, a on umieścił tę wiadomość w oficjalnych informacjach Biura Rektora. Żeby wszyscy się ucieszyli i zapamiętali!

Barbara Sułek-Kowalska

Tadeusz Mazowiecki

Na pewno zostanie w dziejach NSZZ „Solidarność” jako jeden z najważniejszych doradców. Znacznie bardziej podzielone są opinie na temat trafności jego ocen w dwóch kluczowych okresach działania związku. W czasie strajku w Stoczni Gdańskiej, gdy jako członek zespołu doradców przybyłych z Warszawy do stoczni z propozycją świadczenia pomocy w negocjacjach z władzą uważał za nierealistyczny pomysł utworzenia niezależnych od władz związków zawodowych. Kolejny raz rozejdzie się z nastrojami sporej części ludzi Solidarności, kiedy będzie próbował wygaszać radykalizm związku w tygodniach poprzedzających wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Jego ostrożność tłumaczona była doświadczeniami jego generacji, która obserwowała zagładę Polskiego Państwa Podziemnego i próbowała znaleźć jakąś niszę w życiu publicznym w okresie wprowadzania ostrej fazy stalinizmu. „Polityczny realizm” pchnął go wówczas do Stowarzyszenia „Pax” Bolesława Piaseckiego. Ugrupowanie Pax próbowało wówczas pogodzić ideologię marksistowską z nauką katolicką. Do dziś wypominany jest Tadeuszowi Mazowieckiemu jego tekst potępiający arcybiskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka. W połowie lat 50. zerwał ze środowiskiem Paxu. Później w latach 1961–1971 był posłem na Sejm w ramach tzw. ruchu Znak. Od 1977 r. wyraźnie przesunął się na pozycje opozycyjne.

Kontrowersje wokół polityki Mazowieckiego powrócą, gdy we wrześniu 1989 r. zostanie pierwszym niekomunistycznym premierem PRL. Jego powolność w przeprowadzaniu zmian wykreuje hasło „Przyspieszenie”, które w 1990 r. podejmą bracia Lech i Jarosław Kaczyńscy.

Piotr Semka

Mocny sen Wałęsy

Ostatnia sesja Komisji Krajowej odbywała się przez większą część soboty 12 grudnia 1981 r. Pamiętam relacje uczestników tej ostatniej Krajówki, którzy wspominają, że lider Solidarności po przerwie obiadowej wyłączył się z dyskusji. Zirytowany buńczuczными wypowiedziami działaczy zażartował zgryźliwie, że trzeba sprawdzić, co znajdowało się w obiadach, bo najwyraźniej zaszkodziły one zebrany. Dość powszechna była wówczas plotka, że Wałęsa miał w czasie przerwy obiadowej być poinformowany przez wysłanników Kiszczaka, że stan wojenny zostanie wprowadzony tak czy inaczej i wszelki opór nie ma sensu. Faktem jest, że mimo pierwszych sygnałów o zatrzymywaniu działaczy opozycji już od 22.00 w sobotę 12 grudnia Wałęsa poszedł spać. Dopiero sporo po północy 13 grudnia obudziła go ekipa z wojewodą gdańskim, wysłana w celu poinformowania go o zatrzymaniu.

Dlaczego tamtej feralnej nocy udał się na spoczynek, zamiast sprawdzić osobiście, czy sygnały o pierwszych aresztowaniach odpowiadają prawdzie? Dlaczego nie pojechał do władz Solidarności, aby organizować opór? Wałęsa nigdy na te pytania nie odpowiedział.

Piotr Semka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Kornel Morawiecki

Ten wrocławski fizyk, choć urodzony w Warszawie, zogniskował w swojej osobie dwa zjawiska, które stały się znakiem rozpoznawczym rewolucji Solidarności. Po pierwsze był przedstawicielem pokolenia, które w dorosłość weszło w latach 60. Odczuwało ono bardzo silnie przyspieszone zmiany, którym podlegał świat w tamtych czasach. Za życia jednego pokolenia gwałtownie wzrósł poziom życia na Zachodzie, możliwe były loty w kosmos, a człowiek nauczył się wykorzystywać na dobre i złe cele energię atomową. Pokolenie, któremu przyszło wchodzić w dorosłe życie w Polsce, odkrywało jednocześnie dwa zjawiska: zakłamanie systemu komunistycznego i rosnący dystans między poziomami życia w Polsce i na Zachodzie. To pokolenie Morawieckiego było siłą protestów marca 1968 r. W protestach tych osobną, ważną rolę odegrała inteligencja techniczna. Nieprzypadkowo to właśnie rodziny konserwatywne starały się wysyłać dzieci na kierunki techniczne, aby uchronić je od potrzeby zginania karku na przedmiotach czysto ideologicznych, co było częste na kierunkach humanistycznych. Matematyka, fizyka czy chemia pozwalały skupiać się na wiedzy praktycznej, która nie wymagała bezpośrednio cytowania Marksa i Lenina. Bardzo charakterystyczne było zaangażowanie Kornela Morawieckiego w wydawanie ulotek przeciw interwencji wojsk Układu Warszawskiego w sierpniu 1968 r. We Wrocławiu, leżącym stosunkowo niedaleko od Czechosłowacji, hańba udziału polskich żołnierzy w zniewoleniu bratnich narodów Czechów i Słowaków odczuwana była wyjątkowo dolegliwie. Morawiecki związał się z opozycją demokratyczną jeszcze przed sierpniem 1980 r. Ale dzięki temu, że stworzył własną bazę poligraficzną jeszcze przed sierpniowymi protestami, mógł odegrać tak ważną rolę w organizowaniu strajków w sierpniu we Wrocławiu. Dla generacji Morawieckiego karnawał Solidarności był rewanżem za porażkę studentów z 1968 r. W 1981 r. równoległe do aktywnej działalności w związku kontynuował ideę współpracy między narodami znajdującymi się pod jarzmem komunistycznej władzy i postanowił drukować po rosyjsku odezwy do żołnierzy radzieckich stacjonujących w Polsce. Za tę działalność był zatrzymany, ale w wyniku groźby strajku powszechnego w Regionie Dolnośląskim został zwolniony. Z tym większym zaangażowaniem jako delegat na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” w Gdańsku przeforsowywał posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej. Po 13 grudnia rozpoczyna się wielka podziemna epopeja Kornela Morawieckiego. I po pewnym czasie rozchodzą się jego drogi z Władysławem Frasyniukiem, liderem solidarnościowego podziemia we Wrocławiu. Morawiecki uznawał taktykę Solidarności za zbyt umiarkowaną. To dlatego powołał na przełomie maja i czerwca 1982 r. Solidarność Walczącą (patrz hasło: Solidarność Walcząca). Zatrzymany 9 listopada 1987 r. zapadł na zdrowiu. Dzięki mediacji Jana Olszewskiego wyjechał 30 kwietnia 1988 r. wraz z Andrzejem Kołodziejem do Włoch. Wrócił do kraju konspiracyjnie pod koniec sierpnia 1988 r., ale – co charakterystyczne – ujawnił się dopiero w czerwcu 1990 r. Stał się symbolem tej części Solidarności,

która traktowała komunizm niezwykle pryncypialnie i nigdy nie oddzielała polskiej walki o wolność od walki o swobodę innych narodów znajdujących się pod dominacją ideologii sierpa i młota.

Piotr Semka

- A
- B
- C
- D
- E
- F
- G
- H
- I
- J
- K
- L
- Ł
- M**
- N
- O
- P
- R
- S
- Ś
- T
- U
- W
- Z
- Ż

„Myśli staroświeckiego Polaka” Piotra Wierzbickiego

Wydana przez „Głos” w 1985 r. książka łamała wiele środowiskowych tabu i sprzeciwiała się frontowi ideowo-moralnej jedności opozycji. Samym swym skandalicznym tytułem nawiązywała do najśłynniejszego dzieła Romana Dmowskiego, była jak płachta na byka. Wierzbicki charakterystycznym tonem pełnego wątpliwości dyletanta stawiał pytania o to, jak wyjść z impasu moralistycznego gestu, jak podjąć grę i prowadzić prawdziwą, realną politykę, jak wreszcie wprowadzić w Polsce kapitalizm i co na przykład zrobić z niewydolną Hutą Lenina.

A po drodze była żarliwa pochwała Lecha Wałęsy jako polityka wyrastającego ponad tłum szkodzących mu działaczy, była obrona realistycznej postawy prymasa Józefa Glempa w stanie wojennym, no i oczywiście zapowiadane tytułem książki entuzjastyczne omówienie dorobku Romana Dmowskiego.

Tak jak w kulturze książką kwestionującą paradygmat myślenia o literaturze świadectwa była „Solidarność i samotność” Adama Zagajewskiego, tak w dziedzinie politycznej pozycją wysadzającą w powietrze nasze złudzenia i samozadowolenie były „Myśli staroświeckiego Polaka”.

Niby z Krakowa dochodziły echa aktywności środowisk skupionych wokół Mirosława Dzielskiego, niby był niestrudzony Stefan Kisielewski „Kisiel”, ale trzeba było polemicznej swady i felietonowego talentu Wierzbickiego, by tak wyraziście wypowiedzieć niezgodę na monopolizowanie rynku idei.

Wierzbicki poddawał krytyce nie tylko liderów opinii, ale brał też pod lupę rozleniwione i zepsute przez socjalizm społeczeństwo. Pytał, czy jesteśmy gotowi na wprowadzenie gospodarki opartej na konkurencji i wymagającej od ludzi realnego wysiłku.

Sztychy zadawał niezwykle celnie, a jednocześnie – tocząc tak pryncypialną walkę – strzegł się patosu i złości. Sporo było w jego piśmarstwie pobbłażania dla naszych zbiorowych złudzeń, sporo dystansu i autoironii.

Andrzej Horubała



Nasze gazety

Latami przechowywałam wąski zwitek cieniutkiego papieru – przebitki, dziś już chyba nieznanej – jaki podkładało się wraz z kalką pod pierwszą stronę papieru, aby pisząc na maszynie, uzyskiwać od razu kilka kopii. Byłam przekonana, że to jedna z domowych ulotek przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego, jakie wiele osób produkowało w pierwszych dniach wojny polsko-jaruzelskiej – bez żadnych wzajemnych uzgodnień, jakbyśmy byli prowadzeni tą samą myślą – i rozkładało w różnych miejscach publicznych. Ja wkładałam ulotki do pojemników z bułkami w sklepie spożywczym przy ul. Szolc-Rogozińskiego, jedynym wówczas spożywczaku na południowym Ursynowie.

Kiedy teraz wyciągnęłam wreszcie ów zwitek, okazało się, że to jeden z pierwszych moich serwisów napisanych dla Niezależnej Agencji Informacyjnej (NAI): wiadomości z zagranicy/czerwiec-lipiec, 1/1982. Fascynujące, bo skoro byliśmy dość szczelnie zamknięci i pozbawieni kontaktu ze światem, to skąd wiadomości z zagranicy?

Gazet podziemnych było mnóstwo. Zostały one już opisane na różne sposoby, choć na pewno nie wszystko zostało opowiedziane. Na przykład podziemne konkursy dziennikarskie zdelegalizowanego przez komunę – a jednak skutecznie działającego – Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. W roku 1985 przyznano nagrodę naszej NAI!

Tymczasem jesteśmy w roku 1982! Moim kierownikiem – działu zagranicznego – jest świetny Leon Bójko, później dziennikarz „Gazety Wyborczej”. Zmarły przedwcześnie, bo już w 1993 r. W 1982 r. jeszcze nie wiem, że naszym głównym szefem jest Jacek Maziarski, wybitna osobowość dziennikarska. Wcześniej dziennikarz „Polityki”, w pierwszych miesiącach stanu wojennego dał nadzieję i satysfakcję wielu ludziom, publikując w „Życiu Warszawy” – kiedy tylko zostało wznowione – sensacyjne ogłoszenie „Szukam uczciwej pracy. Jacek Maziarski”. Potem z radością spotkaliśmy się w „Tygodniku Solidarność”. Po śmierci Jacka w 2009 r., na zaproszenie jego żony Anny Żukowskiej-Maziarskiej dołączyłam do Fundacji Jacka Maziarskiego (FJM).

To zapewne Jacek opracował lapidarne „Wytyczne do przeprowadzenia analizy prasy i sporządzania biuletynu”, które razem z pierwszym numerem mojego serwisu przechowałam do dziś. W punkcie pierwszym czytam: postarać się o dostęp do BS. W punkcie ósmym: źródła sowieckie. „Z tym będzie najtrudniej, ale byłoby nadzwyczaj pożyteczne znać wypowiedzi propagandzistów i komentatorów gazet, agencji i wpływowych periodyków sowieckich; to samo odnosi się do prasy innych sąsiadów”.

BS to był „Biuletyn Specjalny”, wydawany w Polskiej Agencji Prasowej serwis dla uprzywilejowanych, dziś już dobrze zdokumentowany i opisany. Miewałam liczne okazje, by z niego korzystać, bo pracowałam wtedy jako „prywatna redaktorka” dla Edmunda J. Osmańczyka, wielkiego encyklopedysty („Encyklopedia spraw międzynarodowych i ONZ”), przy tym publicysty i posła, dzięki czemu miał on częsty dostęp do BS. U niego w domu podczytywałam też zachodnie gazety.

Toteż już w pierwszym – tym zachowanym – serwisie pisałam o: brakach mięsa w NRD, o opozycji na Węgrzech, o straszliwych obozach reedukacyjnych w Wietnamie, o ograniczeniach w ogrzewaniu mieszkań i ciepłej wody w Rumunii. Ronald Reagan zaś – informowałam – podczas II Specjalnej Sesji Rozbrojeniowej Zgromadzenia Ogólnego ONZ mówił o komunistycznych okropnościach w Azji i inspirowanych przez Moskwę terrorystach działających w centralnej i południowej Ameryce, w Afryce, na Karaibach, w Egipcie i w Europie oraz o bezwzględnych represjach wobec dumnego narodu polskiego.

Postanowiłam teraz, że zachowany na przebitce serwis oprawię jednak w ramkę.

Barbara Sulek-Kowalska

Niezapomniane chwile

To musiała być jedna z pierwszych takich manifestacji, bo zabraliśmy na nią czteroletniego Karolka, całkowicie bez wyobraźni, co dzisiaj piszę ze wstydem. Żył jeszcze Janusz Strzałeczki (1902–1983) – to do jego żony Urszuli Brzozowskiej-Strzałeckiej, do ich pracowni przy ulicy Nowomiejskiej w Warszawie, uciekałam przed ZOMO, gazem, pałami i wodą. Wcześniej Tazio złapał synka na ręce i pędził aż na Przyrynek, do cioci Stasi i wujka Grzesia, gdzie nie było jeszcze furtek i domofonów.

Wujek Grzesio, stary lwowiak, był zdumiony lekkomyślnością siostrzeńca, ale dumny. Janusz Strzałeczki, choć głównie leżał, to wstawał do okna i jako stary konspirator zagrzewał do walki, w czym upewniały go wznoszone przez ulicę okrzyki „gestapo!”. I podnosił nas na duchu! Malowali wtedy z Urszulą plafon w Sali Audiencyjnej Zamku Królewskiego i profesor Strzałeczki, już chory, nadawał rysy Lecha Wałęsy jednej z postaci (kilka lat później na prośbę Urszuli Brzozowskiej-Strzałeckiej zawiozłam do Gdańska wielkie szkice do tej pracy i zostawiłam na parafii kościoła św. Brygidy).

Więc pewnie było to 3 maja 1982 r. – stąd Stare Miasto, bo wszystko działo się po mszy świętej w katedrze. Bo 3 Maja to było coś! Mój przedwojenny tata zawsze w tym dniu manifestował: zakładał najlepszy garnitur, elegancki krawat i obwieszczał w skromnym biurze transportu leśnego, że wieczorem wybiera się na mszę świętą, a było to znacznie wcześniej niż nasze demonstracje!

Wspomnę jeszcze dzień 31 sierpnia 1982 r., kiedy postanowiłam wraz ze swoją francuską przyjaciółką Dominique Lagrange – dopięła swego i przyjechała – wybrać się do Gdańska i tam uczcić rocznicę. Spod pomnika Poległych Stoczniovców udało się nam dotrzeć w ostatniej chwili do kościoła Mariackiego. Podczas gdy ZOMO waliło w potężne odrzwia i lało wodą bez opamiętania, ja pokazywałam jej cuda tego niezwykłego kościoła. Niezapomniane chwile!

Barbara Sułek-Kowalska

Nobel Wałęsy

Dziś już trudno sobie wyobrazić, jak ogromne znaczenie dla nastrojów zwolenników Solidarności miała decyzja norweskiego Komitetu Noblowskiego o przyznaniu Pokojowej Nagrody Nobla Lechowi Wałęsie. Komitet ogłosił swoją decyzję 5 października 1983 r. Był to rok, w którym gasły nadzieje na szybkie obalenie rządów ekipy Jaruzelskiego. Masowe demonstracje w 1982 r. w maju i sierpniu zaskoczyły władze swoją skalą, ale jednocześnie były ostatnimi demonstracjami na ogromną ogólnopolską skalę. Demonstracje wyznaczone przez podziemne władze Solidarności na jesień 1982 r. wyszły bardzo słabo, a w 1983 r. do większych wystąpień doszło tak naprawdę tylko 1 i 3 maja. Owszem, na wzmocnienie woli oporu wpłynęła czerwcową wizyta Jana Pawła II w Polsce, ale to był już jedyny pozytywny czynnik mogący umocnić ducha członków rozwiązanego związku. Wtedy do świadomości aktywistów Solidarności zaczęło dochodzić, że proces walki o odzyskanie swoich praw może potrwać długo, że do zwycięstwa nie musi dojść na zasadzie jednego masowego zrywu. Nagroda Nobla była więc swoistym bonusem za uparte trwanie w wierności wobec związku. Bardzo ważnym akcentem decyzji Komitetu Noblowskiego było podkreślenie, że działania ruchu, który symbolizował Wałęsa, były prowadzone w przekonaniu, iż „wszystkie problemy należy rozwiązywać bez odwoływania się do przemocy”. Dziś mało kto zdaje sobie sprawę, jak bardzo Solidarność i jej walka w Polsce odróżniała się od innych ówczesnych punktów zapalnych na mapie świata. Bardzo dobrym kontrprzykładem, i to w obrębie państw Zachodu, był konflikt w Belfaście, który obfitował w całe pasmo brutalnych morderstw, zamachów bombowych, porwań i samosądów. Najbardziej tragicznym aspektem ataków protestantów i katolików w Irlandii Północnej było to, że w zamachach bardzo często ginęli niewinni ludzie. W Polsce dzięki autorytetowi Kościoła katolickiego, za którym stał jeszcze większy autorytet Jana Pawła II, przypadki zbrojnego występowania przeciwko komunistycznej władzy były niezwykle rzadkie. Sprawa zabójstwa sierżanta Zdzisława Karosa, który został postrzelony 18 lutego 1982 r. przy próbie rozbrojenia go przez członków młodzieżowej grupy konspiracyjnej i zmarł w szpitalu pięć dni później, spowodowała otrzeźwienie i była ostrzeżeniem przyjętym bardzo poważnie przez polskie społeczeństwo, że walka zbrojna z systemem to droga donikąd. Swoją rolę odegrało też bardzo silne odwoływanie się w publicystyce pism solidarnościowych do wzorców oporu, które kojarzono z Mahatmą Gandhim, przywódcą antybrytyjskiego oporu Hindusów na początku XX wieku. Równie dojrzałe podejście miała większość sprzyjającej Solidarności opinii publicznej w Polsce na terrorystyczny atak na ambasadę PRL w szwajcarskim Bernie we wrześniu 1982 r. Operacja ta, sygnowana przez tajemniczą tzw. Powstańczą Armię Krajową, mimo że związana była z żądaniem zniesienia stanu wojennego, została przyjęta zarówno przez władze Solidarności, jak i zwykłych Polaków z dystansem. Do dziś historycy nie są zgodni co do tego, jakie było prawdziwe tło

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

tamtej akcji. Nobel dla Wałęsy był uznaniem opinii światowej, że Solidarność zdała egzamin dojrzałości i potrafiła zdystansować się od używania przemocy. A to był w skali świata jeden z niewielu przykładów politycznego rozumu i duchowej wielkości.

W sensie wizualnym widok Danuty Wałęsy z jej najstarszym synem Bogdanem przypominał o dramacie Lecha Wałęsy, który był zmuszony pozostać w kraju, nie mając pewności, czy zostałby wpuszczony ponownie do swojej ojczyzny.

Piotr Semka

Nowy Port

Strajk w Stoczni Gdańskiej trwał od 13 grudnia 1981 r. wieczorem do poranka 16 grudnia w środę, kiedy czołgi zmiażdżyły słynną bramę nr 2 i rozgoniły stoczniowców. Przez środę i czwartek trwały ostre zajścia w centrum Gdańska. Ponieważ wciąż mówiono, że trzyma się jeszcze załoga portu gdańskiego, w piątek 18 grudnia pojechałem kolejką do Nowego Portu – dzielnicy Gdańska, w której znajdowały się urządzenia portowe. Do dziś pamiętam sine pochmurne niebo, opustoszałe ulice i jeżdżące w tę i we w tę milicyjne gaziki. Po dłuższym łażeniu dookoła Nowego Portu zorientowałem się, że żadnego strajku w portach już nie ma⁷. Wracając na dworzec kolejki, modliłem się, aby żaden patrol mnie nie zgarnął. Modlitwy zostały wysłuchane i szczęśliwie powróciłem do domu. Cytując klasyka: „zrozumiałem, że to już koniec”.

O tym, jak wiele nerwów kosztowało te sześć pierwszych dni stanu wojennego, można było ocenić dopiero po pewnym czasie, gdy w styczniu 1982 r. wielu ludzi odczuło pustkę i ciszę po zniknięciu zgiełkliwego świata rewolucji Solidarności. Ten nastroj oddawała dobrze piosenka Jana Krzysztofa Kelusa „Sentymentalna Panna S.”.

Oczom zdumionej publiczności
Gdy ukazała się w teatrze
Nie była w pełni w moim typie
Ale lubiłem na nią patrzeć

Szczególnie kiedy w pierwszym akcie
W tej scenie z długowłosym chłopcem
I młodym w kasku robotnikiem
Jakbyśmy byli w Europie
Pstrymi barwami swych plakatów
Zdobiła naszych ulic szarość
Jakbyśmy byli w Europie
Bez krwi szminki makijażu

Zmęczyły mnie szczególnie próby
Nie można wiecznie żyć w teatrze
Myślałem jutro lub pojutrze
Wpadnę by znowu na nią patrzeć

⁷ Strajkujących z Portu Gdańskiego „złamano” 19 grudnia 1981 r. Co prawda, strajk rozwiązano po ataku Marynarki Wojennej od strony morza, ale do pełnej pracy powrócono dopiero dwa dni później, co uczyniło z Portu Gdańskiego najdłużej strajkujący trójmiejski zakład – przyp. wydawcy.

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Nie była w pełni w moim typie
 Szczególnie raził mnie jej język
 I żyłem znowu trochę z boku
 I tak jak zwykle bez pieniędzy

Nie była w pełni w moim typie
 Ale lubiłem to że jest
 Trochę złośliwie ją nazwałem
 „Sentymentalna Panna S.”

Gdy zniknął długowłosy chłopiec
 Na scenie zjawił się urzędnik
 A na widowni coraz częściej
 Chłopcy z resortu spraw wewnętrznych
 I się robiło coraz duszniej
 I się robiło coraz ciaśniej
 I skąd to wpęzła w pierwsze rzędy
 Swołocz w mundurach różnej maści

Panegiryków nie pisałem
 Nie próbowałem się z nią pieścić
 Piszę ballady i piosenki
 A jej potrzebne były pieśni

Żyłem jak zwykle trochę z boku
 Kiedy najlepsi przegrywali
 Mówiłem: cóż nie lubią gwiazdy
 Tych którzy je wylansowali

I byłem głupi tak jak inni
 Wciąż tylko bojąc się jednego
 Że mogą zerwać przedstawienie
 Sąsiedzi z kraju ościennego

Nie był potrzebny żaden sąsiad
 Rodzimej dosyć jest kanalii
 By wytłumaczyć nam na zawsze
 Że nie jesteśmy w Portugalii
 Żeby przypomnieć nam raz jeszcze
 Że może Polak do Polaków

Że nie jesteśmy w Portugalii
Że to nie rewolucja kwiatów

Tak więc zgwałcono ją w teatrze
Z częścią zdumionej wciąż widowni
I zostaliśmy bez niej smutni
I jeszcze trochę bardziej głodni

I teraz szukam jej na mieście
I tęsknię za nią jak idiota
I choć surowo zabronione
Maluję imię jej po płotach

I listy piszę jej ulotne
Na czarnych bębnach powielaczy:
„Gdy sztuka wróci na afisze
Zagramy trochę ją inaczej”

I piszę: „wracaj jak najprędzej
Wracaj najprędzej jak się da
Czekam jak zwykle bez pieniędzy
Sentymentalny JKK”

Piotr Semka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Nudziarze i megalomani

Po wprowadzeniu stanu wojennego tysiące ludzi zaczęło tworzyć struktury konspiracyjne. Gdy tworzyli je ludzie opanowani i metodyczni, wszystko działało sprawnie. Gorzej, że nienormalne warunki konspiracji przyciągały jak magnes ludzi, którzy mieli zdolności do niewiarygodnej konfabulacji. Wszystko to, aby zaimponować komuś albo przedstawić się w odpowiednio atrakcyjnym świetle. Potrafili oni być groźniejsi niż zawodowi prowokatorzy esbecy, gdyż wprowadzali do podziemnych struktur chaos i wzajemne podejrzania. Zazwyczaj nie byli to ludzie, którzy chcieli zaszkodzić podziemiu, ale nie najlepsze cechy ich charakteru powodowały, że byli dla struktur podziemnych znacznym obciążeniem. Innym przekleństwem podziemia, szczególnie w pierwszych miesiącach konspiracji, byli kandydaci na kieszonkowych Napoleonów. Ci lubowali się w odtwarzaniu wzorców z konspiracji AK, przysięganiu na krzyż i orła, i przybieraniu efektownych pseudonimów wyczytanych w książkach o Szarych Szelegach. Byli też i podziemni malwersanci – ludzie, którzy nie mogli się powstrzymać, by z powierzonych im pieniędzy nie uszczknąć czegoś dla siebie. Zazwyczaj nie była to świadoma chęć szkodenia podziemiu – raczej jakiś defekt psychiki. Coś w rodzaju kleptomanii. Tyle że w wypadku defraudacji związkowych składek, kiedy ludzie oddawali na podziemie pieniądze ze skromnych domowych budżetów, taką nieuczciwość osądzano wyjątkowo surowo. I wreszcie najmniej groźna grupa – miłośnicy podziemnego kolorytu. Kolekcjonerzy ulotek, znaczków podziemnej poczty i całej masy znaczków z orłami w koronie, krzyżami i solidarnościowymi akcentami. Krążyli oni po obrzeżach konspiracyjnego świata, opowiadając przy okazji o swoich rzekomych znajomościach z ukrywającymi się tuzami „Konspiracy”. Robili to z podobną dozą przesady. W ten sam sposób, co niegdysiejsi marynarze opowiadający w tawernach o niesamowitych przygodach na egzotycznych morzach. Dziś ich kolekcje podziemnych znaczków to bezcenna pamiątka po nastrojach tamtej epoki.

Piotr Semka



Obozy internowania

„Jodła” – pod takim hasłem w nomenklaturze junty wojskowej w PRL funkcjonowały obozy internowania, które wprowadzono wraz ze stanem wojennym. Było to działanie nielegalne nawet w świetle ówczesnego, komunistycznego prawa. Stwierdził to w marcu 2011 r. Trybunał Konstytucyjny. Konstytucja PRL dopuszczała wprowadzenie stanu wojennego dekretem, jednakże tylko pomiędzy sesjami Sejmu. Tymczasem stan wojenny został wprowadzony podczas trwania sesji. Ponadto, jak stwierdził TK, nie było żadnego powodu do wprowadzenia stanu wojennego. „Dekret” naruszał ówczesne prawo, ponieważ stan wojenny mógł być wprowadzony jedynie na wypadek wojny, a takiej wówczas nie było. Choć, jak mówiło społeczeństwo przeciwne komunistom, była to wojna wypowiedziana przez komunistów polskiemu narodowi. Albo, jak pisano w podziemnej prasie, była to wojna polsko-jaruzelska.

Dodatkowym naruszeniem prawa było to, iż stan wojenny obowiązał od momentu jego wprowadzenia, a powinien nabrać mocy prawnej po jego publikacji. Ta zaś nastąpiła dopiero pięć dni później. Stanowiło to naruszenie zasady, iż prawo nie może działać wstecz, co było niezgodne z prawem międzynarodowym.

Podczas obowiązywania formalnego stanu wojennego (1981–1983) internowano ponad 10 tys. osób⁸. Pierwszego dnia uwięziono blisko 4 tys. osób – zarówno mężczyzn, jak i kobiet – w 52 miejscach internowania. Kilkuset wybranych działaczy „S” izolowano w ośrodkach wypoczynkowych. Z czasem trafiły tam też internowane kobiety, ale dla wielu z nich pierwszymi miejscami osadzenia były więzienia i areszty śledcze. Jednakże większość internowanych uwięziono w zakładach karnych, co było także niezgodne z prawem międzynarodowym. Jak i to, że w pierwszych tygodniach stanu wojennego nie udzielano internowanym widzeń. Podczas internowania namawiano uwięzionych do współpracy ze Służbą Więzienną, SB czy Informacją Wojskową. Bardzo często odmawiano pomocy lekarskiej.

Inną formą internowania było powoływanie i osadzanie działaczy „S” w jednostkach wojskowych – w warunkach skrajnie nieprzystosowanych, jak np. w namiotach podczas kilkunastostopniowych mrozów.

Osadzeni w obozach, w efekcie tego bezprawnego działania, często podejmowali głodówki i bunty. W konsekwencji prowadziło to do różnorodnych represji wobec nich. Jednym z najgłośniejszych protestów, o czym pisała ówczesna prasa podziemna, a także zagraniczna, był bunt więźniów w Kwidzynie 14 sierpnia 1982 r. – brutalnie spacyfikowany przez Służbę Więzienną i ZOMO. Ciężko pobito wówczas blisko 100 więźniów.

Swoje internowanie tak przed laty wspominał pracownik naukowy Wojciech Ciesielski, działacz Solidarności z Olsztyna: „Widzę, że jedziemy na cmentarz. No... pomyślałem

⁸ W rzeczywistości łącznie wydano 10 132 decyzje o internowaniu 9736 osób, z czego 396 decyzji dotyczyło ponownego aresztowania danych osób – przyp. wydawcy.

sobie, pewnie chcą mnie rozwalić. Na krótko ogarnął mnie paraliż. Teraz już wiem, dla czego ludzie, którzy ginęli w czasie egzekucji, nawet nie próbowali się bronić. Bo byli sparaliżowani strachem. Szybko jednak podjąłem decyzję, że się nie dam. Będę walczył. Nagle skręciliśmy, podjeżdżając do milicyjnych garaży, a tam już stał karabin maszynowy na nóżkach. Jakiś milicjant trzymał ujadającego owczarka niemieckiego. Fatalne wrażenie, ale nie strzelali. Wprowadzili mnie do baraku. A tam prokurator Śnieżko też zakuty w kajdanki. Zobaczyłem i innych kolegów z regionu, więc pomyślałem: to jakaś większa sprawa musi być. Szybko nam przedstawiono nakazy internowania. Pobrali odciski palców. Potem załadowali nas do starych samochodów i powieźli do więzienia w Ławie. Zastosowano wobec nas regulamin tymczasowego aresztowania. Nie było co jeść. Nie bardzo było jak się umyć. Do celi wpadał śnieg. Ktoś miał sweter, wymienialiśmy się nim przez całą noc. Szczury po nas łążyły. Takie ośliżte, z długimi ogonami... Budziły mnie”.

Wojciech Ciesielski podczas internowania poważnie zachorował. Po interwencji więziennego lekarza, a także osób z zewnątrz, został zwolniony do domu w Wigilię Bożego Narodzenia 1981 r. Ale już dwa miesiące później został ponownie internowany.

Podobnych przypadków znęcania się psychicznego nad internowanymi, oddziaływania na psychikę było bardzo wiele. Jedni wytrzymywali to nerwowo, inni nie. Kilkadziesiąt osób przypląciło to ciężką nerwicą. Wielu z nich do końca życia nie powróciło do zdrowia.

Próby całkowitego psychicznego spacyfikowania internowanych się nie powiodły. Tysiące z nich stworzyło swoistą subkulturę więźnia politycznego. Organizowano zbiorowe nauczanie: literatury polskiej, historii czy języków obcych. Powstawała więzienna literatura, proza, poezja. Tworzono muzykę patriotyczną, piosenki. Nagrywano i wysyłano w świat kasyety magnetofonowe z tą twórczością. Na papierach listowych drukowano więzienne gazetki. Powstawały też prace plastyczne – okolicznościowe plakaty, karty świąteczne czy znaczki. Powstała w ten sposób poczta obozowa. Wszystko to tworzone z materiałów dostępnych w więziennych celach, np. z linoleum, drewna z prycz bądź fragmentów futryn. Dziś ta twórczość wypełnia prywatne zbiory, muzea, izby pamięci, niekiedy... śmietniki.

Mateusz Wyrwich

Obywatelska parafia

– Zobacz, co zdobyliśmy – triumfalny okrzyk dziadka i wnuka przerwał moje wyciekiwanie: siedmioletni Karolek poszedł na religię do kaplicy, a mój ponad dziesięć razy starszy tata poszedł z kolei po niego. I czekali w kolejce na przydział tego pysznego sera – o zobacz mamó jaki żółciutki!

Nie tylko w budującej się – z tymczasową kaplicą w baraku – parafii św. Tomasza Apostoła na warszawskim Ursynowie odbywało się takie społeczne dożywianie dzieci. Kiedy parafia otrzymywała swój przydział darów – z kurii lub prosto z zagranicy, od zaprzyjaźnionych ludzi – zbierała się zaraz grupa pomocników i kroїła ser na „rodzinne” kawałki, rozlewała olej z wielkich pojemników, układała puszkę z parówkami i z soczewicą, dzieliła ogromne kartony mleka w proszku na mniejsze porcje, i tak dalej. I może najważniejsze – z pomocą zaprzyjaźnionych farmaceutek sortowała i opisywała otrzymane lekarstwa, za które ludzie potem dziękowali z pocałowaniem w rękę. Parafialne – a przecież nieoficjalne – obozy wypoczynkowe wspierały setki tysięcy dzieci! W całej Polsce!

Mieliśmy głębokie poczucie budowy społeczeństwa obywatelskiego: opracowaliśmy system zbiórek na budowę naszego kościoła i grup podejmujących prace ziemno-budowlane. Parafialny synod obradował przez wiele miesięcy i przyniósł doświadczenie wspólnoty, która wspiera się do dziś. Nasze wykłady i odczyty przyciągały tłumy – ksiądz proboszcz gromadził wokół kaplicy artystów plastyków i wciąż mieliśmy wystawy. Życie kwitło!

W 1987 r., wraz ks. proboszczem Tomaszem Królem (1940–2023) założyłam – nie pytając żadnej cenzury o zgodę – gazetę, która pod tytułem „Wiadomości Parafialne” ukazywała się do roku bodaj 2020. Pisałam teksty na maszynie, mąż ręcznie wyklejał kolumny, lokalne ksero robiło tanie odbitki. Władza przysłała nawet kontrolę z cenzury, ale już był rok 1988 i ksiądz się jakoś wykręcił.

Barbara Sułek-Kowalska

Okrągły Stół

Tak nazwano rozmowy opozycji solidarnościowej, przedstawicieli władz i partii działających legalnie w PRL oraz delegacji związków wyznaniowych odbywające się w Warszawie między 6 lutego a 5 kwietnia 1989 r.

Formalnie negocjacje zakończyły się podpisaniem dużej liczby ustaleń w większości dotyczących kwestii gospodarczych, które stosunkowo szybko się zdezaktualizowały.

W sensie faktycznym istniały dwa Okrągłe Stoły. Podczas oficjalnego – odbywającego się w tzw. stołach i podstolikach – często z ogromnym uporem wypracowywano drobiazgowo zapisy dotyczące np. indeksacji płac czy rozwiązań mających usprawnić gospodarkę. Okrągły Stół w sensie nieformalnym stanowiły nieformalne spotkania, np. w mieszkaniach w tzw. Zatoce Czerwonych Świń (potoczna nazwa osiedla w Wilanowie dla młodych aktywistów partii komunistycznej). Były okazją do zawierania politycznych znajomości między częścią młodszej generacji działaczy PZPR a lewicą solidarnościową na czele z Adamem Michnikiem i Jackiem Kuroniem z jednej strony oraz Aleksandrem Kwaśniewskim i Leszkiem Millerem z drugiej. I w tym sensie ten drugi, nieformalny Okrągły Stół stał się forum wykucia się wielu idei, które zdominowały lata 90. Od głoszonej publicznie niechęci do dekomunizacji i obietnicy poniesienia odpowiedzialności przywódców stanu wojennego po projekt stworzenia jakiegoś bloku centrolewicowego, w którym ideowo mogliby się zmieścić Adam Michnik i Aleksander Kwaśniewski. Z czasem określenie „duch Okrągłego Stołu” będzie się pojawiało przy opisywaniu wszelkich działań na rzecz zmniejszenia antagonizmu między lewicą solidarnościową a lewicą postpezetpeerowską.

Piotr Semka

Ormowcy

Byli jednym z najzdradliwszych zagrożeń dla wszystkich, którzy prowadzili tajne drukarnie. Ormowcy byli zazwyczaj emerytowanymi partyjniakami, którzy nienawidzili solidarnościowców. Jako emeryci mieli dużo czasu na obserwowanie lokali, które uznali za podejrzone. Gdy udało im się przyczynić do aresztowania konspiratorów, z dumą puszyli się przed młodszymi esbekami, że „stara gwardia jeszcze potrafi pokazać, na co ją stać”.

Piotr Semka

Orzech na Wawrzynach

ksiądz Stanisław Orzechowski

Na jego rekolekcje przychodziły tłumy. Do niewielkiej świątyni, dawnej kaplicy cementarnej na wrocławskich Wawrzynach – tysiące. Bez wątpienia wychował kilka studenckich pokoleń, zaś jego udział w powstawaniu wrocławskiej Solidarności był bez wątpienia pierwszorzędnym. Zmarły w 2021 r. ks. Stanisław Orzechowski do dziś pozostaje wrocławską legendą.

Jak mówił po latach – to dlatego, że miał znakomitych mentorów. Jednym z nich był ks. Alojzy Sławski, przedwojenny skaut i więzień niemieckiego obozu Dachau. Drugim kardynał Bolesław Kominek. I trzecim ksiądz prymas, kardynał Stefan Wyszyński.

Doświadczenia historyczne lat 50., a w szczególności komunistyczna zbrodnia z 1970 r. w sposób ostateczny uformowały w ks. Orzechowskim przekonanie, że komunizm jest niereformowalny. I że jednym z podstawowych zadań, jakie ten ustrój stawiał sobie za cel, była likwidacja Kościoła w Polsce. W związku z tym uważał, że należy się temu stanowczo przeciwstawić, bo Kościół jest fundamentem ludzkiego życia.

Po wydarzeniach radomskiego, ursuskiego i płockiego Czerwca w 1976 r. postanowił odkłamywać historię, którą przez lata komuniści fałszowali. Był już duszpasterzem akademickim, popularnym „Orzechem”, kiedy zaczął nawiązywać kontakty z kapłanami zaliczanymi przez Służbę Bezpieczeństwa do „ekstremy politycznej”. Zapraszał też świeckich z wykładami o najnowszej historii Polski, zakazanymi na zajęciach studenckich. Wykłady z zakazanej historii to jedno, drugą drogą szło formowanie przez księdza moralnej i duchowej przestrzeni młodych ludzi.

Pokazywał, że można się modlić nie tylko za pomocą książeczek do nabożeństwa, ale w każdym miejscu, także pracą czy czynem. Młodych ludzi fascynowały kazania ks. Orzechowskiego, w których przewijał się aspekt życia codziennego. Pokazywał młodym, jak żyć. I nie mówił tego z pozycji moralisty, księdza katechety, tylko zwykłego człowieka. Nie umizgiwał się do nich, nie „robił” za młodzieniaszka, ale odwołując się do współczesnych przykładów, konsekwentnie głosił Ewangelię. W latach 70. przygarniał też hipisów, co w czasie komunizmu było dość odważne. Nie zamykał drzwi przed nikim. I to, co było niezwykle ważne dla młodzieży, nie dzielił ich na intelektualistów i robotników. Tak więc do duszpasterstwa akademickiego chętnie przychodziła też młodzież robotnicza. Dzięki temu środowiska się poznawały i integrowały, co znakomicie zaowocuje podczas wrocławskich strajków w 1980 r. Obecność „Orzecha” na największym sierpniowym strajku we Wrocławiu, czyli w zajezdni autobusowej na Grabiszyńskiej, była oczywistością. Podczas pierwszej mszy świętej i wygłoszonego przez księdza kazania strajkujący usłyszeli o bolączkach ich wszystkich. Potwierdził ich przekonanie, że walczą w słusznej sprawie. Potrafił znakomicie przekazać, że są

fenomenem na świecie. Kazanie podbudowało morale robotników i przełamało barierę strachu. Kiedy więc formalnie powstała Solidarność, „Orzech” został niepisany kapelanem Solidarności.

Solidarność czasu legalnego działania – jak mówił – to ludzie, którzy odzyskiwali dumę narodową ukradzioną im przez bolszewizm. To także prostowanie pogiętych w czasach stalinowskich i później życiorysów. A także – podkreślał ksiądz – głęboka autoformacja. Ponadto podkreślał, że był dumny z odwagi kolejarzy trwających przy swoim, mimo iż strajk był otoczony przez ZOMO, które mogło wkroczyć w każdej chwili. Tam też – jak wspominał przed laty ks. Orzechowski – nauczył się, jak bardzo potrzebne jest wsłuchiwanie się w człowieka.

Ksiądz Orzechowski, podsumowując 16 miesięcy legalnego działania Solidarności, podkreślał, że egzamin z solidarności zdali wówczas bardzo dobrze zarówno świeccy, jak i hierarchia kościelna. Stan wojenny go zaskoczył. Sądził, że komuniści nie odważą się wypowiedzieć wojny narodowi. Od początku zaangażował się w pomoc internowanym i więzionym. Przez kościółek na Wawrzynach przewijali się ludzie z różnymi problemami: materialnymi, duchowymi, psychicznymi. Drzwi do pokoju „Orzecha” się nie zamykały. W kościółku zagościły też różnego rodzaju spotkania tematyczne – a to z zakresu historii, filozofii czy psychologii. Ludzie bardzo potrzebowali wówczas pomocy, zarówno duchowej, jak i psychicznej. Ksiądz wraz z grupą młodzieży zajął się również dostarczaniem żywności dla rodzin internowanych, wyrzuconych z pracy za udział w strajku. Ludzie przychodzili po leki niedostępne we wrocławskich aptekach. U „Orzecha” – jak wspominają dziś absolwenci różnych uczelni – szła formacja człowieka z odwołaniem się do Ewangelii, nauka godnego i uczciwego życia. A to nie podobało się SB. Próbowano więc księdza zrobić w bardzo nikczemne sytuacje, na przykład w pedofilii. Służba Bezpieczeństwa zaczęła nękać księdza przesłuchaniami.

Jak wspominał po latach, dzięki tym przesłuchaniom nauczył się przewyżczać strach. „Oni zupełnie nie mieli świadomości, że kształtują moją odwagę. Później się okazało, że byłem na liście osób przeznaczonych do likwidacji przez SB. No i co z tego?”.

Co tydzień na Wawrzynach o godz. 20.00 rozpoczynały się msze święte, tzw. dwudziestki, które krzepiły ludzi. Mimo iż SB oraz ZOMO usiłowały nie dopuszczać wiernych do udziału w tych mszach, to jednak ludzie, i to z różnych pokoleń, trafiali na Wawrzyny. Te pokolenia ks. Orzechowski postanowił łączyć – doświadczenie średniego i starszego pokolenia z determinacją młodych. To była stała „łączność” w nowej sytuacji. Chodziło o to, by nie zasklepiali się w jednostronnym widzeniu świata. Kiedy pytano „Orzecha”, czego uczył ludzi w stanie wojennym, w szczególności tych młodych, odpowiadał, że w sumie niewiele, ale i wiele – przede wszystkim odpowiedzialności. „Kiedyś powiedziałem, tak pół żartem, pół serio: »No, dobrze, ale jak się pewnego dnia obudzimy i tej komuny nie będzie, to co? Czy już będziemy się mniej kłócić? Czy będzie mniej rozwodów, dzieci nienarodzonych?«”. Jak wspominał po latach, chciał im przekazać, że cały czas trzeba prowadzić głęboką pracę nad sobą, by zmiana polityczna pociągnęła za sobą zmianę moralną: „I dlatego uważałem, że trzeba formować człowieka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

odpowiedzialnego i odważnego. Zostało też we mnie coś ze słów prymasa Wyszyńskiego, który powtarzał, że trzeba tyleż wiernych uczyć odwagi, ile samych siebie. Bo podstawowym błędem apostoła jest lęk”. I kiedy tak patrzeć z perspektywy lat na to, czy dojrzelśmy do wolności, czy zdaliśmy z niej egzamin, to nie mam najmniejszej wątpliwości, że tak. Myślę, że został on zdany dwukrotnie. Raz: że wywalczyliśmy Solidarność i udało nam się ją utrzymać. Później, dzięki zaangażowaniu w działalność podziemną, udało nam się wywalczyć niepodległość.

Mateusz Wyrwich



Pielgrzymki papieskie i Solidarność

„I wołam, ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja: Jan Paweł II papież, wołam z całej głębi tego tysiąclecia, wołam w przeddzień święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!”. Te słowa Jana Pawła II wygłoszone 2 czerwca 1979 r. na warszawskim placu Zwycięstwa dopiero po 1980 r. zaczęły być postrzegane jako zapowiedź powstania NSZZ „Solidarność”. Jest coś niezwykle logicznego w tym, że najpierw było papieskie wezwanie, a dopiero potem powstał 10-milionowy ruch, który rozszławił Polskę na całym świecie. I równie logiczne było to, na co wskazał papież Polak w trakcie homilii w sercu Warszawy – że odnowa oblicza tej ziemi możliwa będzie tylko wyłącznie, gdy dokona się w głębi minionego tysiąclecia. W tym sensie robotnicy wieszający na bramach strajkujących zakładów portret Matki Boskiej Częstochowskiej czuli się następcami tych wszystkich, którzy wiązali prośbę o łaski do Jasnogórskiej Pani z bieżącymi nadziejami i postulatami. Brak zrozumienia tego fenomenu i brak wyczucia, jak bardzo strajki w Sierpniu '80 były umocowane w polskiej tradycji historycznej, powodowały zdumienie zagranicznych korespondentów widzących tłumy stoczniovców, którzy czekali w kolejce do spowiedzi w trakcie strajkowej mszy. Kiedy następuje coś, co można nazwać „przemianą świadomości”? Do którego momentu ludzie myślą w jeden sposób, a potem nagle zachowują się inaczej? W czasie strajku w sierpniu 1980 r. codziennie podjeżdżałem do stacji kolejki Gdańsk Stocznia i odbywałem spacer wzdłuż stoczniowego muru aż pod główną bramę. Po drodze oglądałem strajkowe hasła i transparenty. Za każdym razem mijałem siedzących na płocie stoczniovców, którzy wycięli ze styropianu dużego białego orła. Pierwszego dnia zapytałem ich, dlaczego godło nie ma korony. W odpowiedzi usłyszałem, że to nie mój interes. Drugiego dnia znowu minąłem stoczniovców i znowu zapytałem, dlaczego nie mogą dokleić orłu korony. Tym razem usłyszałem tylko jakieś mało zdecydowane burknięcie. Trzeciego dnia, gdy po raz kolejny wysiadłem na stacji Gdańsk Stocznia, już z oddali widziałem zmianę. Na głowie orła widniała korona wycięta ze sreberka od czekolady. Ten przykład potwierdza, jak bardzo rzeczywistość może zmieniać się w krótkim czasie. Tym bardziej nieprawdopodobny był wpływ wizyt papieskich na Polaków w latach 1979–1991. Bez papieskiego nauczania, bez papieskiej umiejętności docierania do ludzkich sumień proces dochodzenia do ideałów Solidarności odbywałby się znacznie dłużej i byłby powiązany ze znacznie większą ilością przelanej krwi. Nie można nigdy zapomnieć, że to Jan Paweł II sprawił, iż największy związek zawodowy w tej części Europy odrzucił przemoc jako sposób realizowania szczytnych ideałów. Patronem tej idei będzie już na wieki ks. Jerzy Popiełuszko ze swoim przesłaniem „zło dobrem zwyciężaj”. I dlatego zarówno św. Jan Paweł II, jak i bł. ks. Jerzy Popiełuszko są dziś patronami NSZZ „Solidarność”.

Piotr Semka

Pielgrzymki robotników

Idea pielgrzymowania na Jasną Górę jest obecna w polskiej pobożności od setek lat. Tym, który skierował wielotysięczne rzesze robotników do tronu Królowej Polski, jak od XVI wieku tytułowana jest Matka Boża, był ks. Jerzy Popiełuszko. On sam został skierowany do pracy duszpasterskiej wśród pracowników Huty Warszawa w sierpniu 1980 r. – z braku innego duchownego. Pozorny przypadek zdecydował o jego losach w sposób decydujący. Ksiądz Jerzy bardzo szybko zaczął duchowo wspierać ruch Solidarności, odprawiał msze św. na terenie huty, zapraszał do udziału w liturgii w kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu, gdzie pracował jako wikariusz. To lokalne pielgrzymowanie robotników z całej Warszawy na comiesięczne Msze św. za Ojczyznę z czasem przerodziło się ogólnopolską Pielgrzymką Ludzi Pracy na Jasną Górę.

Pierwsza z nich odbyła się 18 września 1983 r., już podczas trwania stanu wojennego, krótko po zamordowaniu licealisty Grzegorza Przemyska i jego pogrzebie 19 maja 1983 r., który zgromadził tysiące Polaków.

Wydarzenie jednorazowe z czasem stało się coroczną tradycją wszystkich środowisk NSZZ „Solidarność”. Zaangażowanie ks. Popiełuszki było tutaj kwestią kluczową. W kazaniach głoszonych podczas Mszy św. za Ojczyznę niestrudzenie domagał się poszanowania godności i wolności każdego człowieka, a zwłaszcza robotnika. Nieustannie powtarzał słowa św. Pawła Apostoła, aby „zło dobrem zwyciężać”, aby nie ustawać w głoszeniu prawdy. Był niezłomny i wytrwały, a za jego słowami szły czyny. Wszyscy to widzieli, dlatego rzesza ludzi uczestniczących w nabożeństwach rosła ze spotkania na spotkanie. Przy czym ks. Jerzy nigdy nie tracił religijnego azytmu w swym działaniu i głoszonej prawdzie. W sercu jego słów i czynów był Jezus Chrystus i Matka Najświętsza. Nie politykował, nie agitował. Modlił się nieustannie i zachęcał wszystkich do modlitwy, nawrócenia, oddania się w opiekę Bogu.

Paweł Janowski

Plecakowcy i brodacze

W pierwszych tygodniach po ogłoszeniu stanu wojennego rozpowszechniano w Gdańsku za pomocą szeptanki następujący apel: Jeśli chcesz pomóc ludziom podziemia, to zapuść brodę i noś na co dzień plecaki. W sytuacji, gdy bardzo wielu ludzi z dnia na dzień zaczynało się ukrywać, zazwyczaj zapuszczali oni brody, aby zmienić swój wygląd. Chodziło więc o to, aby jak najwięcej ludzi zapuszczało brody i aby w tym tłoku zniknęli autentyczni konspiratorzy. Tak samo było z plecakami. W sytuacji, gdy bardzo wielu ludzi zaczęło je nosić, kurierzy naprawdę przenoszący ulotki siłą rzeczy ginęli w tłoku.

Piotr Semka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Pogrzeb księdza Jerzego

O żoliborskich Mszach św. za Ojczyznę było coraz głośniejsze. Co miesiąc gromadziły nieprawdopodobne tłumy, niekiedy cały skwer przed kościołem św. Stanisława Kostki był wypełniony ludźmi, wprost nabity. Bywałam tam rzadko, bo w 1983 r. byłam już w upragnionej ciąży. Oczekiwałam jej jak wybawienia od wszelkich trosk stanu wojennego, tak jakby miała mnie odciąć od ponurej rzeczywistości – i faktycznie odcinała. Zapewne nie ja jedna tak myślałam, bo przyrost demograficzny był wtedy fantastyczny!

W 1984 r. z kolei byłam karmiącą matką z konspiracyjnymi obowiązkami: trzeba było słuchać Radia Wolna Europa, zdobywać zachodnie czasopisma i „Biuletyny Specjalne” – żeby móc przygotowywać cotygodniowe serwisy do naszej Niezależnej Agencji Informacyjnej.

Ale kazania i wiersze ks. Popiełuszki, na czele z jego słynną pieśnią „Ojczyzno ma”, krążyły w odpisach i na kasetach. Przynosił je mąż, bo były dostępne w podziemnej Solidarności Politechniki Warszawskiej. Przynosiła moja siostra, która z kolegami z dawnego biura regionu Solidarności bywała co miesiąc „u Popiełuszki”. Przynosiła zaangażowana w swoje życie parafialne ciocia Stefcia lub sąsiadka z czwartego piętra, której te teksty dostarczali rodzice zaprawieni w konspiracji jeszcze w czasach II wojny światowej. Wyliczam te możliwości, żeby podkreślić, jak szeroko były rozpowszechnione teksty ks. Jerzego i jakim cieszyły się wzięciem.

W ostatnich dniach października 1984 r., po długich – od 19 października – dniach trwogi o los zaginionego księdza, runęła potworna wiadomość, że znaleziono jego ciało. Nie słuchaliśmy charczącego radia, nie włączaliśmy telewizora na fałszywe wiadomości, nie pytaliśmy o opinie sąsiadów, bo już było widać, że są bardzo różne.

Zapakowaliśmy dziesięciomiesięczną Mariankę do wózka, Karolka zabraliśmy z podwórka i ruszyliśmy z Ursynowa na Żoliborz. Po to, aby być razem w rozplakany i rozmodlonym cichym tłumnie w „jego” kościele. I żeby stanąć w ogromnej – przeogromnej milczącej kolejce – i złożyć podpis pod apelem, żeby ks. Jerzy mógł być pochowany tutaj, przy swoim kościele, wśród swoich. Strasznie zależało nam na tym, żeby nasz sześćdziesięcioletni syn też mógł się własnoręcznie podpisać, może nieco koślawymi literami, ale żeby to zapamiętał i wiedział, o co chodzi.

I zapamiętał.

Zapamiętał też szczegóły pogrzebu, na który pojechaliśmy w sobotę 3 listopada, choć data była akurat dla Karolka nieistotna. Ale za to pamięta do dzisiaj, że z autobusu, który już na Ursynowie był pełen do ostatniego stojącego i wiszącego miejsca, nikt nie wysiadał poza jednym obśmianym pasażerem, upierającym się, że musi wysiadać na placu Konstytucji, czyli w połowie drogi. Wszyscy inni dobrze wiedzieli, dokąd jadać: na pogrzeb, ten jeden jedyny pogrzeb tego dnia. Na plac Komuny Paryskiej – tak się nazywał do 1989 r. przedwojenny plac Woodrowa Wilsona.

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Zapamiętał nasz sześciolatek, że tam, na placu, wszyscy z tego morza ludzi, tych niezliczonych rzesz – którym przecież sięgał do kolan – mieli ręce w górze z palcami w kształcie litery V. Siedzieli na drzewach i na dachach niskich tu domów.

Zapamiętał na całe życie potężny śpiew „Boże, coś Polskę”, z którym wsiadaliśmy do powrotnego autobusu, gdzie wszyscy śpiewali na stojąco – nawet ci, którzy mieli miejsca siedzące, też wstali. I chociaż autobus już odjechał daleko, stali, śpiewali i płakali. I tak aż do samej pętli na Ursynowie.

Barbara Sułek-Kowalska

Jan Polkowski

Najwybitniejszy poeta stanu wojennego. Działacz krakowskiego SKS, wydawca, redaktor, internowany 13 grudnia. Poeta szczególny. Niby młodszy brat poetów Nowej Fali, ale sięgający głębiej. Pokazywał, jak można gest, zdawałoby się, anachroniczny: patriotyczny i religijny, a nawet mesjanistyczny, przekształcić w sztukę. Sztukę najnowocześniejszą, olśniewającą wynalazczością, niepokojącą skrótami, wwiercającą się w świadomość.

Debiutował w roku 1978 w drugim obiegu i świadomie nie wchodził na ścieżkę, którą kroczyła ku literackim splendorom większość jego rówieśników. Chciał być poetą wolnym, piszącym dla wolnych ludzi.

Krytyka, zrazu zdezorientowana, zarzucała jego wierszom z internowania, że to zaledwie szkice, utwory niedopracowane, kończone zbyt pośpiesznie. Ale później odnalazła klucz, porównując jego utwory do palimpsestu. Palimpsestu, czyli pergaminu, na którym po starciu, zamazaniu dawnego tekstu napisano nowy. Czasem spod najświeższego zapisu wyłaniają się warstwy starsze, czasem czytelne, czasem tylko sugerujące, że pod spodem jest inna opowieść, że coś tam istnieje, istniało. Coś starszego, bardziej wartościowego, prymarnego.

Polkowski pozwala tej starszej warstwie tekstu na przebijanie się na powierzchnię utworu. A czyni to właśnie tak, jakby to jedynie fragment, jedynie strzęp był w stanie się przedostać, jakby zapis świętej księgi, księgi religii, księgi Historii albo też rodzinnego przekazu przezierał częściowo, tylko przypominając, że pod zdarzeniami bieżącymi, przed krzykliwą, często skarłatą, brutalnie szarą współczesnością istnieje pismo starsze.

Imię żony – Ania, Anna, obrazy kobiety przy nadziei, figury dziecka, dzieciątka Jezus, jakiegoś prawzoru świętej rodziny – to inne mocne znaki tworzące duchowy krajobraz Polkowskiego.

Sam sobie (i czytelnikowi) zadaje pytania, z niewyraźnej przeszłości i z na wpół zartatego kodeksu odtwarza świat. W poetyckiej epifanii widzi nagle mistyczny sens pozornie zwyczajnych zdarzeń. Słowami Ewangelii prześwietla swe czyny, nasze czyny.

W wierszu datowanym „III 1982” scena z więziennej celi:

Przy stole grają w karty: starszy chudzielec
i młody brodac. Trzeci
leży w łóżku czyta książkę. Ciemne
okno spokój szemrząca rozmowa.
Z przyklejonego do ściany zdjęcia patrzy na nich
młoda kobieta trzymająca na kolanach
małego chłopca. Skupiony malec nie poznaje
ojca właśnie podniósł rączkę (zdjęcie

A
B w tym miejscu jest zamazane) jakby błogosławił
C tym trzem więźniom
D (Żydom Grekom
E i całej Ziemi).

I tytuł wzbogacający perspektywę: „Wśród nas, nieczystych”.

F Utwory Polkowskiego są dziełem otwartym: szeregiem pytań, czasem wzajemnie
G sprzecznych sugestii, mozolnym odcyfrowywaniem nieznanego. Pytania wewnątrz
H utworu, niepewność co do własnych przeczuć i odczuć, zawieszenie sądu – to sposób
I na uczynienie z utworu wewnętrznej medytacji. Nawet gdy spotykamy się z otwartym
J patosem, to jest on przesłaniany niesamowitym poetyckim pięknem:

K
L Umiera naród, jest tak cicho, że słyszę,
M jak z mokrych kamieni nad Białką piją pszczoły
N i okurzony słońcem jeometra wytycza brzoźowym trójkątem
O nowe granice imperium.

P Taka była poetycka magia, którą oczarował krytyków.

R Poezja stanu wojennego była fenomenem niezwykłym. Poeci i amatorzy odpowie-
S dzieli na ten szczególny czas wybuchem twórczej aktywności. Choć niejednokrotnie
Ś wyśmiewani – choćby przez Tadeusza Konwickiego w „Rzece podziemnej, podziem-
T nych ptakach” – pokazali jednak, że poezja ma sens i jest konieczna, by konfrontować
U się z rzeczywistością, zapisywać nasze doświadczenie, ale też nadawać mu głębszy
W sens i znaczenie. Owszem, był to też czas pobudzenia grafomanii, wylewu kiczu i oko-
Z licznościowych rymowanek, ale też czas, gdy pojawiały się prawdziwe perły.

Andrzej Horubała

Powielacze w piwnicy – prasa podziemna

Po 13 grudnia 1981 r. stało się jasne, że tylko oficjalnie istniejące gazety będą opisywały rzeczywistość. Solidarność i inne opozycyjne środowiska ze swoimi wydawnictwami musiały zejść do podziemia. Represje esbecji przybierały na sile, mnożyły się zatrzymania na 48 godzin, inwigilacja, rewizje. Represje dotyczyły setek osób i ich rodzin. To oczywiście nie było w stanie zatrzymać Polaków. Informacje o losie represjonowanych i internowanych natychmiast rozchodziły się w środowisku. Pierwszym pismem związku był „Strajkowy Biuletyn Informacyjny »Solidarność«” wydawany w Stoczni Gdańskiej w czasie strajków sierpniowych (23–31 sierpnia 1980 r.; nakład 60 tys. egzemplarzy; łącznie wyszło 14 numerów). Również w Szczecinie związek wydawał własne pismo – „Jedność” (od 24 sierpnia 1980 r.), wtedy też nastąpił prawdziwy wysyp materiałów powielanych – statutów, oświadczeń i informacji.

Powstawały liczne biuletyny, zaczął się tworzyć wielki ruch przełamujący monopol na słowo drukowane. Z czasem także większe zakłady wydawały własne gazety. Po wielu perturbacjach udało się stworzyć „Tygodnik Solidarność”, a nieco później Agencję Prasową „Solidarność” (AS). W okresie stanu wojennego organizowanie i drukowanie prasy uległo rozproszeniu. Nakłady odbitek się zmniejszyły, objętości druków także, ale mimo to nie zaprzestano wydawania ulotek, odezwo, informacji. Wszystko po to, by podtrzymać ducha i utrzymać struktury w warunkach podziemnych i nielegalnych działań.

Paweł Janowski

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Prezenterzy w mundurach

Dziś chyba trudno już będzie ustalić, kto wpadł na pomysł, aby prezenterzy „Dziennika Telewizyjnego” – sztandarowego magazynu informacyjnego komunistycznej telewizji – nosili na wizji mundury. Było to średnio trafione, głównie z powodu już dość zaawansowanego wieku niektórych prezenterów DTV, np. Witolda Stefanowicza, Andrzeja Raławickiego czy Marka Tumanowicza. Jeśli ktoś dzisiaj myśli, że przy okazji stanu wojennego prezenterom ktoś ofiarował choćby najniższe gwiazdki oficerskie, to się myli. Prowadzący programy informacyjne nosili mundury szeregowców, bez żadnych dystynkcji. Pewien problem pojawił się tylko na antenie ośrodka lokalnego TVP w Gdańsku. Tam główny prowadzący, gdyby ubrać go w mundur marynarza, mógłby wyglądać dosyć groteskowo z dużym kołnierzem zakończonym frędzlem. Ktoś wpadł więc na pomysł, że trzeba dla niego wymyślić mundur, który nie miał żadnego realnego odbicia w istniejącej już hierarchii Marynarki Wojennej. Bartnicki nosił mundur oficerski Marynarki Wojennej, ale bez jakichkolwiek insygniów. Zresztą robił to z tak dużym oddaniem, że w 1983 r. przeniesiono go w nagrodę do warszawskiej centrali TVP.

Piotr Semka

Profesor na ambonie

Na nasze parafialne spotkanie ze Stefanem Bratkowskim – sławnym publicystą i szefem zdelegalizowanego, ale żywego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich – przyszły takie tłumy, że wspomniano to przez lata! Byłam jedną z organizatorek tego wieczoru i rozpiełała mnie duma, że u nas, na dalekim i głębokim Ursynowie, dzieją się takie światowe wydarzenia! Nasza parafia św. Tomasza Apostoła, młoda i rozproszona, była wtedy centrum kultury i sztuki oraz prawdziwej nauki!

I nie tylko nasza! W Słupsku i Nowej Hucie, w Gdańsku i Rzeszowie, w Zbroszy Dużej i Haczowie, w Krakowie i we Wrocławiu, i oczywiście w Warszawie – wszędzie, jak Polska długa i szeroka, odbywała się przyspieszona edukacja Polaków. Starzy i młodzi, spracowani robotnicy i zmęczone lekarki, matki dzieciom i nauczyciele gromadzili się w zimowe i letnie wieczory w kościołach i salkach parafialnych, żeby słuchać o historii Polski i Europy, o Katyniu i Jałcie, o pakcie Ribbentrop–Mołotow – o niezakłamanej historii, trzeba to podkreślić, bo teraz, po 40 latach, nikt już nie rozumie, jakim fałszem byliśmy spowici.

Jako pierwsza bodaj do działania w zorganizowany sposób przystąpiła Archikonfraternia Literacka – już 19 września 1982 r. Miałam z nią do czynienia na bieżąco, ponieważ angażowała się w niej moja siostra Anna Sułek; o jej pożegnaniu z pracą w Regionie NSZZ „Solidarność” piszę w innym miejscu. Z pieczętą „S” w dowodzie osobistym (to, że wszyscy byliśmy opieczętowani, jest zapewne nowością dla młodego czytelnika) długo była bezrobotna – aż wreszcie zaprzyjaźnieni ludzie przygotowali dla niej posadę – nie do końca oficjalną – w Ośrodku Badawczym Adwokatury, w Alejach Ujazdowskich. Stamtąd miała dwa kroki do kościoła św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży, gdzie początkowo odbywała się większość wykładów. Ale tłumy przychodziły takie, że spotkania szybko trzeba było przenieść do kościoła Świętego Krzyża, który nie tylko z tego powodu obrósł legendą. I któż tam nie wyładał: profesorowie Anna Świderkówna, Anna Sucheni-Grabowska, Henryk Samsonowicz, Marian M. Drozdowski, Jerzy Łojek, ks. Józef Tischner, Tadeusz Łepkowski, Andrzej Ajnenkiel, Andrzej Paczkowski, Zbigniew Wójcik, Stefan Swieżawski, Aleksander Gieysztor i naprawdę wielu innych. A już w „Zeszyty...” nr 3 drukowany był o. Jacek Salij OP, prawdziwa opoka naszych czasów; jego jakże wtedy potrzebnego wykładu „O odwadze cywilnej” słuchałam ściśnięta gdzieś pod chórem.

Moja siostra nie tylko przepisywała te wykłady, ale też redagowała „Zeszyty Studium Nauki Społecznej Kościoła”, w których były publikowane. Robiła to również w godzinach pracy w owej adwokaturze. Za wiedzą swojej szefowej, przedwojennej jeszcze mecenas Jadwigi Rutkowskiej z d. Kunstetter, co zaznaczam po to, by powiedzieć, że jej brat prof. Stanisław Kunstetter był promotorem pracy doktorskiej mojego męża i też akceptował jego solidarnościowe poczynania. Pani mecenas godziła się też na dyskretne

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

korzystanie z zasobów adwokackiego papieru i taśmy (do maszyny), która zużywała się szybko, bo przecież Hania waliła w maszynę ile wlezie, przygotowując także matryce do dalszej pracy. A papieru przecież nie mogliśmy kupować! I co? „Zeszytów...” wyszło 30, wliczając 8 tematycznych.

„Zeszyty...” wydawane były oficjalnie przez Wydział Duszpasterstwa Kurii Metropolitalnej Warszawskiej, ale tak naprawdę pod opieką abp. Bronisława Dąbrowskiego, który był prawdziwym dobrym duchem Archikonfraterni Literackiej. Jej sprężyną zaś i motorem był prof. Mieczysław Nieduszyński (1914–1991), ekonomista po przejściach z władzą, w młodości powstaniec warszawski, jak większość tu wymienionych profesorów. To jego pomysły, jego postawa i działania zgromadziły tylu ludzi i przyniosły takie piękne efekty.

Barbara Sułek-Kowalska



Radio Solidarność

Pierwszą audycję podziemnej rozgłośni utożsamiającej się z Solidarnością nadało krakowskie Radio Wolna Polska 14 grudnia 1981 r. Nadawano przez kilka dni podczas strajku w Hucie imienia Lenina. Pomysłodawcami, realizatorami i nadawcami byli m.in. Stanisław Tyczyński i Wiesław Ciołkiewicz. Wkrótce w całej Polsce rozpoczęły swą działalność liczne rozgłoszenia nadające kilku- lub kilkunastominutowe audycje, cyklicznie bądź w nieokreślonych odstępach. Niekiedy tylko zakłócały „Dziennik Telewizyjny” napisem „Radio Solidarność”. Ze względu na bezpieczeństwo o terminach nadawania audycji podziemna Solidarność informowała w rozrzuconych ulotkach w mieście, niekiedy też w dużych zakładach pracy.

Pierwszym cyklicznie nadającym radiem było Radio Solidarność, którego pomysłodawcą i konstruktorem był inżynier elektronik Ryszard Kołyszko, współzałożycielami – Zofia i Zbigniew Romaszewscy. Jako sygnał wywoławczy audycja przyjęła piosenkę z 1942 r. „Siekiera, motyka...”, do której tekst w czasach okupacji niemieckiej napisała Anna Jachnina. Wykonawcą utworu na potrzeby radia był muzyk Orkiestry Teatru Wielkiego w Warszawie Janusz Klekowski. Tak wspominał on przed laty: – Zastanawialiśmy się ze Zbyszkim Romaszewskim, co wybrać jako sygnał zapowiadający audycję. Braliśmy pod uwagę takie patetyczne utwory jak „Etiuda rewolucyjna” Chopina. Zosia Romaszewska ciągle jednak nas przed tym ostrzegała i przekonywała, że musi to być coś łatwo wpadającego w ucho. Wreszcie powiedziała: skoro jest wojna, to niech będzie fragment piosenki z okresu okupacji: „Siekiera, motyka”. W mieszkaniu, w którym się ukrywałem, miałem ze sobą flet. Więc postanowiłem na nim zagrać ten motyw. No i okazało się, że nie może być innego sygnału, tylko ten właśnie.

Pierwszą audycję nadano 12 kwietnia 1982 r. o godzinie 9 wieczorem. Z wieżowca na warszawskiej Ochocie nadali Janusz Klekowski i Marek Rasiński. Lektorką była Zofia Romaszewska. O emocjach związanych z tą pierwszą emisją opowiadał przed laty Klekowski. – Nie przypadkiem wybraliśmy drugi dzień świąt Wielkanocy. Wiedzieliśmy, że już część funkcjonariuszy będzie zdemobilizowana na przepustki świąteczne: milicjanci, SB, Rezerwowe Oddziały MO, ZOMO, wojsko. Trzy dni wcześniej zostało rozrzuconych kilkanaście tysięcy ulotek informujących o tym, że w drugi dzień świąt nadawać będzie Radio Solidarność. Było to, można rzec, pierwsze radio interaktywne w Polsce. Poprosiliśmy bowiem ludzi o to, by zapalali i gasili światła w zależności od tego, jak będą nas słyszeć. Specjalny kod migania Zosia podała w trakcie audycji. W ten sposób chcieliśmy się zorientować, jaki jest nasz zasięg. W emisję zaangażowało się kilka rodzin z bloku. Nadajnik wnieśliśmy w teczce dyplomatce. Antenę umieściliśmy na kilkumetrowej wędce teleskopowej. Marek stał z wysoką anteną na dachu niczym poseł wolności, a ja kilka metrów koło niego z odbiornikiem kontrolnym, sprawdzającym słyszalność. Miałem swoje lęki. Zasilanie do naszego sprzętu szło z okna jednego z mieszkań. Miałem

wrażenie, że ten czarny kabel, który idzie po ścianie i wychodzi na dach, jest wszędzie widoczny. Na dachu raptem wyobraziłem sobie, że pod blokiem jest zbiegowisko ludzi i wszyscy pokazują sobie palcami nas i ten kabel. To było zupełnie irracjonalne! Na szczęście obecność Marka bardzo mnie uspokajała. Kiedy zaczęliśmy nadawać, zobaczyłem światła mrugające po horyzont. Popłakałem się. Marek chyba też i w wielkiej euforii powiedział: „Teraz to już mogą mnie zamknąć”.

Pierwsze aresztowania pracowników radia nastąpiły w maju. Kolejne w czerwcu. Miesiąc później aresztowano Zofię Romaszewską. W kolejnym miesiącu Zbigniewa Romaszewskiego wraz z kilkusobowym zespołem. Podczas procesu 17 marca 1983 r. ogłoszono wyroki – od kilku miesięcy do czterech i pół roku więzienia dla Zbigniewa Romaszewskiego, dla Zofii natomiast trzy lata.

Audycje radiowe rozpowszechniły się w całym kraju. Nadawano je w kilkudziesięciu miastach. Jedne miały kontakty z warszawskim radiem, inne nie. Ostatnią audycję, z wyemitowanych przez lata kilkuset, nadała w podwarszawskim Legionowie 3 czerwca 1989 r. Bożena Kamińska, w przededniu wyborów parlamentarnych. Ostatnią audycję można było usłyszeć jeszcze 22 czerwca 1989 r. w Warszawie.

Mateusz Wyrwich

Mieczysław Rakowski

Jako członek ścisłego kierownictwa PZPR miał stosunkowo najszerzą gamę znajomości wśród ludzi Zachodu. Ten były redaktor naczelny „Polityki” był przywoływany, ilekroć trzeba było gościom z Zachodu uzasadnić konieczność wprowadzenia stanu wojennego. Jednym z pierwszych wywiadów przedstawicieli ekipy Jaruzelskiego przeprowadzonych już po 13 grudnia 1981 r. była rozmowa Rakowskiego z dziennikarzami zachodnioniemieckiego tygodnika „Stern”⁹. Rakowski bronił racji ekipy Jaruzelskiego, używając argumentów, które miały najlepiej trafiać do wyobraźni Niemców z RFN. Prezentował stan wojenny jako mniejsze zło, zapobieżenie szerszemu konfliktowi, który groził generalnym starciem Zachodu z obozem państw komunistycznych i wojną atomową. Najciekawszym akcentem wywiadu było zdjęcie, które niemiecki fotoreporter zrobił Rakowskiemu przed jego domem. Na ośnieżonej alejce w Warszawie przed willą, którą otrzymał od władzy, Rakowski w swobodnej pozie, w dużym kozuchu pozuje na masce peugeot 604, bardzo reprezentacyjnego i rzadkiego wówczas samochodu.

Dwa lata później, 25 sierpnia 1983 r., w rocznicę strajków sierpniowych Rakowski, który lubił wymyślać niekonwencjonalne imprezy propagandowe, zaproponował, aby urządzić dla niego spotkanie ze stoczniowcami Stoczni im. Lenina w Gdańsku. Dla ambitnego Rakowskiego transmitowany przez TVP show był okazją do prowadzenia dosyć perwersyjnego dialogu. On zachwalał osiągnięcia ekipy stanu wojennego. Robotnicy siedzący w pierwszych rzędach milczeli. Tylko w dalszych rzędach siedziała grupa robotników z Lechem Wałęsą na czele, która – przekrzykując Rakowskiego – wyśmiewała jego propagandę. Rakowski początkowo z nimi polemizował, a potem uznał, że są oni wygodnym chłopcem do bicia. Na wyzwiska reagował już tylko pogardliwym: „A krzyczcie sobie, krzyczcie”. Trudno było uniknąć wrażenia, że stoczniowców osobiście nienawidzi i nimi pogardza. Dowiódł tego po ponad pięciu latach. 1 listopada 1988 r. już jako premier przedostatniego rządu PRL podpisał decyzję o likwidacji Stoczni im. Lenina pod pretekstem braku rentowności.

Piotr Semka

⁹ Wywiad ten ukazał się w 4 numerze pisma opublikowanym 21 stycznia 1982 r. – przyp. wydawcy.

Ronald Reagan

Dla Polaków – oburzonych zamachem stanu Jaruzelskiego – osobisty ton, w którym prezydent Ronald Reagan mówił o swoim podziwieniu dla Solidarności, był czymś niezwykle cennym. Po cynicznym prezydencie Geraldzie Fordzie i słabeuszu Jimmym Carterze Ronald Reagan był pierwszym od lat prezydentem, którego Polacy kochali. Razem z Janem Pawłem II Reagan pomógł zniechęcić Moskwę do bezpośredniego najeżdżenia na Polskę. I za to obaj wielcy mężowie stanu mają w moim rodzinnym Gdańsku pomnik. Nigdy też nie zapomnę, jak w stanie wojennym w Wigilię Bożego Narodzenia Reagan umieścił w oknie Białego Domu zapaloną świeczkę na znak solidarności z walczącą Polską.

Piotr Semka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Regionalna Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze

Po wprowadzeniu stanu wojennego w ciągu kilku tygodni powstało blisko 30 podziemnych komisji regionalnych – struktur stworzonych przez przewodniczących regionów bądź działaczy ze szczebla prezydium, którym udało się uniknąć aresztowania. Także tym, którzy nie wchodzili wcześniej w skład regionalnych struktur Solidarności. Zwykle byli to działacze szczebla zakładowego w fabrykach, szkołach czy na uczelniach.

RKW Mazowsze powstała 8 maja 1982 r. Wśród jej założycieli znaleźli się Zbigniew Bujak, Zbigniew Janas, Wiktor Kulerski i Zbigniew Romaszewski. Zbigniew Bujak był pracownikiem Zakładów Mechanicznych „Ursus”. Od września 1980 r. przewodniczącym MKZ Mazowsze, a od czerwca 1981 r. przewodniczącym Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność”. Wcześniej, od 1978 r., współpracownikiem Komitetu Obrony Robotników (KOR). W podziemiu ukrywał się od 13 grudnia do czasu aresztowania w 1986 r. Współorganizował strajk w Ursusie. Podczas legalnej działalności „S” wchodził w skład Krajowej Komisji Porozumiewawczej, a także jej prezydium. W czasie wprowadzania stanu wojennego uniknął aresztowania, zaś po aresztowaniu w 1986 r. został zwolniony na mocy amnestii.

Zbigniew Janas również działał w legalnej Solidarności w Zakładach Mechanicznych „Ursus”, gdzie pracował od 1978 r. W tym samym czasie nawiązał współpracę z Komitetem Obrony Robotników. Zajmował się kolportażem bezdebitowej literatury: prasy i książek. W 1980 r. był współorganizatorem strajku w Zakładach Mechanicznych „Ursus”, a podczas legalnej działalności Solidarności – przewodniczącym Zarządu Fabrycznego NSZZ „Solidarność” w tych zakładach. W stanie wojennym ukrywał się do 1984 r., gdy wyszedł z podziemia po brutalnym pobiciu żony przez bezpiekę. Chociaż Służba Bezpieczeństwa usiłowała wymusić na nim podpisanie oświadczenia o ujawnieniu się, nigdy na to się nie zgodził.

Wiktor Kulerski to absolwent historii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Już w połowie lat 70. XX wieku współpracował z nielegalną wówczas partią, jaką było Polskie Porozumienie Niepodległościowe, zakładające dążenie do niepodległości Polski. W 1976 r. został również współpracownikiem Komitetu Obrony Robotników. W październiku 1980 r. został wiceprzewodniczącym MKZ, a od czerwca 1981 r. Zarządu Regionu Mazowsze. W stanie wojennym skutecznie unikał aresztowania.

Zbigniew Romaszewski był doktorem fizyki, absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego. Od lat 60. zaangażował się w działalność polityczną. W 1976 r. wspomagał

radomskich i ursuskich robotników podczas ich protestu. Później związał się z Komitetem Obrony Robotników. W 1980 r. został jednym z członków Komisji Helsińskiej KSS „KOR”, której zadaniem było stworzenie raportu o stanie praworządności w komunistycznej Polsce. Po powstaniu Solidarności wszedł w skład władz Regionu Mazowsze, a także kierownictwa krajowego NSZZ „Solidarność”. W stanie wojennym był współtwórcą podziemnego Radia Solidarność. Aresztowano go w 1982 r., więzienie opuścił w 1984 r.

Po aresztowaniu Romaszewskiego do RKW Mazowsze w jego miejsce wszedł Konrad Bieliński. Jako licealista należał on do stalinowskiej organizacji harcerskiej Walterowcy. Studiował na Uniwersytecie Warszawskim informatykę, brał udział zarówno w manifestacjach Marca '68, jak też w 1973 r. podczas protestów w trakcie przemianowania Zrzeszenia Studentów Polskich w Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. W 1976 r. nawiązał współpracę z KOR, by rok później wejść w skład Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”. W ramach dalszej działalności opozycyjnej został w 1977 r. współtwórcą podziemnej Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWa. Podczas strajku w Stoczni Gdańskiej w 1980 r. zajmował się poligrafią. W trakcie legalnej działalności „S” był redaktorem naczelnym pisma Regionu Mazowsze „Niezależność”. Zbiegł z internowania i w październiku 1983 r. wszedł w skład RKW Mazowsze.

Niespełna rok później do RKW Mazowsze dołączył Jan Lityński, działacz z najdłuższym stażem opozycyjnym. Wychowany został w rodzinie funkcjonariuszy stalinowskich w Polsce. W latach 60. XX wieku działał w komunistycznych młodzieżówkach kontestujących działaczy PZPR, jak choćby w Klubie Poszukiwaczy Sprzeczności. Od lat 60. był w Związku Młodzieży Socjalistycznej, skąd został usunięty w 1967 r. za działalność wspierającą młodych kontestatorów „linii partii” (PZPR), w tym Adama Michnika i Jacka Kuroń. W 1968 r. został aresztowany i skazany na więzienie, skąd wyszedł po ponad roku objęty amnestią. Organizował wiele działań wspierających tzw. rewizjonistów w PZPR. Przez wiele lat był inwigilowany i prześladowany, m.in. usunięto go ze studiów. W latach 70. został współzałożycielem „Biuletynu Informacyjnego KSS »KOR«” i jego redaktorem. Następnie działał w redakcji „Robotnika”. W 1980 r. został aresztowany i zwolniony po podpisaniu Porozumień Sierpniowych, co było spełnieniem jednego z postulatów strajkujących, domagających się zwolnienia więźniów politycznych. Podczas 16 miesięcy legalnego działania Solidarności był m.in. doradcą MKZ „S” Mazowsza. Internowano go 13 grudnia 1981 r. Niespełna rok później władze stanu wojennego zamieniły mu internowanie w oskarżenie o „próbę obalenia ustroju PRL”. Został osadzony w mokatowskim więzieniu, do którego nie powrócił, gdy został wypuszczony na przepustkę.

Celem RKW Mazowsze była koordynacja działalności regionu w stanie wojennym. Przez wiele lat zajmowała się wydawaniem odezw do mieszkańców Mazowsza, organizacją manifestacji i akcji protestacyjnych w zakładach pracy. Nieformalnym organem prasowym RKW był „Tygodnik Mazowsze”, choć do dziś jego redaktorzy dystansują się od nazywania ich pisma „organem RKW”. Jednym z najważniejszych przedsięwzięć w czasie stanu wojennego było utworzenie grup specjalistycznych działających przeciwko

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
Ś
T
U
W
Z
Ż

komunistom. Ośrodkiem na wzór Polskiego Państwa Podziemnego, pod kryptonimem „Armenia”, kierował w sposób szczególnie skuteczny zakonspirowany Wojciech Stawiszyński. Jak wspominał: – W skład „Armenii” weszła grupa techników i naukowców, którzy zajmowali się m.in. różnego rodzaju pomysłami technicznymi. Grupa miała kryptonim „Kwadrat”¹⁰. Inna z kolei to tzw. Zespół, czyli podziemny instytut badania opinii publicznej. Kierowała nim Barbara Fedyszak-Radziejowska prowadząca m.in. grupę kilkudziesięciu ankieterów działających na terenie mazowieckich zakładów. W skład „Zespołu” wchodził też naukowcy, którzy na podstawie prowadzonych badań sporządzali raporty dotyczące opinii publicznej i poglądów dominujących w organizacjach związkowych. Gospodarką, czyli pomnażaniem zasobów finansowych, pochodzących m.in. ze składek, zajmował się zespół gospodarczy „Zegar”¹¹. Od jesieni 1983 roku funkcjonowały jeszcze dwie grupy. Jedną zajmującą się akcjami specjalnymi o kryptonimie „GS” („Grupa Specjalna”). Działała ona w ramach zespołu „Nil” kierowanego przez Wojciecha Stawiszyńskiego. W składzie zespołu były trzy ogniwa: grupa odpowiedzialna za emisję, grupa przegrywająca audycje na kasety i właśnie „Grupa Specjalna” („GS”), która zajmowała się m.in. organizowaniem manifestacji, rozklejaniem plakatów, rozrzucaniem ulotek. Akcje kierowane przeciw kolaborantom komuny polegały m.in. na wpuszczaniu do mieszkań, biur i teatrów środków chemicznych wydzielających nieprzyjemne zapachy, tzw. śmierdziuchów, które uniemożliwiały korzystanie z tych pomieszczeń przez dłuższy czas.

Przedsięwzięciem specjalnym, które powierzyło Stawiszyńskiemu kierownictwo RKW Mazowsze, było zorganizowanie krajowego zjazdu przedstawicieli podziemnych struktur NSZZ „S” w 1986 r. Opatrzono je kryptonimem „Grobla”. W zjeździe miało uczestniczyć 42 przedstawicieli podziemnych struktur, m.in. przewodniczący NSZZ „S” Lech Wałęsa oraz przewodniczący innych regionów i podziemnych struktur. Wśród nich: Zbigniew Bujak, Konrad Bieliński, Janusz Onyszkiewicz, Wiktor Kulerski, Ewa Kulik i Henryk Wujec. Przygotowania do zjazdu trwały blisko rok. Zaangażowano do tej operacji ponad 100 osób – kurierów, łączników oraz służby kwatermistrzowskie, by zorganizować konspiracyjne mieszkania i transport. Jednakże na kilka tygodni przed zaplanowanym rozpoczęciem zjazdu aresztowane zostało kierownictwo RKW Mazowsze – jego przewodniczący Zbigniew Bujak, Ewa Kulik i Konrad Bieliński. Zjazd został odwołany. Wojciech Stawiszyński do dziś zastanawia się, czy był to przypadek, czy jednak operacja polityczna? Na razie dokumenty komunistycznych służb specjalnych nie dają na to odpowiedzi.

Po amnestii w 1986 r. RKW Mazowsze ogłosiła we wrześniu tego roku przejście do działalności jawnej.

Mateusz Wyrwich

¹⁰ „Kwadratem” kierował Janusz Radziejowski – przyp. wydawcy.

¹¹ „Zegarem” kierował Henryk Skalski – przyp. wydawcy.

Rewolucja Solidarności według świętych polskich

Święty papież Jan Paweł II, największy autorytet minionych niedawno czasów, nauczał w swych dziełach i homiliach m.in. tak: „Solidarność – to znaczy jeden i drugi, a skoro brzemień, to brzemień niesione razem, we wspólnocie, a więc nigdy jeden przeciw drugiemu”. Ponieważ „praca nie może być traktowana – nigdy i nigdzie – jako towar, bo człowiek nie może dla człowieka być towarem” (Homilia dla świata pracy, Gdańsk 1987). Jednak już wcześniej w uroczystym nauczaniu przeznaczonym dla całego świata powiedział (encyklika „Laborem exercens” z 14 września 1981): „Właśnie przecież ze względu na taką nieprawidłowość o wielkim zasięgu zrodziła się w wieku ubiegłym tzw. kwestia robotnicza, określane także czasem jako »kwestia proletariacka«. Kwestia ta – razem z problemami, które się z nią łączą – stała się źródłem słusznej reakcji społecznej, wyzwoliła wielki zryw solidarności pomiędzy ludźmi pracy, a przede wszystkim pomiędzy pracownikami przemysłu. To wezwanie do solidarności i wspólnego działania skierowane do ludzi pracy – przede wszystkim wycinkowej, monotonnej pracy w zakładach przemysłowych, która ograniczała osobowość ludzką na rzecz panującej nad nią maszyny – posiadało swoją doniosłą wartość i wymowę z punktu widzenia etyki społecznej. Była to reakcja przeciwko degradacji człowieka jako podmiotu pracy, połączonej z niesłychanym wyciskiem w dziedzinie zarobków, warunków pracy i troski o osobę pracownika, która połączyła świat robotniczy we wspólnocie wielkiej solidarności”.

Święty powtarzał przy wielu okazjach: „Nie ma wolności bez solidarności! Dziś wypada powiedzieć: nie ma solidarności bez miłości, więcej! Nie ma przyszłości człowieka i narodu” (Homilia, Sopot 1999). Natomiast podczas pielgrzymki do ojczyzny w 1987 r.: „Solidarność musi iść przed walką. Wówczas ludzkość może przetrwać. I może przetrwać i rozwijać się każdy naród w wielkiej ludzkiej rodzinie. Bo co to znaczy solidarność? Solidarność to znaczy sposób bytowania wielości ludzkiej, na przykład narodu, w jedności, w uszanowaniu wszystkich różnic, wszystkich odmienności, jakie pomiędzy ludźmi zachodzą, a więc jedność w wielości, a więc pluralizm, to wszystko mieści się w pojęciu solidarności. [...] Powiedziałem: solidarność musi iść przed walką. Dopowiem: solidarność również wyzwała walkę. Ale nie jest to nigdy walka przeciw drugiemu. Walka, która traktuje człowieka jako wroga i nieprzyjaciela – i dąży do jego zniszczenia. Jest to walka o człowieka, o jego prawa, o jego prawdziwy postęp; walka o dojrzały kształt życia ludzkiego. Wtedy bowiem to życie ludzkie na ziemi staje się »bardziej ludzkie«, kiedy rządzi się prawdą, wolnością, sprawiedliwością i miłością”. Nikt tak jasno i dobitnie nie opowiadał o idei solidarności i jej naturze.

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Już pod koniec panowania komunistów w Polsce Jan Paweł II przypominał (encyklika „Sollicitudo rei socialis” z 30 grudnia 1987): „Solidarność pomaga nam dostrzec »drugiego« – osobę, lud czy naród – nie jako narzędzie, którego zdolność do pracy czy odporność fizyczną można tanim kosztem wykorzystać, a potem, gdy przestaje być użyteczny, odrzucić, ale jako »podobnego nam«, jako »pomoc« (por. Rdz 2, 18. 20), czyniąc go na równi z sobą uczestnikiem »uczty życia«, na którą Bóg zaprasza jednakowo wszystkich ludzi”. Te słowa pozostały w sercach i umysłach Polaków i ludzi wrażliwych na całym świecie. Do dziś zachowały aktualność i nie tracą jej w przyszłości. Jego słowa wielokrotnie cytował błogosławiony męczennik ks. Jerzy Popiełuszko, czyniąc z nich drogowskaz swego duszpasterstwa.

Paweł Janowski

Rogatywki

W końcu grudnia 1981 r. generał Jaruzelski postanowił błysnąć „dowodem na patriotyzm”. Ogłoszono, że kompania reprezentacyjna Wojska Polskiego zostanie ubrana w przedwojenne rogatki czapki wojskowe. Rozmaici dziwaczni dziadkowie, którzy w Jaruzelskim i wojsku widzieli spadkobiercę narodowej suwerenności, rozwodzili się nad tym w peanach.

Piotr Semka

„Rozmowy polskie latem roku 1983”

Od 13 grudnia czekało się na powieść. W poezji byliśmy świetni, ale proza? Wypatrywano wielkiej powieści, która odda naszą rzeczywistość: gwałtu na narodzie i piękna społecznego oporu.

Pojawił się „Raport o stanie wojennym” Marka Nowakowskiego, ale te pospiesznie kreślone obrazki czarno-białego świata boleśnie obnażyły tylko kiczowatość naszych oczekiwań, przynosząc raczej zażenowanie. Zażenowanie samymi sobą. Było wspaniale, że wielki pisarz, ryzykując więzienie, opublikował pod własnym nazwiskiem literaturę świadectwa, kłopotliwe było to, że wszystko zdawało się takie płaskie.

Pojawiła się książka „Rzeka podziemna, podziemne ptaki” Tadeusza Konwickiego, ale i ona nie przyniosła satysfakcji, irytując raczej, niż sycąc czytelnicy głód.

I oto Jarosław Marek Rymkiewicz, autor olśniewających erudycją i maestrią esejów „Aleksander Fredro jest w złym humorze” i „Juliusz Słowacki pyta o godzinę”, pisarz kulturalny i łagodny, opublikował w Niezależnej Oficynie Wydawniczej „Rozmowy polskie latem roku 1983”. Opublikował i olśnił. Nie tylko ludzi z Instytutu Badań Literackich, którzy odnajdywali swoich znajomych na kartach tych obrazków z wczasów na Suwalszczyźnie, ale i szerszą czytającą publiczność.

Pamiętam, że zrazu rozczarowała mnie ta powieść o wakacjach nad Wigrami i jego zdobniały bohater, pan Mareczek, zastanawiający się niezobowiązująco i na wpół autoironicznie nad sprawami, którymi żyje opozycyjny inteligent z Krakowskiego Przedmieścia. Owszem, z ostatnim akapitem powieści pobiegłem nawet do Taty i zacytowałem mu świetny finisz:

„Takie to były rozmowy, takie zabawy nasze latem roku 1983, kiedy to Polska – po rozwiązaniu »Solidarności« przez Jaruzelskiego – znowu dostała się pod panowanie komunistów. A na jak długo się dostała? Tego wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy”.

Tata wzruszył z politowaniem ramionami, mniemając jak tyłu innych, że ruska niewola trwać tu będzie wiecznie, a w każdym razie przeżyje nas wszystkich.

Z czasem nabierałem coraz więcej uznania dla strategii Rymkiewicza – wybrana przez niego forma opowieści o świecie (przedstawiającej rzeczywistość jako echo, zdrobienie innych wydarzeń) ukazywała mi się jako całkiem sensowny chwyt literacki.

Bo jest ta powieść i ironicznym echem „Pana Tadeusza”, i pogłosem „długich, nocnych Polaków rozmów”. Faktycznie, możemy w nich odnaleźć i całkiem rozbudowane rozważania historiozoficzne, i próby dotarcia do rdzenia polskości, i uchwycenia fenomenu moskiewskiego zagrożenia. A że to wszystko włożone jest w ramy dygresyjnej powieści pełnej autoironii, oznaczającej czasem bezsilność wobec wielkich mechanizmów świata, innym razem dobrotliwe oczekiwanie na wyrównanie krzywd i przywrócenie sprawiedliwości? Teodycea występuje w formie półżartobliwej, filozofia nie szarpie, a jeśli pojawia się elegia, to zasnuta nostalgią.

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Okay, nie jest to literatura dla rebeliantów, ale takie pełne pobłażania spojrzenie okazywało się całkiem dobrym sposobem na zapis ówczesnych fascynacji i uchwycenie unikatowego klimatu stanu wojennego. Całkiem dobrym lekarstwem na patos i wzmożenie. (Inna sprawa, że poetycki tom Rymkiewicza „Ulica Mandelsztama” ukazywał odmienne oblicze twórcy, który składając wiersze, od patosu nie stronił).

Jak jeszcze można traktować ów chwyt zdrabniający? Po pierwsze jako ucieczkę przed autorefleksją (na tę zdobędzie się pisarz w rozmowie z Jackiem Trznadlem w „Hańbie domowej”), po wtóre jako diagnozę naszej historycznej sytuacji, która jawić się mogła jako zdrobnienie prawdziwych tragedii z Historii. A tu cóż, nieco to groteskowe, takie półmęczeństwo, półniewola, półopór. Ciekawa sprawa.

Andrzej Horubała

Rzucanie legitymacją

13 grudnia był momentem, w którym bardzo wielu partyjnych przeżyło swoiste *katharsis*. Oddawali legitymacje PZPR i jak to wtedy mówiono: „dołączali do zaszczytnej grupy bezpartyjnych Polaków”. Wymagało to determinacji i osobistej uczciwości. Dziś po latach bardzo często wypomina im się, że w ogóle byli w PZPR. Ale to złośliwość, która lekceważy odwagę ich wyboru, wtedy – 40 lat temu. Partyjni, którzy opuszczali wówczas swoje ugrupowanie – przypominali kogoś, kto skacze do basenu bez pewności, czy jest w nim woda. Tracili dotychczasowy krąg znajomych, a często nie zyskiwali nowych przyjaciół wśród solidarnościowców.

Piotr Semka



„Samorządna Rzeczpospolita”

Dwutygodnik ukazujący się od kwietnia 1985 r. do czerwca 1989 r. (faktycznie co dwa i pół tygodnia). Pismo podziemne kolportowane na terenie całego kraju, o profilu informacyjno-publicystycznym. W pierwszym roku ukazywało się w formacie A5. W kolejnych latach w formacie A4. Sześć stron. W nakładzie ok. 10 tys. egzemplarzy. Redakcja znajdowała się w Warszawie. Posiadała również filie w regionach: dolnośląskim, świętokrzyskim i zachodniopomorskim, które również wydawały (efemerycznie) własne dodatki informujące o wydarzeniach w regionie. Pismo nawiązywało do programu „Samorządna Rzeczpospolita”, przyjętego podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” w Gdańsku, głównie w sferze samorządu pracowniczego i terytorialnego. Początki „Samorządnej” sięgają podziemnego pisma „Tygodnik Wojenny”, w którym już od 1983 r. była redagowana i dołączana co miesiąc wkładka samorządowa o nazwie „Samorządna”, poruszająca problematykę samorządu funkcjonującego w zakładach pracy na mocy ustawy z 25 września 1981 r. „O samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego”. Pomysłodawcą pisma „Samorządna Rzeczpospolita” była dziennikarka Joanna Łukasiewicz-Wyrwich. Autorka licznych tekstów w „Tygodniku Wojennym” i „Samorządnej Rzeczpospolitej”, która od początku do końca istnienia pisma była jego redaktorem naczelnym. Jej zastępcą i odpowiedzialnym za sprawy filii był Mirosław Mateusz Wyrwich. Również dziennikarz związany od początku z „Tygodnikiem Wojennym”. Szefami filii „Samorządnej”, podobnie jak i „Tygodnika Wojennego”, byli w Kielcach: Jerzy Stępień, w Szczecinie: Wiesław Szajko, we Wrocławiu zaś Grzegorz Czyż. Od początku w piśmie publikowali bądź z nim współpracowali (pod pseudonimami) Marek Bem (szef kolportażu) i socjolog Maria Diatłowicka; dziennikarki telewizyjne wyrzucone z pracy w TVP wraz z wprowadzeniem stanu wojennego: (Janina) Nina Makowiecka, Barbara Rogalska; a także inż. Bogdan Lewandowski; inż. Andrzej Magdziak; studenci historii Jan Wróbel i Tomasz Roguski; historyk Antoni Lenkiewicz; dziennikarz, korespondent francuskiej prasy, Krzysztof Wolicki; prawnicy: dr Michał Kulesza, dr Andrzej Malanowski, Jerzy Stępień; historycy sztuki: Anna i Leszek Kwiatkowsy, dr Janusz Maciej Michałowski; geolog dr Magdalena Jęczynek; ekonomiści: dr Ryszard Bugaj, dr Tomasz Gruszecki, dr Jerzy Eysymontt, dr Kazimierz Kloc, prof. Tadeusz Kowalik, prof. Jerzy Regulski. Głównym grafikiem pisma była Hanna Huskowska-Młynarska. Na łamach pisma znalazły się również publikacje na temat historii samorządu w II RP. Autorami tekstów byli przede wszystkim pracownicy naukowcy, ale też studenci: Uniwersytetu Warszawskiego, Politechniki Warszawskiej, Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, jak również Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (dziś SGH). A także teoretycy samorządu terytorialnego związani z prof. Jerzym Regulskim, wśród nich m.in.: Michał Kulesza, Adam Kowalewski, Walerian Pańko. Na łamach pisma na temat przyszłego ustroju Polski głos zabierali (pod własnymi nazwiskami) m.in.

Piotr Andrzejewski, Ryszard Bugaj, Zbigniew Bujak, Jerzy Eysymontt, Tomasz Gruszecki, Szymon Jakubowicz, Jacek Kuroń, Janusz Korwin-Mikke, Jan Lityński, Andrzej Malanowski, Antoni Macierewicz, Władysław Siła-Nowicki, Janusz Onyszkiewicz, Janusz Pałubicki, Józef Pinior, Zbigniew Romaszewski, Jan Winiecki, Henryk Wujec, Michał Żórawski.

Oprócz wymienionych wyżej osób pod swoimi nazwiskami wywiadów udzielali ludzie związani z podziemiem (ukrywający się działacze Komisji Krajowej). W dyskusjach z cyklu „Jaka Polska?” oraz „Jaka Konstytucja?” brali także udział przedstawiciele rządu RP na uchodźstwie, osiadłego w Londynie, między innymi: Kazimierz Sabbat, były premier rządu Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie, w latach 1986–1989 prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie; czy też ostatni prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski.

Pismo pierwotnie było poświęcone problematyce społeczno-politycznej, związkowej i samorządowej. Do roku 1987 tematykę samorządową na łamach pisma stanowiła w głównej mierze problematyka samorządu pracowniczego, ale również samorządu szkolnego, studenckiego, spółdzielczego, osiedlowego, chłopskiego, wreszcie terytorialnego. Teksty o samorządzie pracowniczym, jakie ukazywały się na łamach pisma, dotyczyły przede wszystkim sposobów organizowania samorządów w zakładach, ale także interpretacji ustawy o samorządzie pracowniczym. Publikowane były również teksty poradnikowe. W niemal każdym numerze znajdował się tekst publicystyczny bądź reportaży dotyczący funkcjonowania samorządów w zakładach na terenie kraju.

Wśród tekstów o samorządzie spółdzielczym i osiedlowym znajdowały się przykłady podejmowania samodzielnej działalności członków spółdzielni (egzekwowanie ustawy o spółdzielczości mieszkaniowej). Podobny charakter miały artykuły opisujące przykłady walki o samorządowy charakter ruchu studenckiego, a także samorządowych inicjatyw na terenie wsi. Zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku sięgano po przykłady historyczne dotyczące Polski przed II wojną światową.

Problematykę samorządu terytorialnego w piśmie rozpoczęły dyskusje dotyczące przyszłej wolnej Rzeczypospolitej pod hasłem „Jaka Polska?” oraz „Jaka Konstytucja?”. Punktem wyjścia do dyskusji o samorządzie terytorialnym był program „Samorządna Rzeczpospolita”, ogłoszony na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność”, w którym była m.in. mowa o roli „nowych rad narodowych”, generalnie o samorządzie terytorialnym. W cyklu artykułów, jakie znalazły się w „Samorządnej Rzeczpospolitej” na temat przyszłości organów samorządowych, mowa była m.in. o tym, jak budować samorząd terytorialny i jaką rolę powinien on odgrywać w wolnej Polsce. Na łamach pisma znalazły się również publikacje dotyczące historii samorządu w II RP.

Od początku do końca „Samorządna Rzeczpospolita” była bezpłatna. Funkcjonowanie pisma pokrywały dobrowolne datki potwierdzane hasłami na jego łamach.

Mateusz Wyrwich

Sesja na śniegu

Po 13 grudnia każdy miał swoje dramaty – małe i duże. Parlament uczniowski w III Liceum Ogólnokształcącym w Gdańsku – ten symbol posierpniowej rewolucji w mojej szkole – nie miał szans na przetrwanie w warunkach stanu wojennego. Gdy w styczniu 1982 r. rozpoczęliśmy na nowo naukę, parlament, nie mając żadnego innego lepszego miejsca, zebrał się na ośnieżonej polanie obok leśnego amfiteatru, nieopodal szkoły, niedaleko od ulicy Jaśkowa Dolina. Wraz z przewodniczącym parlamentu Jarosławem Kurskim i jego zastępcą Radosławem Kryszkiem (ja byłem drugim zastępcą Kurskiego) zaproponowaliśmy samorozwiązanie naszej reprezentacji uczniowskiej. Uznaliśmy, że lepiej samemu się rozwiązać, niż dać sobie narzucić zakaz działania ze strony dyrekcji liceum. Z przykrością obserwowałem tych delegatów do parlamentu, którzy mając niezłego pietra – przyjęli to z nieskrywaną ulgą. Ale bardzo wielu z „parlamentarzystów” stało się potem podstawą uczniowskiego ruchu oporu w III LO. Jednak wtedy, w styczniu 1982 r., na śnieżnej polanie – nie było nam do śmiechu.

Piotr Semka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Skruszeni

Tak nazywano zastraszonych działaczy Solidarności, którzy występowali w „Dzienniku Telewizyjnym” i – jak to się wtedy oficjalnie mówiło – „deklarowali, że nie będą naruszać przepisów stanu wojennego”. Najcenniejszą zdobyczą propagandzistów Jaruzelskiego był rzecznik prasowy Komisji Krajowej Solidarności Marek Brunné. Stan wojenny zastał go na konferencji naukowej w Seattle i wrócił do kraju dopiero w styczniu. Niedługo potem wystąpił w telewizji i poparł WRON. Podobny występ miał na swoim koncie także – choć nieco później – Jan Kułaj, młody lider Solidarności Rolniczej. W noc stanu wojennego został on internowany, ale zwolniono go 28 kwietnia 1982 r. po jego zgodzie na występ w TVP i złożenie samokrytyki. Kułaj w 2014 r. kandydował do Sejmi-ku Województwa Podkarpackiego z rekomendacji Platformy Obywatelskiej. Tego typu spektakle pseudoskruchy budziły obrzydzenie nawet wśród zwolenników władzy, ale propagandziści WRON, na czele z Jerzym Urbanem, uważali je za ważny oręż propagandowy. Widok złamanych ludzi bełkocących samokrytykę umacniał wizerunek komunistycznej władzy jako przemożnej siły. Potęgi, która każdego może złamać.

Piotr Semka

Solidarność Walcząca

Najsilniejszymi ośrodkami Solidarności Walczącej (SW) były Trójmiasto i Wrocław. Każdy z tych ośrodków miał swoją specyfikę. W Gdyni o sile środowiska zadecydowała osoba Andrzeja Kołodzieja, jednego z inicjatorów strajku w Sierpniu '80 w gdyńskiej Stoczni im. Komuny Paryskiej. W Gdyni, gdzie pamięć grudniowej masakry z 1970 r. skłaniała do bardzo świadomego antykomunizmu, tamtejsza Solidarność Walcząca charakteryzowała się wysokim poziomem ideowości. To samo było znakiem rozpoznawczym struktur Solidarności Walczącej we Wrocławiu, której działacze znajdowali się pod bezpośrednim wpływem niezwykle charyzmatycznej postaci Kornela Morawieckiego (patrz hasło: Kornel Morawiecki). Atutem dolnośląskiej SW był bardzo wysoki poziom techniki elektronicznej, co wynikało z zaangażowania się w tę organizację inteligencji technicznej z Dolnego Śląska.

SW była współorganizatorem największej wrocławskiej demonstracji stanu wojennego 31 sierpnia 1982 r. Wrocławian zafascynowało wówczas to, że Radio Solidarności Walczącej było w stanie nadawać relacje na żywo z zajęć. Sukces tej demonstracji spowodował przejście części działaczy dolnośląskiej „S” do struktur SW. Nie polepszyło to relacji między dwoma nurtami solidarnościowego podziemia.

Działacze podziemnej TKK Solidarności przyglądali się działaniu SW w krytyczny sposób. Po pierwsze uważano, że jest to rozbijanie jedności związku, po drugie obawiano się, że pryncypialny antykomunizm walczący może pchnąć jej członków do działań o charakterze zbrojnym. Czas pokazał, że Solidarność Walcząca tej granicy ostatecznie nie przekroczyła. Natomiast wydarzenia z lat 1988–1990 potwierdziły obawy działaczy Solidarności Walczącej, że rozmowy Okrągłego Stołu będą miały niedobre konsekwencje w postaci braku rozliczeń z osobami odpowiedzialnymi za zbrodnie stanu wojennego.

Piotr Semka

S

Stocznia Gdańska w grudniu 1981 r.

Dla wszystkich tych, którzy mieli jeszcze w pamięci słoneczny zwycięski Sierpień '80, strajk w Stoczni Gdańskiej rozpoczęty wieczorem 13 grudnia był całkowitym przeciwieństwem. Był solidny mróz i wraz ze zmrokiem topniały grupy gdańszczan, którzy stali przed stoczniową bramą. W halach było zimno, a każdej nocy spodziewano się ataku ZOMO. Różnie obliczana jest liczba uczestników protestu, ale można przyjąć, że tuż przed ostateczną pacyfikacją zakładu na jej terenie strajkowało kilkuset stoczniowców. Rankiem 16 grudnia czołgi zmiażdżyły bramę stoczni i zaczęło się wygarnianie protestujących. Symbolem tamtego protestu będzie słynne zdjęcie „No pasaran” ukazujące stoczniowców w chwili ataku czołgów.

Piotr Semka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Strachy na Lachy – sfingowana agresja na Polskę

Komuniści pod wodzą sowieckiego agenta Wojciecha Jaruzelskiego, szykując się do wprowadzenia stanu wojennego, musieli zadbać o odpowiednią propagandę, która by spacyfikowała i obezwładniła Polaków. Jak to wcześniej już u komunistów bywało, kluczowym narzędziem wykorzystywanym w tych przygotowaniach był strach. Wojska okupacyjne, które od 1944 r. stacjonowały na terenie całej Polski, a szczególnie w jej zachodniej części, w gotowości były od zawsze. Po to Sowieci ulokowali swoją armię nad Wisłą, żeby nikomu nie przyszło do głowy wzbudzać jakieś niepokoje. A tymczasem kard. Karol Wojtyła 16 października 1978 r. został wybrany na papieża, a w 1980 r. prezydentem Stanów Zjednoczonych został Ronald Reagan. Stetryczali przywódcy bolszewickiej Rosji nie nadążali za rzeczywistością. Powstała Solidarność, a Polacy powstali z kolan. Trzeba było Polakom przypomnieć „kto rządzi nad Wisłą” i postraszyć na nowo.

Stąd zrodził się pomysł wprowadzenia stanu wojennego, ale by pomysł ten mógł zostać realizowany najmniejszym kosztem, potrzebny był duży strach. Zaczęto rozsiewać plotki, że Sowieci gotują się do wejścia do Polski – jakby w niej nie byli od końca wojny. Podobno „radzieckie wojska były gotowe do inwazji na Polskę”. Karnawał Solidarności nabierał w Polsce kolorów, zarejestrowano NSZZ „Solidarność”, wiele różnych środowisk politycznych i społecznych wychodziło z ukrycia. Polscy komuniści tracili kontrolę nad wydarzeniami. Leonid Breżniew, stary komunista i I sekretarz KC KPZR, wysłał wcześniej swoje wojska do Afganistanu. Moloch komunistyczny sypał się gospodarczo na oczach całego świata.

To, że planowano manewry na terenie Polski, to nie znaczy, że Sowieci byliby w stanie je przeprowadzić. Polskich komunistów poza Jaruzelskim i najbardziej zaufanymi nie wtajemniczano w szczegóły. Straszak musiał być skuteczny, a powszechność poparcia dla Solidarności mocno rozszczełniła system. Nikomu nie ufano, a przecież i tak wojska okupacyjne stacjonowały na terenie Polski. Propaganda ukazywała „zatroskanych komunistycznych patriotów”, którzy rzekomo obawiali się (!) „najazdu”.

Breżniew wiedział, że nie ma siły na dodatkową interwencję, zwłaszcza wobec usztywnienia stanowiska Stanów Zjednoczonych (kanałami dyplomatycznymi prezydent J. Carter dał znać Sowietom 2 grudnia 1980 r.), ale wiedział też, że propagandowo „straszak interwencji” przyda się polskim komunistom, gdy wprowadzą stan wojenny. Polscy komuniści (pod kierunkiem I sekretarza PZPR Stanisława Kani) stawili się 5 grudnia 1980 r. w Moskwie – po rozkazy, były też marionetki z innych krajów okupowanych przez Sowietów. Breżniew łaskawie obiecał, „że nie wejdą”, ale obsztorcował Kanię. Naturalnie komuniści byli wściekli z powodu powstania Solidarności, ale musieli mierzyć zamiary na siły, a tych mieli już wówczas niewiele.

Agencja TASS – tuba propagandowa Kremla – ogłosiła, że „naród polski może liczyć na solidarność i wsparcie bratnich państw Układu Warszawskiego”. Propagandowo prężyli muskuły, ale najważniejsi decydenci wiedzieli, że inwazji nie będzie, ponieważ był planowany stan wojenny – czyli pacyfikacja Solidarności siłami polskich komunistów. Plotki o inwazji jednak szerzono, bo to było na rękę Jaruzelskiemu. Strach był konieczny, żeby zminimalizować opór polskich robotników. I świat odetchnął, gdy wprowadzono jedynie stan wojenny. Zamordowano wielu robotników, aresztowano i internowano jeszcze więcej. Ale świat odetchnął. Tylko Polacy nie mieli czym oddychać.

Paweł Janowski

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Strajk w maju i sierpniu 1988 r.

W drugiej połowie lat 80. w dużych zakładach pracy, które były bazą społeczną pierwszej Solidarności z lat 1980–1981, następowały nieuchronne zmiany. Kadra liderów solidarnościowych – wyłoniona bądź w strajkach na terenie Polski z przełomu sierpnia i września 1980 r., a później uzupełniona przez aktywistów, którzy awansowali w związku w ramach wewnętrznych wyborów – wskutek represji władz była systematycznie zmuszana do opuszczania swych stanowisk. Nie znaczy to, że legenda pierwszej Solidarności nie oddziaływała na część młodszych robotników, którzy wchodzili w dorosłość w połowie dekady lat 80. I to właśnie oni byli paliwem do wybuchu protestów solidarnościowych w maju i sierpniu 1988 r. Była to generacja z racji wieku, ale też dość osobistych doświadczeń, znacznie bardziej radykalna od pokolenia swoich starszych kolegów. Młodzi znali już brutalność ZOMO, bezwzględność Służby Bezpieczeństwa i system premiujący konformizm w zakładach pracy. Młodzi stoczniowcy uczyli się polityki na zadymach po mszach w kościele św. Brygidy. Nieprzypadkowo to właśnie po pierwszomajowych starciach z milicją w okolicy stoczniowego kościoła młodzi stoczniowcy wywołali następnego dnia, 2 maja, strajk w zakładzie, do którego zaprosili Lecha Wałęsę. Zaskoczony tą niezapowiedzianą akcją Wałęsa po pewnym wahaniu postanowił wykorzystać szansę i przyjąć zaproszenie, ale nie stanął na czele komitetu strajkowego. Odpowiedzialność za kierowanie strajkiem przyjął Alojzy Szablewski¹². Strajk okazał się jednak nieporównanie mniej liczny niż w sierpniu 1980 r. Gdy okazało się, że do protestu nie przyłączyło się zbyt wiele innych zakładów pracy w Polsce, strajk zakończono dzięki mediacji Kościoła. Trzy miesiące później, w sierpniu strajk wybuchł ponownie i miał już nieco szerszą skalę, gdyż odbywał się równoległe do protestów w śląskich kopalniach. Miał on też więcej cech protestu zaplanowanego przez Wałęsę i regionalne władze Solidarności. Ale o atmosferze obu strajków i dynamizmie protestu decydowali młodzi dwudziestoparolatkowie. Warto przy tej okazji przypomnieć ich nazwiska, m.in. Jana Górczaka, Jana Staneckiego, Zbigniewa Stefańskiego czy Tadeusza Duffka. Bez ich pomysłowości i odwagi nie powstałaby w maju i sierpniu swego rodzaju eksterytorialna Rzeczpospolita Stoczniowa, skąd Wałęsa i jego doradcy mogliby wzywać władze do uznania Solidarności i podjęcia rozmów. Początkowo wydawało się, że strajk sierpniowy, podobnie jak w maju, zabrnę w ślepią uliczkę z powodu braku efektów. Ale równoległe do sierpniowego protestu doradcy związku, tacy jak Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek, prowadzili już rozmowy sondażowe z przedstawicielami władzy w Warszawie. Rozmowy te doprowadziły do przyjęcia

¹² Inicjatorem strajku był 29-letni spawacz Jan Stanecki, który już nie był wtedy pracownikiem stoczni, a tylko przyszedł po kartę obiegową. Aby uchronić strajkujących, do protestu przyłączyła się stoczniowa Solidarność. Przybyły ok. godz. 16 Lech Wałęsa nie przyjął propozycji, aby stanąć na czele komitetu strajkowego, nie chciał bowiem utrudnić podjęcia rozmów z władzą. Na czele komitetu (przez kilka dni tajnego) stanął Alojzy Szablewski. Zob. L. Biernacki, A. Kazański, *NSZZ „Solidarność” Region Gdański* [w:] *NSZZ „Solidarność” 1980–1981*, t. 3, Polska Północna, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 186 – przyp. wydawcy.

Wałęsy na rozmowy z gen. Czesławem Kiszczakiem 31 sierpnia 1988 r. w Warszawie. Po powrocie szef Solidarności przyjął wobec Komitetu Strajkowego dość ультимatywny ton: przyjąłem propozycję rozmów na temat okrągłego stołu. Jeśli akceptujecie moją decyzję, kończymy strajk. Jeśli nie – ja strajk opuszczę. Było to postawienie stoczni pod ścianą. Przed wyjazdem Wałęsa zaznaczył, że jedzie do Kiszczaka jedynie po to, by poznać jego propozycje i po powrocie przedstawić je strajkującym. Teraz okazało się, że wszystko już zostało zdecydowane. W burzliwej dyskusji jedni bronili wyboru Wałęsy, inni byli sceptyczni. Decyzji przewodniczącego związku bronili m.in.: Lech Kaczyński i Krzysztof Wyszowski, zaś sceptycyzm zachowywał np. Bogdan Borusewicz, który nie ufał władzom. Ostatecznie uznano, że strajk należy zakończyć, gdyż władze zgodziły się na pokojowy wymarsz strajkujących z zakładu. Dla młodych stoczniowców był to szok. Paktowanie akurat z Kiszczakiem było dla nich upokorzeniem. Wierzyli, że strajk można wygrać. Ze łzami w oczach przyjęli jednak decyzję Komitetu Strajkowego o zakończeniu protestu. Kiedy jednak rankiem 1 września Wałęsa ogłosił decyzję o zakończeniu strajku, na ogólnym zgromadzeniu strajkujących przed bramą główną Stoczni im. Lenina po raz pierwszy w tłumie rozległy się gwizdy. Była to zapowiedź wystąpień przeciwko Wałęsie, które cechować będą lata 1989–1995. Strajki z 1988 r. były ostatnimi protestami wielkich zakładów pracy, które miały bezpośredni wpływ na wydarzenia polityczne. Nigdy później robotnicy nie mieli już takiego wpływu na rzeczywistość. Pamięć o zachowaniu Lecha Wałęsy w sierpniu 1988 r. stanie się też zaczynem krytyki lidera Solidarności na początku lat 90.

Piotr Semka

Strzebielinek

Najbliższy od Gdańska obóz internowania był w małej wioseczce Strzebielinek koło Wejherowa. Pamiętam dobrze opowieści rodzin więzionych tam działaczy Solidarności, którzy opisywali, jak solidnie strzeżony jest ten ośrodek. Dalej na zachód był słynny obóz internowania w DarłóWKu, gdzie przetrzymywany był np. Tadeusz Mazowiecki. Listy i grypsy ze Strzebielinka były oglądane z czcią, a twórczość internowanych w postaci kapliczek, świętych obrazków i solidarnościowych metaloplastyk eksponowana była w kościele św. Brygidy jak prawdziwe relikwie.

W podziemiu sprzedawano kasety z koncertami piosenek solidarnościowych w wykonaniu internowanych. Kasetę „Strzebielinek. Piosenki internowanych. Nagranie z obozu” wydała oficyna CDN w 1983 r. Rok później wydano kasetę: „Internat. Z pomocą przyjaciół śpiewa Zbigniew Iwanow”. Na swoim magnetofonie Kapral słuchałem wtedy piosenek z kasety i czułem w wykonawcach pieśni wolnych ludzi. Ich odwaga zachęcała do pokonywania własnego lęku. Skoro oni mają tyle siły, by się nie dać mimo internowania – jakie usprawiedliwienie na nasze lęki mamy my, którzy znajdujemy się w nieporównanie lepszej sytuacji. Spory rozgłos zdobył też napisany na podstawie przeżyć w Strzebielinku „Dziennik internowanego” wydany przez Instytut Literacki w 1985 r. w Paryżu jako dzieło Jana Mura. Pod tym pseudonimem kryli się dwaj internowani w Strzebielinku dziennikarze – Andrzej Drzycimski i Adam Kinaszewski. Przywieziony ze stolicy Francji przez koleżankę z liceum egzemplarz – przeczytałem z zapalem w jedną noc.

Piotr Semka

S



Świdnickie spacery protestu

W okresie stanu wojennego i później Polacy w każdy możliwy sposób protestowali przeciw komunistycznej władzy i kontestowali jej rozkazy. Jedną z takich akcji były tzw. świdnickie spacery. Mieszkańcy Świdnika, leżącego tuż obok Lublina, wychodzili z domów w godzinach nadawania reżimowego „Dziennika Telewizyjnego” – od 19.30 do 20.00. Pomysłodawcą byli emerytowani członkowie Solidarności z przewodniczącym koła emerytów Janem Kaźmierczakiem – na pierwszy oficjalny spacer udali się oni 4 lutego 1982 r. Już następnego dnia dołączyło do nich wielu mieszkańców Świdnika, z czasem gromadząc nawet kilka tysięcy ludzi podczas jednego spaceru. Z lubością dreptano wzdłuż jednej z głównych ulic miasta – Sławińskiego (obecnie Niepodległości), gdzie znajdował się komisariat milicji. Żeby wzmocnić efekt protestu, mieszkańcy wystawiali swoje telewizory w oknach z włączonymi odbiornikami, ale zwróconymi na zewnątrz.

Ta forma aktywnego protestu, przyjmującego w istocie formę happeningu, doprowadzała lokalnych komunistycznych kacyków do szewskiej pasji. Cóż mogła władza zarzucić obywatelom, którzy tłumnie wychodzili na spacery sami lub ze swoimi czworonożnymi ulubieńcami. Każdy wiedział, że „Dziennik Telewizyjny” był w swej treści propagandowym zlepkiem kłamstw, przeinaczeń i manipulacji. Ignorowanie propagandy było bardzo skuteczną metodą. Spacerującym asystowali funkcjonariusze milicji, którzy legitymowali mieszkańców, a już 7 lutego zatrzymali na 48 godzin kilku z nich, m.in. Ryszarda Krzyżanka, Marka Matejczuka, Bronisława Sołka, Leszka Świderskiego, Jerzego Szpota, Elżbietę Wilhelm, Stanisława Wociora i Tadeusza Zimę. Żeby zniechęcić świdniczan do spacerów, wyłączano światło latarni ulicznych, odcinano dostawy prądu i wody. Ponadto zmieniono czas obowiązywania godziny milicyjnej na 19.00 – to była jedyna taka decyzja w Polsce. Dodatkowo zawieszono wszelkie wydarzenia sportowe i kulturalne, wyłączano mieszkańcom telefony, wprowadzono zakaz ruchu. Przykład ze świdniczan wzięli wkrótce mieszkańcy Lublina i Puław oraz kilku innych miast.

Za swą postawę społeczność Świdnika otrzymała w 1982 r. nagrodę podziemnej Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Artysta Jan Kondrak napisał piosenkę „Pożegnanie z Marią – świdnickie spacery”, którą na swych falach nadawało Radio Wolna Europa.

Paweł Janowski

Świniak w gipsie

Czy nagrodę nielegalnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich dla nielegalnej Niezależnej Agencji Informacyjnej opijaliśmy nielegalnie wyprodukowanym bimberekiem? Bardzo to atrakcyjnie brzmi – językowo także – ale nie będę koloryzować, bo wręczenie nagrody odbywało się jednak w sali parafialnej kościoła Nawiedzenia NMP na warszawskim Przyryнку. Tam bowiem, pod auspicjami Duszpasterstwa Środowisk Twórczych, prezentował się „Dzwonek Niedzielny”, wcześniej „Gazeta Mówiona”, czyli rodzaj dziennikarsko-aktorskiego kabaretu prezentującego i omawiającego najnowsze wydarzenia z kraju i ze świata. I z okazji kolejnego wydania odbyło się też wręczenie nagród. Naszą, Niezależnej Agencji Informacyjnej, zapewne odbierał Jacek Maziarski, a my dziennikarze – nawet nie pamiętam, ilu nas przyszło, wszystko było przecież wciąż nieco tajne – dostaliśmy narysowany i podpisany przez Jacka Fedorowicza „egzemplarz proroczy” jego komiksu „Expres poranny”, a w nim m.in. zaproszenie na „Wielki koncert dobroczynny na rzecz uchodźców ze Szwedzkiej Republiki Socjalistycznej”. No, ale to był już rok 1985...

A ten bimberek? Nie da się ukryć, że prace podziemne sprzyjały domowej produkcji tego napoju, też przecież nielegalnego. Może łatwiej było walić w klawisze maszyny do pisania w poczuciu, że hałas jest przytłumiony zapachem produkcji? Koledzy z politechniki w solidarnościowym podziemiu przygotowywali nie tylko nadajniki radiowe czy maszynki do rozrzucania ulotek, ale też doradzali, jak zestawić zgrabną i łatwą do demontażu aparaturę oraz skąd wziąć części. Cukier i alkohol były na kartki, więc ludzie mieli dziesiątki recept na ten trunek, z zacierem z mirabelek włącznie!

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich było zakazane, ale płaciliśmy składki w poczuciu, że przecież żyje i działa, choć było to życie kontrolowane. Kiedy pod koniec 1982 r. starsi koledzy znaleźli mi pracę w tygodniku „Zwierciadło” i namówili, żebym ją brała także dlatego, że to uwiarygodni moje sędzenie się o pracę w „ITD”, w tzw. ankiecie personalnej w rubryce „przynależność organizacyjna” wpisałam SDP i Solidarność. Jeszcze nie zdążyłam wrócić z biur wydawnictwa do redakcji, kiedy ta wiadomość już tam dotarła. Zostałam natychmiast wezwana przed oblicze redaktor naczelnej, gdzie musiałam wysłuchać straszliwej tyrady o braku powagi, lekceważącym stosunku do życia i kłasnaniu ręki, która została do mnie wyciągnięta! Ale nowe koleżanki gratulowały mi po kątach!

Solidarność wszelkich szczebli też była zakazana i też płaciliśmy składki w poczuciu, że nasz związek żyje. Prowadziła szeroko rozbudowane działania, od edukacji podziemnej oraz kolportażu książek i gazet po organizację samopomocy materialnej, na przykład wyjazdy wakacyjne do rodzin solidarnościowców nad morzem czy w górach oraz zakupy pozakartkowej żywności. Na kartkach był przecież tylko „woł. ciel. z kością” i to w niewielkich ilościach! Tamte więzy przetrwały do dzisiaj, czego przykładem

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

jest wspianała działalność Eli Orkan-Łęckiej z „S” Politechniki Warszawskiej. Ela do dziś trzy razy w roku jedzie do Łukowa, do sędziwego już kolegi z tamtej „S”, która w latach 80. wspierała członków organizacji związkowej na politechnice dostawami deficytowej żywności.

À propos dostaw. W lutym 1987 r. nasz synek Karol, lat już wtedy dziewięć, pojechał z ciocią (tą z „S”, której milicjant ukradł buty) na narty i złamał nogę. Pojechał po nich tata – maluchem, czyli fiatem 126p, z którego wyjął przednie siedzenie. Dzięki temu mogła tam na torbie leżeć noga w gipsie, nakryta kocem, żeby dziecku nie było smutno od tej bieli. W Białobrzegach nad Pilicą zatrzymała ich milicja, a jakże, obywatelska: – Ooo! Widzę, że świniaka pan wiezie – krzyknął sierżant z ekscytacją, że oto trafia mu się taka gratka i może sam skorzysta z mięsa. Nie uwierzył. Pukał w gips. Karolek się wystraszył, ale potem już zaśmiewał. Komunistyczne przedstawienie – tym razem tylko groteskowe.

Barbara Sułek-Kowalska



Teatr Ósmego Dnia

W końcówce lat 70. i w latach 80. był jak objawienie. Kierowany przez Lecha Raczaka, z charyzmatyczną Ewą Wójciak oraz towarzyszącymi jej aktorami (Tadeuszem Janiszewskim, Marcinem Kęszyckim, Adamem Borowskim, Romanem Radomskim) był czymś genialnym, a jednocześnie jakby koniecznym, oczywistym. Oddawał prawdę o naszej egzystencji w obrzydliwym, żenującym PRL-owskim baraku.

Kreacje zbiorowe poznańskiego zespołu – który został założony w roku 1964, a po kilku latach przeciętnego funkcjonowania w nurcie teatru studenckiego nagle stał się pierwszorzędnym zjawiskiem artystycznym i awangardowym, poruszającym się równolegle do eksperymentów Jerzego Grotowskiego – pokazywały, na jakie artystyczne wyżyny może wznieść się sztuka zaangażowana.

Ich spektakle były świadectwami intensywnego przeżywania rzeczywistości społecznej, pospiesznych lektur, rozwibrowanych emocji. Młodzi artyści traktowali PRL jako żalosne zwieńczenie wielkiego eksperymentu społecznego, zainicjowanego w Wieku Rozumu. Zadawali pytanie o kondycję człowieka, tej dziwnej istoty rozpiętej między bydłkiem a aniołem, zaczytując się w Dostojewskim, szyderczo traktowali wynik próby urzędzenia raję tu, na ziemi.

Wyolbrzymiali zarówno cechy ciemiężycieli, jak i męczenników, histerycznie – z odrobiną tylko należnego liryzmu – przedstawiali raczej buntowników i smutek ofiar, całość stapiając w korowodzie potworności. Lubowali się w cytatach i quasi-cytatach z filozofów, architektów utopii, polityków. Krzyk i szept, ekspresyjne ruchy, tupanie, hałas oraz upiorna choreografia to był oręż, z którym ruszali naprzeciw światu zdegenerowanych planów i marzeń.

Dużo brali z literatury polskiej Nowej Fali: nie tylko w zakresie odkryć poezji lingwistycznej, zderzającej języki oficjalne z prywatnymi, łączącej odświeżone z codziennym, pokazując, jak blisko od partyjnej nowomowy do chamskich bluzgów, jak blisko od historiozoficznych wizji do brutalnych policyjnych komend, jak słabo pod warstewką oficjalnego entuzjazmu skryta jest naga przemoc. Korzystali z przenikania planów czasowych i przestrzennych, z symultanicznego rozgrywania akcji, z przerzucania się z miejsca na miejsce, z bohatera na bohatera.

Teatr był niesamowity. Jakby na scenie eksplodował nasz mózg pełen strzępów czytanych książek, skojarzeń, z rozregulowaną ogniskową, pełen wspomnień i obsesyjnych obrazów. Był teatrem buntu, niezgody na przeciętność, krzykiem ludzi, którzy czują, że woda, a raczej brudna breja, podchodzi im już do ust i grozi śmiercią.

No i był także genialny „Wzlot” – spektakl o tragicznym losie Osipa Mandelsztama, którego wiersze przejmująco śpiewała Ewa Wójciak. Oglądany przeze mnie bodaj na Żytniej, a potem po wielokroć słuchany z kasety wydanej przez CDN.

Prawdziwie był to teatr życiem płacony: prześladowany przez policję, włączony po aresztach i sądach, szykanowany zakazem wyjazdów na zagraniczne festiwale, pozbawiany sal prób, nękany rewizjami oraz rekwirowaniem książek i prywatnych notatek. Ale był to teatr totalny: jego członkowie spierali się, dyskutowali, poszukiwali, zwierzali się, kochali i potem swoje życie, swoje rozmowy przynosili na scenę.

Andrzej Horubała

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Telefony

Podziemna piosenka tak wspominała 13 grudnia: „Grudniowy wstał świt, nie wiedział nikt nic, milczały jak grób telefony”. To nagłe odcięcie połączeń telefonicznych do dziś pamiętają dobrze ci mężowie, których żony rodziły, lub bliscy, których krewni wymagali pilnego wezwania pogotowia ratunkowego. Po pewnym czasie telefony przywrócono, ale z natrętnym ostrzeżeniem: „Uwaga, rozmowa kontrolowana”. Popularny dowcip odpowiadał wówczas na pytanie: „Co to jest szczyt odwagi? – Podejść do zomowca i zapytać, czy można skorzystać z automatu” (automat – potoczna nazwa karabinu).

Piotr Semka

Telewizyjne spacery

U zarania telewizji w PRL główną rolę odgrywały programy propagandowe. Czy to w radiu, czy to w telewizji. Każdy z emitowanych programów musiał zawierać jakiś wątek propagandowy. Bez względu na to, czy prezentowano program publicystyczny, reportażowy, z zakresu kultury – zawsze jakiś wątek, choćby dwie, trzy minuty w półgodzinnym materiale, chwalił „osiągnięcia PZPR”. W materiale zaś dotyczącym polityki międzynarodowej zawsze można było usłyszeć o „wyższości socjalizmu nad kapitalizmem”. Wówczas propaganda rzadko kiedy używała pojęcia „komunizm” w odniesieniu do ustroju. Posługiwano się pojęciem „socjalizm”, ewentualnie „demokracja socjalistyczna”.

W końcówce lat 50. (1958) głównym programem informacyjno-propagandowym stał się „Dziennik Telewizyjny”. Był on serwisem informacyjnym, w którym nie oddzielano faktów od komentarza. Obie formy mieszały się dość swobodnie. „Dziennik...” nadawany był od godziny 10 rano, powtarzany i uzupełniany w godzinach popołudniowych. Główne wydanie, wieczorne, emitowano o 19.00 bądź 19.30, jednocześnie w dwóch istniejących wówczas programach TVP (do 1987) – najpierw pół godziny, później trzy kwadransy, aż do godziny. Dziennik do końca „swej kadencji”, co nastąpiło w 1989 r., wielokrotnie zmieniał nazwy. Jedno natomiast było niezmiennie: zawsze lansowano propagandę sukcesu PZPR-owskich, komunistycznych władz. Zamiast informacji – dezinformacja. Zamiast prawdy – kłamstwo.

W stanie wojennym szczególną rolę odegrał „Dziennik Telewizyjny”. W dniu wypowiedzenia wojny przez komunistów polskiemu narodowi telewizyjni propagandziści zostali ubrani w wojskowe mundury. Od tego dnia kłamstwo miało zyskiwać miano prawdy. W pierwszych godzinach emitowano wystąpienie komunistycznego zbrodniarza Wojciecha Jaruzelskiego i jego akolitów. Na swój sposób uzasadniano konieczność wprowadzenia stanu wojennego rzekomymi przygotowaniem działaczy Solidarności do zbrojnej kontrrewolucji. Zbrodniarz głosił: „...Ojczyźnie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo! Antypaństwowe, wywrotowe działania sił wrogich socjalizmowi zepchnęły społeczeństwo na krawędź wojny domowej...”. Na początku stanu wojennego telewizja i radio były jedynymi mediami w Polsce, z gazet funkcjonowały tylko dwie: „Żołnierz Wolności” i „Trybuna Ludu”.

Większość polskich obywateli zaprotestowała przeciw wprowadzeniu stanu wojennego. Oprócz licznych, acz krótkotrwałych strajków protest społeczeństwa przejawiał się w antywojennych ulotkach, a później w podziemnej prasie. Niebawem wyemitowano kilkuminutowe audycje Radia Solidarność. Przeciw sączącym się z ekranów telewizorów kłamstwom wojennego „Dziennika Telewizyjnego” w sposób niezwykle prosty, a zarazem niespotykany zaprotestowali mieszkańcy Świdnika. W porze emisji „Dziennika Telewizyjnego” wystawiali w oknach swoich mieszkań telewizory ekranami do ulicy.

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
Ś
T
U
W
Z
Ż

Sami zaś wychodzili z domów, spacerując w pobliżu domów. Ta forma manifestacji nie spodobała się komunistom. Zaczęły się represje wobec organizatorów. Pomysłodawcą spacerów, jak wspominają jego uczestnicy, był Jan Kaźmierczak – trener sekcji bokserkiej świdnickiej Avii, były bokser, działacz podziemnej „S” w Świdniku. Zajmował się też m.in. kolportażem prasy. Jakiś czas później aresztowano go, wprawdzie nie za zorganizowanie spacerów, ale został „[...] oskarżony o to, że w dn. 10-11-1982 r. w Świdniku brał udział w akcji protestacyjnej, tj. o wykroczenie z art. 50 pkt 1 dekretu z dn. 12-12-1981 r. o stanie wojennym”.

Spacery trwały ledwie kilka dni, od 5 do 14 lutego 1982 r., ale pociągnęły za sobą wiele represji. Aresztowano kilkanaście osób. Jak wspominała działaczka podziemia niepodległościowego ze Świdnika Urszula Radek: – To zdarzenie zaszokowało tamtejsze władze i Służbę Bezpieczeństwa. Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewali. To wyzwoliło w nich niezwykłą wściekłość. Latali jak szaleni po klatkach schodowych, dobijając się do mieszkań, gdzie wystawiono telewizory w oknach. O ile pierwszego dnia spacerów było kilka osób na Sławińskiego, zresztą niedaleko komisariatu milicji, o tyle już kilka dni później spacerowało kilkadziesiąt, właściwie ponad kilkaset osób. Wtedy z tej wściekłości komuniści aresztowali i internowali kilkanaście osób. Represje były tak duże, że wielce nam oddany ks. Jan Hryniewicz zaapelował, by przerwać te spacery, bo już naprzeciwko spacerującym wystawiono ogromne polewaczki, czyli hydranty na kołach do rozpędzania tłumów.

W ramach represji przeciw spacerowiczom wyłączono prąd na kilka godzin w okolicznych ulicach. W tych dniach Wojewódzki Komitet Obrony wprowadził też wcześniejszą godzinę milicyjną, która obowiązywała od 19.00 do 6.00. W tej sytuacji ludzie rozpoczęli spacery podczas popołudniowego wydania DTV.

Ówczesna podziemna ogólnopolska prasa tak pisała o tym niezwykłym wydarzeniu. W dziewiątym numerze „Tygodnika Wojennego” możemy przeczytać m.in.: „11.02.1982 Tadeusz Wilk, wojewoda lubelski i przew. Wojewódzkiego Komitetu Obrony podpisał zarządzenie w sprawie zabezpieczenia porządku na terenie Świdnika, które wprowadza następujące restrykcje: [...] zawieszenie wszelkich imprez sportowych i kulturalnych. Ograniczenie zajęć w szkołach do godziny 18. Wyłączenie miejskiej i międzymiastowej łączności telefonicznej i telexowej, zakaz ruchu prywatnych pojazdów [...]”.

„Świdnicka zaraza”, jak raportowano z KW PZPR w Lublinie do KC PZPR, rozeszła się po kilkudziesięciu miastach. Najpierw dotarła do Lublina. W kolejnych dniach do Puław, a także do Warszawy, Gdańska, Krakowa i wielu niewielkich miast.

Mateusz Wyrwich

Tu pierwsze Radio Solidarność

Inicjatywy tworzenia przez podziemne struktury Solidarności niezależnych stacji nadawczych pojawiły się już wiosną 1982 r. Rozgłośnie były organizowane niezależnie od siebie z oczywistych względów – stan wojenny nie pozwalał na normalną komunikację i koordynację działań. Wszystko musiało być dobrze zakonspirowane, aby móc działać chociaż w krótkim okresie. Na falach eteru przekazywano wiarygodne, niezbędne i ważne informacje lokalne, z kraju i zagranicy na temat poczynąń komunistów, o przypadkach łamania praw człowieka, rewizjach, aresztowaniach. Audycje nadawano najczęściej w porze wysokiej oglądalności, np. wiadomości sportowych, a także z okazji świąt i Nowego Roku, w czasie przemówień komunistycznych agentów, czyli przedstawicieli tzw. władzy. Trwały one od kilku do kilkunastu minut – krótki czas emisji wynikał z potrzeby zapewnienia bezpieczeństwa zarówno osobom nadającym, jak i sprzętowi, który obawiano się utracić.

W Krakowie Radio Wolna Polska (Stanisław Tyczyński i Wiesław Ciołkiewicz – konstruktor nadajników) nadawało już w dniach 14–16 grudnia 1981 r. W Warszawie powstało radio zorganizowane przez Zbigniewa i Zofię Romaszewskich – pierwszą audycję wyemitowano 12 kwietnia 1982 r. (to był drugi dzień świąt Wielkanocy). Rozpoczęła się słowami piosenki „Siekiera, motyka...” i zapowiedzią: „Tu Radio Solidarność”. Nadali ją Marek Rasiński i Janusz Klekowski, nadajnik skonstruował inżynier Ryszard Kołyszko (ostatnią audycję nadano 22 czerwca 1989 r.).

Kolejne audycje nadawano od: 30 kwietnia w Gdańsku, 12 maja w Poznaniu, 11 czerwca w Krakowie, 27 czerwca we Wrocławiu (Radio Solidarność Walcząca), 3 sierpnia w Olsztynie, 9 września w Bielsku-Białej, 28 września w Legnicy, 11 października w Jeleniej Górze, dzień później w Kędzierzynie-Koźlu, następnie w Węgorzowie, Bydgoszczy, Kłodzku, Świdnicy, Stalowej Woli, Bielawie, Głogowie, Toruniu, Lublinie i wielu innych miastach.

Audycje były nadawane nieregularnie i z różnych miejsc – by zmylić Służbę Bezpieczeństwa. Jeśli była możliwość, to audycję kilkakrotnie powtarzano (potem ją archiwizowano), datę i godzinę nadawania w miarę możliwości zapowiadano na ulotkach i w prasie podziemnej. Niekiedy regiony współpracowały i nadawały na lokalnych nadajnikach audycje sąsiednich środowisk (tak współpracowały Warszawa i Siedlce). Fragmenty audycji Radia Solidarność były retransmitowane przez Radio Wolna Europa, a także w Australii, Nowej Zelandii i Szwecji. Z radiem współpracowało wielu artystów, aktorów, naukowców i działaczy społeczno-politycznych.

Nie zawsze udawało się przechrzyć esbecję, np. w grudniu 1983 r. aresztowano grupę związaną z Radiem Solidarność w regionie gorzowskim – Włodzimierza Jagodzińskiego, Witolda Bednarza, Helenę Klockowską, Adama Pelikana, Edwarda Klimuka, Edwarda Sitarza, Tadeusza Kormaniana i Jadwigę Wolińską. Oskarżono ich o działalność związaną z organizowaniem i nadawaniem audycji radiowych. Dostali wyroki od roku

A

B

i czterech miesięcy do roku więzienia. Takie prześladowania nie zniechęcały działaczy Solidarności do organizowania kolejnych audycji i radiostacji. Radio Solidarność oplotło polski eter i podnosiło na duchu rodaków aż do formalnego upadku komuny w 1989 r.

C

D

Paweł Janowski

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Tutaj nie pożyczysz

– Tato, dlaczego muszę oddać misia? – zbuntowany, ale żalony głosik naszego synka był kwintesencją smutku tego okropnego czasu. Karolek z ojcem lecieli samolotem do babci i dziadka – z Warszawy do Słupska, a tu taka sytuacja. Jak to wytłumaczyć czterolatкови? Urowadzenia samolotów z krajowych linii – nierzadko przez członków załogi – były niemal na porządku dziennym, więc wytarty pluszowy miś bez wątpienia stanowił... „zagrożenie terrorystyczne”. I dlatego został nadany na bagaż! Czyste kpiny, a tatuś musiał wytłumaczyć, co to jest emigracja.

Emigracje stały się wtedy chlebem powszednim. Jedni chcieli, inni musieli emigrować; tysiące ludzi. Bodaj pierwszy w naszym kręgu był Maciek Rybiński, wybitny felietonista i erudyta. Wyjechali – z żoną Krysia i córeczką Olą, której niemowlęce utensylia służyły kolejnym dzieciom dziennikarzy tygodnika „ITD”, bo Rybińscy szczerze dzielili się rzeczami i humorem, którym „żywił się” cały zespół. A tu taka wiadomość! Rybiński miał pewność – opartą na tak zwanym, bo niejawnym, „zakazie druku” wydanym po weryfikacji dziennikarzy – że na życie nie zarobi. To jak miał żyć?¹³

Wciąż pojawiały się dramatyczne wiadomości o kolegach, którym komuna skutecznie uniemożliwiała jakikolwiek zarobek. Jeden z najbliższych przyjaciół, świetny dziennikarz radiowy z Wybrzeża, kiedy wyszedł z internowania, próbował tu i tam, włącznie ze stacją benzynową. Wszędzie przychodził esbek i groził pracodawcy konsekwencjami – na przykład pożarem – jeśli dalej będzie zatrudniał tego człowieka. Co było robić?

Przed wyjazdem – do USA via Austria – zjechali całą rodziną do nas, syn i córka zaledwie po Pierwszej Komunii, dzieciaczki. Chłopiec miał woreczek zawieszony na szyi – z ziemią z pola dziadka.

Byli już młodzieżą, kiedy przyjechali w odwiedziny w 1989 r., tuż po wyborach 4 czerwca. Wtedy pierwszy raz zobaczyłam, że ten chłopiec się uśmiecha.

Barbara Sułek-Kowalska

¹³ Historia ta miała pozytywny finał. Rybiński wrócił do Polski w listopadzie 1998 r., a jego córka Aleksandra została – w ślad za swymi rodzicami – dziennikarką – przyp. wydawcy.

„Tygodnik Wojenny”

Wprowadzona w latach 40. przez reżim komunistyczny cenzura eliminowała z obiegu publicznego wszystkie teksty „niezgodne z linią partii”. Dotyczyło to nie tylko prasy, ale też wszelkich innych druków, łącznie z obrazkami, jakie roznosili księża podczas kolędy. Cenzurowano także druki, które były niezbędne do badań lekarskich. Słowem cenzura kontrolowała wszystko, co miało być wydrukowane w ilości powyżej 100 egzemplarzy. Potężny Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, mający swą siedzibę w Warszawie, posiadał oddziały nie tylko w województwach, ale i w powiatach. Także we wszystkich mediach. Wśród nich m.in. w teatrach i w kinie. Z kontroli urzędu nie były zwolnione też gazety będące organami PZPR – „centrala”, jaką był organ KC PZPR „Trybuna Ludu”, czy też jej wiejska odmiana: gazeta „Chłopska Droga”. I tak aż po rok 1990. Ale komunistyczna cenzura eliminowała nie tylko druki, które miały się ukazać, działając przewencyjnie. Eliminowała też z przestrzeni publicznej teksty i książki, które ukazywały się wcześniej – w II Rzeczypospolitej. Pierwszą rewizję książek zorganizowano w latach 1945–1947, kolejną w latach 1949–1951. Polegało to na wyrzuceniu nieprawomyślnych tomów, jak również druków ulotnych z bibliotek. Podobnie robili to Niemcy w czasach okupacji. Jeszcze przez krótki czas po wojnie ukazywały się druki wydawane przez WiN czy inne ugrupowania bądź organizacje podziemne.

Wyłomem w monopolu było pojawienie się prasy podziemnej – najpierw „Biuletynu” wydawanego przez Komitet Obrony Robotników od 1976 r., później „Opinii” (1977), która wyrażała poglądy członków Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, oraz wydawanego w Lublinie przez niezależnych katolików pisma „Spotkania” (1977). Kolejny wielki wyłom w walce z cenzurą zrobiły latające uniwersytety, organizowane przez świeckich, przede wszystkim jednak przez Kościół. Dalszą formacją naruszającą PZPR-owskie *status quo* w walce o wolne słowo były Wolne Związki Zawodowe.

Jednak rewolucją w walce z cenzurą stał się rok 1980 i powstające wraz z Solidarnością oficyny wydawnicze, które publikowały zakazaną dotąd w Polsce literaturę. Monopol rozbijał też ogólnopolski „Tygodnik Solidarność”, który w 1981 r. ukazywał się w półmilionowym nakładzie. Mimo że jego teksty poddawane były cenzurze, był pierwszą gazetą od lat 40. XX wieku zaznaczającą ingerencję cenzury. Podobnie czyniło to wiele regionalnych tygodników NSZZ „Solidarność” ukazujących się z widocznymi już ingerencjami cenzury.

Sytuacja radykalnie się zmieniła wraz z wprowadzeniem stanu wojennego – jednym z najważniejszych zadań, jakie swoim funkcjonariuszom postawiła junta wojskowa, było eliminowanie i niszczenie wszelkich niezależnych oficyn wydawniczych.

13 grudnia 1981 r. mimo tysięcy żołnierzy, czołgów i transporterów na ulicach ukazały się już pierwsze ulotki, wydawane w tysiącach, a później w setkach tysięcy egzemplarzy. Ich autorzy protestowali przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego,

potępiając decyzję PZPR i Jaruzelskiego, a także jego zwolenników. Ulotki informowały też o zastosowanych represjach wobec działaczy Solidarności, aresztowaniach, internowaniach, zabitych i rannych w kopalniach Śląska.

Autorami części ulotek, jakie pojawiły się na ulicach Warszawy, było kilka osób związanych m.in. z późniejszą gazetą „Tygodnik Wojenny”, którego pierwszy egzemplarz ukazał się z numeracją 1–2 i datą 7.01.1982 już 2 stycznia 1982 r. Jego twórcami było m.in. kilku działaczy szczebla komisji zakładowych NSZZ „Solidarność” – byłych kolporterów i drukarzy „Biuletynu Informacyjnego KSS »KOR«”, a także kilku dziennikarzy, w tym „Tygodnika Solidarność”, historyków sztuki, plastyków, nauczycieli, animatorów kultury i studentów.

Redaktorem naczelnym „Tygodnika Wojennego” („TW”) został Jan Strękowski, 27-letni polonista, poeta, w latach 70. drukarz i kolporter „Biuletynu Informacyjnego KSS »KOR«”, później wydawnictwa Nowa. Jak mówił przed laty, autorami tytułu byli Ewa Nawój i Czesław Apiecionek: – Najpierw w „TW” przeważała informacja. W kolejnych numerach publicystyka – wspominał Jan Strękowski. – Później już były wszystkie formy dziennikarskie i literackie. W „Tygodniku Wojennym” swoje opowiadania, jako pierwsze w podziemnej prasie stanu wojennego, publikował Marek Nowakowski. Na co dzień działała zawężona, tzw. mała redakcja. Był w niej: Piotr Szubert, Waldek Baraniewski, Jan Strękowski, Piotr Stańczyk, Leszek Cichomski. Spotykaliśmy się każdy z każdym. Zebrań w klasycznym tego słowa znaczeniu nie było. Zbieraliśmy się tylko wtedy w kilku, by zredagować i złożyć numer. Choć nie zawsze. Powodowały tym względy bezpieczeństwa. Przychodzili ci, którzy byli niezbędni w tym momencie. Ja, bo redagowałem teksty. Później układałem makietę. Waldek Baraniewski również redagował. Piotrek Stańczyk bywał od czasu do czasu. Ale często. Podobnie jak Szubert. Do stycznia 1983 roku, kiedy został aresztowany. Zebrań redakcyjnych z udziałem kilkunastu osób, poza założycielskim, było kilka. Dotyczyły one podpisania ważnych deklaracji. Dyskutowaliśmy z kilkoma osobami, jacy autorzy powinni do nas pisać. Ale nigdy z całą grupą. Po swoich kręgach towarzyskich chodził Szubert. Spotykał się z Joanną i Mateuszem Wyrwichami, którzy proponowali swoje teksty bądź innych autorów. Baraniewski zamawiał potrzebne redakcji teksty. Ze względów bezpieczeństwa miałem bardzo zawężony krąg osób, z którymi się spotykałem. Piotr Bigoś był moim łącznikiem. Najpierw kiedy się ukrywałem. On jedyny wiedział, gdzie bywam. Miałem osiem par kluczy i z powodu godziny milicyjnej nocowałem w różnych rejonach. Zostawałem w tym mieszkaniu, gdzie zastawała mnie godzina milicyjna. Nikomu nie dawałem planów na dzień.

Postanowiono, że „TW” będzie wydawany w formacie A4 metodą sitodruku. Jednak do tego potrzebne były diapozytywy, czyli mówiąc w uproszczeniu – klisze, z których naświetlano materiał, zwany potocznie sitem. Fotografiami zajmował się w domach kultury Tomasz Trepka. Niebawem jako producent diapozytywów dołączył zawodowy fotografik Erazm Ciołek. Pierwsza drukarnia znajdowała się na osiedlu wojskowym nieopodal twórcy stanu wojennego – Wojciecha Jaruzelskiego.

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
Ś
T
U
W
Z
Ż

Kolejne lata to kolejne tysiące wydrukowanych numerów. W najlepszym czasie „TW” jego jednorazowy nakład wynosił 40 tys. egzemplarzy. I choć był tygodnikiem, to częstotliwość ukazywania się numerów była mniej więcej dziesięciodniowa. W sierpniu każdego roku redakcja zawieszała jego wydawanie na miesiąc urlopowy. Wraz z cyklem urlopów w największych zakładach kraju. Na przestrzeni czterech lat wydawania pisma redakcja dopracowała się blisko 200 drukarni, w tym kilkudziesięciu poza Warszawą, m.in. w Białymstoku, Bydgoszczy, Kielcach (efemerycznie), Krakowie, Inowrocławiu, Lublinie (efemerycznie), Łodzi, Puławach, Szczecinie, Toruniu, Wrocławiu. Wśród drukarni były również te, które tworzyły zespoły filialne tygodnika. Jeden z kolekcjonerów prasy podziemnej ma w swym posiadaniu ponad 50 mutacji „Tygodnika Wojennego”.

Znaczny wkład w druk, kolportaż i zawartość informacyjną „Tygodnika Wojennego” miały filie „TW” rozsiane w kilkunastu większych miastach kraju. Ich szefowie zbierali informacje, które publikowano w kolejnych numerach tygodnika.

Koordynatorem filii w Kielcach i wieloletnim publicystą „TW” był Jerzy Stępień. Grzegorz Czyż natomiast niestrudzonym szefem filii „TW” we Wrocławiu. Podobnie jak później „Samorządnej Rzeczpospolitej” aż po 1989 r. Również Wiesław Szajko w Szczecinie. „TW” drukowany był nawet w jednej z wsi ówczesnego województwa rzeszowskiego – w Soninie. Szefowie filii mieli za zadanie m.in.: stworzyć kanały informacyjne, zapewnić lokale na spotkania dla łączników z Warszawy, wyznaczyć kurierów do kontaktów z Warszawą, skąd odbierano diapozytywy „Tygodnika Wojennego”. Spoczywała na nich także odpowiedzialność za cały proces drukarski. Filie musiały być całkowicie samowystarczalne finansowo. Niekiedy tylko redakcja centralna „TW” wspierała je niewielką liczbą podziemnych znaczków filatelistycznych czy broszur do sprzedaży. Kontakt z filiami utrzymywali dziennikarze delegowani przez redakcję w Warszawie. I tak m.in. za kontakty z filiami w Kielcach, Szczecinie i Wrocławiu odpowiedzialni byli Joanna i Mateusz Wyrwichowie. Za filię w Puławach – Andrzej Kaczyński. Za Kraków – Jan Strękowski. Piotr Bigoś zajmował się filiami w Bydgoszczy i Toruniu.

Od 1983 r. „TW” miał również swoich przedstawicieli na Zachodzie. W Paryżu „TW” reprezentowała Bożena Magott i Krzysztof Jussac, w Oslo Paweł Gajowniczek i w Hamburgu Bogdan Zmorzyński. Do ich zadań należało m.in. nawiązywanie kontaktów z zachodnimi związkami zawodowymi, również z dziennikarzami zachodnich mediów. Jako znakomicie zorientowani w tym, co się dzieje w Polsce, byli nie tylko przedstawicielami „TW” na Zachodzie, ale też ambasadorami polskiej sprawy. „Tygodnik Wojenny” i jego przedstawiciele na Zachodzie – Paweł Gajowniczek i Bogdan Zmorzyński byli jedynymi reprezentantami podziemnych mediów podczas wręczania w Oslo przyznanej Wałęsie Pokojowej Nagrody Nobla (w imieniu laureata nagrodę odbierała jego żona Danuta z synem Bogdanem). Otrzymali akredytację jako przedstawiciele „Tygodnika Wojennego”.

„Tygodnik Wojenny” był pierwszym ogólnopolskim pismem. Niebawem, wiosną 1982 r., ukazał się „Tygodnik Mazowsze”, który reprezentował władze podziemnej Solidarności. Po wejściu do drugiego obiegu wydawniczego „Tygodnika Mazowsze” „TW” stał się drugim pismem pod względem wielkości nakładu. Choć miał w podtytule

„NSZZ Solidarność region Mazowsze”, nie był organem tej struktury. I mimo prób opowania go przez władze regionu, w żadnym czasie nie był im podporządkowany. Po kilku tygodniach spośród założycieli wyłoniła się grupa ludzi odpowiedzialnych za poszczególne prace redakcyjne. Zespół działał niczym profesjonalna redakcja. Jan Strękowski odpowiadał za całość. Włodzimierz Cichomski został sekretarzem redakcji i skarbnikiem. „TW” był bezpłatny, utrzymywał się z dobrowolnych wpłat KZ „S” bądź osób indywidualnych. Waldemar Baraniecki był odpowiedzialny za kontakty krajowe i zagraniczne. Piotr Szubert do czasu aresztowania w styczniu 1983 r. pełnił funkcję szefa kolportażu. Zastąpił go później na tym stanowisku Marek Bem. Piotr Stańczyk do czasu ujawnienia sprawował funkcję szefa techniki. Jemu podlegały m.in. drukarnie i transport. Ryszard Holzer przez kilka pierwszych miesięcy był odpowiedzialny za odbiór tekstów od łączników. Ale dla bezpieczeństwa, jak mówił redaktor naczelny pisma Jan Strękowski, bardzo szybko powstały dwie zastępcze redakcje, powołane na wypadek jakiegoś zagrożenia ze strony Służby Bezpieczeństwa. Jedną z nich stanowili – Stanisława Domagalska i Jan Doktor. Inną – Joanna i Mateusz Wyrwichowie. Przez kilka numerów „TW” redagowany był przez Zytę Orszyn i Andrzeja Kaczyńskiego, również przez Joannę i Mateusza Wyrwichów.

Od samego początku „Tygodnik Wojenny” był bardzo otwarty na wszystkie kierunki myślenia. Publikowali tu m.in. Ernest Skalski, Jacek Kalabiński, Jacek Maziarski, Krzysztof Czabański, Krzysztof Wolicki, Wanda Falkowska, Krzysztof Wyszkowski, Ernest Bryll, Józef Kuśmierek, Kazimierz Dziewanowski, Tadeusz Mazowiecki, Ewa Berberyusz, Leszek Szaruga, Hugon Bukowski, Henryk Szlajfer, również księża, m.in. ks. Stanisław Małkowski czy błogosławiony ks. Jerzy Popiełuszko. Wiosną 1982 r. redakcja powołała Bibliotekę Tygodnika Wojennego, która wydała kilkadziesiąt pozycji. Od historycznych po publicystyczno-propagandowe. Od poezji Ernesta Brylla, ps. „Delta”, który publikował tu swoje utwory, przez wiersze Wiktora Woroszyńskiego po „Stan Polski” Józefa Kuśmiera. Tygodnik starał się być pismem Solidarności, takiej jak ją postrzegano w 1981 r. – gdzie spotykało się ze sobą bardzo wiele różnych środowisk ideowych: od lewa do prawa, od katolickich po lewicowe. Choć w podtytule pisma widniał NSZZ „Solidarność”, to „TW” starał się być pismem niezależnym od władz Solidarności, zarówno regionalnych, jak i krajowych.

Z czasem „TW” rozpoczął też wydawanie tzw. wkładek tematycznych, m.in. dotyczących spraw kultury czy problematyki samorządu pracowniczego. Pierwszą redagowali aktorzy: Joanna Szczepkowska i Kazimierz Kaczor. Drugą, zatytułowaną „Samorządna”, która w połowie 1985 r. przerodziła się w pismo „Samorządna Rzeczpospolita”, redagowali Joanna i Mateusz Wyrwichowie oraz Bogdan Lewandowski.

Przez wszystkie lata „Tygodnikiem Wojennym” interesowała się Służba Bezpieczeństwa i kontrwywiad wojskowy. Ale instytucje te nie odnotowały większych sukcesów w ściganiu struktur i ludzi związanych z „TW”. Mimo iż niektórzy współpracownicy czy redaktorzy byli aresztowani i przesłuchiwani, nie wpłynęło to na funkcjonowanie pisma.

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

W marcu 1985 r. wraz z ostatnim, 105 numerem „Tygodnik Wojenny” przestał się ukazywać. Część członków redakcji uważała, że skończyła się już wojenna formuła „TW”. Redaktor naczelny Jan Strękowski wspominał po latach: – Szukaliśmy nowej formuły. Nastąpiła pewna stabilizacja wojenna i trzeba było brać to pod uwagę. Trzeba było wymyślić nowe formy przekazu. Rodził się pomysł zorganizowania radia. I takie powstało na kanwie „TW”. Również innego, bardziej lekkiego pisma, jakim był „Przeгляд Wiadomości Agencyjnych”, który miał być ilustrowanym dodatkiem „TW”. Podobnie jak wkładka samorządowa zajmująca się samorządem pracowniczym i później terytorialnym przerodziła się w dwutygodnik „Samorządna Rzeczpospolita”.

Mateusz Wyrwich

Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność”

Wprowadzenie stanu wojennego przy udziale ponad 70 tys. żołnierzy i 30 tys. milicjantów i innych funkcjonariuszy MSW wyeliminowało działające legalnie kierownictwo Solidarności, czyli Krajową Komisję Porozumiewawczą NSZZ „S”. Większość jej działaczy, również wielu pracowników, internowano. Szeregowi związkowcy „S” zeszli do podziemia i podjęli działalność w strukturach powoływanych *ad hoc* w konspiracji, czy to szczebla zakładowego, czy regionalnego. Organizowali struktury związkowe, prasowe, radiowe oraz dzięki Episkopatowi Polski pomocowe w setkach kościołów na terenie kraju. Po krótkim szoku polscy patrioci odruchowo zaczęli organizować się przeciwko sowieckim namiestnikom. Działali we wspomnianych już strukturach, a także spontanicznie poza nimi. Brali udział w 1- i 3-majowych manifestacjach przeciwko komunizmowi, we Mszach św. za Ojczyznę czy modlitwach przy układanych naprędce krzyżach z kwiatów w miejscach pamięci.

Choć powołano różne oddolne organizacje, wielu działaczy oczekiwało, że powstanie podziemna struktura ogólnopolska, która zajęłaby się koordynacją, a przynajmniej nakreśleniem planu działań podziemnej Solidarności na przyszłość. 22 kwietnia 1982 r. powstała w Warszawie Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność”. W jej skład weszli czterej działacze reprezentujący różne regiony, według kolejności alfabetycznej: Zbigniew Bujak, Władysław Frasyński, Władysław Hardek i Bogdan Lis. Region Mazowsze reprezentował Zbigniew Bujak. W czasach działania legalnej Solidarności współzałożyciel „S w Zakładach Mechanicznych „Ursus”. Wcześniej współpracownik Komitetu Obrony Robotników. W latach 1980–1981 we władzach Komisji Krajowej, również w jej prezydium. Po wprowadzeniu stanu wojennego przewodniczący Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „S” Regionu Mazowsze. Region Dolny Śląsk reprezentował Władysław Frasyński. W 1980 r. uczestnik strajku we wrocławskim Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym. Przewodniczył Solidarności na Dolnym Śląsku. W Komisji Krajowej zaś był członkiem Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. Region Małopolski reprezentował Władysław Hardek. Hutnik pracujący w ówczesnej Hucie im. Lenina w Krakowie. W 1980 r. współorganizator strajków w hucie i współzałożyciel Komitetu Robotniczego Hutników HiL. Działacz legalnych, w stanie wojennym zaś nielegalnych struktur w hucie, jak również w Małopolsce. Region Gdański reprezentował Bogdan Lis. Podobnie jak poprzednicy działał w legalnych strukturach „S” w Komisji Krajowej, był także wiceprzewodniczącym ZR „S” Region Gdański. W 1980 r. organizował strajk w gdańskich zakładach ELMOR. Wcześniej należał do komunistycznych organizacji młodzieżowych, a także do PZPR. Od 1978 r. był działaczem Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża.

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
Ś
T
U
W
Z
Ż

Celem Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, jak pisali założyciele, była działalność do czasu wznowienia prac Komisji Krajowej z Lechem Wałęsą na czele. I dalej „[...] [Jej działacze] zobowiązują się kontynuować działania zmierzające do odwołania stanu wojennego, zwolnienia internowanych i skazanych, przywrócenia praw obywatelskich”. W wydanym swym pierwszym oświadczeniu, zatytułowanym „W sprawie ugody narodowej” zaproponowano też „[...] rozwiązanie stojących przed Polską problemów i podjęcia rozmów”, jednak „[...] jest ono niemożliwe bez podjęcia rozmów między władzą a społeczeństwem”. Wspomniano też o przyjęciu warunków ugody narodowej zaproponowanej przez Prymasowską Radę Społeczną. Podkreślano, iż „jedynym warunkiem rozpoczęcia rozmów jest zwolnienie wszystkich internowanych i amnestia dla aresztowanych i skazanych”. Zwracając się do narodu, TKK zaapelowała, by każdy 13 dzień miesiąca był „dniem protestu przeciwko przemocy i bezprawiu”.

Komisja miała także swoje przedstawicielstwo w Brukseli. Działała do kwietnia 1987 r. W jej skład, po kolejnych aresztowaniach wymienionych wyżej działaczy, wchodziła przedstawiciele różnych regionów Polski. Jej członkowie spotykali się mniej więcej co kilka tygodni, wydając odezwy i zalecenia podziemnym strukturom utożsamiającym się z Solidarnością.

Mateusz Wyrwich

U

Uciszyć pamiętających

Pamięć o mordowaniu Polaków w Katyniu rękami komunistów wiosną 1940 r. była w czasach PRL zakazana. W lesie niedaleko Smoleńska zamordowano blisko 22 tys. Polaków – 14,5 tys. jeńców wojennych i 7,3 tys. cywilów zwiezionych z obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie.

Do początku lat 90. nie wolno było o tej zbrodni wspominać, za pamięć brano do więzienia, prześladowano, szykanowano, a nawet mordowano – jak ks. Stefana Niedzielaka (1914–1989).

Dla komunistów fakt, że mordowano jeńców wojennych, chronionych prawem międzynarodowym, nie miał najmniejszego znaczenia. Celem była fizyczna eksterminacja polskich patriotów (oficerów, policjantów, nauczycieli, urzędników, lekarzy, artystów, naukowców itd.) i uniemożliwienie w przyszłości odrodzenia się Polski, dlatego pamięć o tej zbrodni była zakazana. Każdego, kto odważył się przypomnieć, pamiętać o Katyniu, bezwzględnie prześladowano. W czasach stanu wojennego takim prześladowanym człowiekiem był ks. Stefan Niedzielak.

Aż do 1990 r. władze Związku Sowieckiego oficjalnie zaprzeczały swej odpowiedzialności za tę zbrodnię. Obarczano nią Niemców. Przykładem walki o pamięć było powołanie przez Kongres USA Komisji Maddena (1951–1952) – co miało znaczenie w skali międzynarodowej. Ksiądz Niedzielak, który przez całe życie walczył o pamięć o Katyniu, nie doczekał tej chwili ujawnienia prawdy – został zamordowany. W młodości był współpracownikiem Delegatury Rządu na Kraj i bardzo szybko poznał raport komisji Czerwonego Krzyża o tej zbrodni. Latem 1944 r. przywiózł do Krakowa tzw. depozyt katyński (dowody z ekshumacji przeprowadzonej przez Niemców). Po zakończeniu II wojny światowej był członkiem organizacji Wolność i Niezawisłość. Pracował w kilku parafiach w Warszawie, m.in. w parafii na Powązkach, gdzie zapoczątkował odprawianie Mszy św. za Ojczyznę w 1977 r. W latach 80. wraz z Wojciechem Ziemińskim organizował sanktuarium Poległym i Pomordowanym na Wschodzie, był kapelanem Warszawskiej Rodziny Katyńskiej. Zainicjował wzniesienie Krzyża Katyńskiego 31 lipca 1981 r. na cmentarzu powązkowskim – Służba Bezpieczeństwa jeszcze tej samej nocy go usunęła. Za swoją działalność i niezłomną pamięć o Katyniu był nieustannie, przez wiele lat szykanowany, straszony śmiercią, otrzymywał listy i telefony z pogrózkami. W nocy z 20 na 21 stycznia 1989 r. został zamordowany, a wcześniej pobity na plebanii na Powązkach przez „nieznanych sprawców”. Według komunistów – „śmiertelnie spadł z fotela”. Do dziś w pełni nie wyjaśniono tego morderstwa – „za niezłomną pamięć o Katyniu”.

Paweł Janowski

Ukrywanie

Dotychczas nikt nie napisał dobrej monografii historycznej o fenomenie ukrywania setek działaczy Solidarności między 1981 a 1986 r. Rodziny, które zgodziły się na takie przetrzymywanie poszukiwanych konspiratorów, ryzykowały wiele, a jednak system tajnych lokali funkcjonował niezwykle sprawnie. Lepiej znosili takie ukrywanie się intelektualiści, którzy mogli zatopić się w książkach, a znacznie gorzej działacze niższych szczebli Solidarności, których bezczynność męczyła. Ale mimo to system działał bardzo sprawnie.

Piotr Semka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Jerzy Urban

Autor nowej doktryny propagandy komunistycznej władzy, czyli „pańszwiniizmu”. Propaganda PRL nie próbowała wtedy nawet udawać, że władza moralnie stoi wyżej od prześladowanej Solidarności. Sugerowano, że owszem władza ma swoje za uszami, ale po pierwsze zimny realizm nakazuje zniszczenie Solidarności, gdyż inwazja ze strony Związku Sowieckiego byłaby sto razy gorsza, a po drugie czyniono aluzje, że elity solidarnościowe też są łase na pieniądze i wpływy. Stąd w trakcie filmowych migawek z wkraczania ekip milicyjnych do podziemnych solidarnościowych drukarni obok świeżo wydrukowanej bibuły prezentowano rozetki wykonane z banknotów dolarowych. Władza dawała do zrozumienia, że opozycjoniści wybierają podziemie dla nabicia sobie kabzy dolarami od emisariuszy CIA i Mossadu.

Piotr Semka

Ursus, strajki

Zacząło się w lipcu. Najpierw był Świdnik, później Lublin i kilkadziesiąt zakładów w Polsce, w tym Zakłady Mechaniczne „Ursus” w Warszawie, ale nie wszystkie wydziały. Powodem rozpoczęcia strajków w lipcu 1980 r. było podniesienie norm, słowem wydajności pracy za tę samą płacę. Załoga Zakładu Remontowo-Energetycznego w ZM „Ursus” utworzyła komitet strajkowy o nazwie Komisja Robotnicza, pod przewodnictwem dwóch działaczy, wcześniej związanych z Komitetem Obrony Robotników. Byli to Zbigniew Bujak i Zbigniew Janas. Komisja zgłosiła siedem postulatów. Wśród nich podwyżkę płac, a także zagwarantowanie bezpieczeństwa strajkującym. Dyrekcja zaakceptowała postulaty i 3 lipca strajk zakończono.

Kiedy w sierpniu rozpoczęły się strajki w Gdańsku, na krótko stanął również Ursus. Dyrekcja dała podwyżki i znów bunt się wyciszył. Wkrótce jednak pojawiły się ulotki, w których nawoływano do tworzenia wolnych związków zawodowych. Najpierw jednak, 21 sierpnia, powstał Robotniczy Komitet Solidarnościowy ze Strajkującymi Robotnikami Wybrzeża. Do Gdańska pojechała delegacja z Ursusa. Tydzień później w zakładzie odbyły się dwa wiece, w których uczestniczyło kilka tysięcy osób. Podczas jednego z nich Zbigniew Bujak wyjaśnił, że na razie strajk nie jest konieczny, bo interesów całej załogi bronią stoczniowcy i ich doradcy negocjujący z władzami. Gdyby zaś rozmowy stanęły w miejscu, Ursus będzie wspierać stoczniowców strajkiem. Po podpisaniu Porozumienia Gdańskiego, na Pomorzu Zachodnim i na Śląsku, z początkiem września w Ursusie powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Mazowsze”. Dwa tygodnie później, kiedy niezależne związki przyjęły nazwę NSZZ „Solidarność”, ursuski związek wszedł w jego skład.

A tak wspominał przed laty powstanie związku jeden ze strajkujących, późniejszy przewodniczący Komisji Kultury i Oświaty w Ursusie, Witold Kaszuba: – Poszedłem do dwóch Zbyszków: Bujaka i Janasa, ale miałem sporo obaw o to, jak mnie przyjmą, i o to, że kiedy tam pójde, to zainteresuje się mną Służba Bezpieczeństwa. A wynajmowaliśmy razem z mamą mieszkanie bez zameldowania. Lękałem się więc, czy nie zrobię mamie przykrości. Wiedziałem, że gdy wdam się w politykę, to już na pewno mogę zapomnieć o zakładowym mieszkaniu. Mimo to poszedłem. Ciągnęło mnie, by coś zmienić w tym marazmie PRL. Żeby nie marnowało się społeczne dobro. To było na pierwszym miejscu. Kiedy przyszedłem na halę, jakiś facet zlustrował mnie i skierował do warsztatu na pięterku. Zbyszek Bujak przyjął mnie bardzo serdecznie. Obawiałem się, że będzie wypytywał, jakie mam intencje, z czyjego polecenia przychodzę. Nic z tych rzeczy. Tylko wyciągnął bibułę. Dał mi do czytania. To mnie tak ujęło, że od razu poczułem się pewnie. Wziąłem tę bibułę i rozdałem na wydziale. Druga wizyta przebiegała tak, jak się pierwotnie obawiałem. Przyjął mnie Zbyszek Janas. Uważnie zlustrował. Wypytywał: po co? skąd? dlaczego? Ale już mogłem powołać się na spotkanie ze Zbyszkim Bujakiem.

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
Ś
T
U
W
Z
Ź

Komisja Zakładowa warszawskich zakładów przez 16 miesięcy legalnej działalności była jedną z najprężniej działających wówczas na Mazowszu. A jej pierwszy przewodniczący Zbigniew Janas był postacią znaczącą w Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Podobnie jak Zbigniew Bujak w stanie wojennym z powodu współkierowania Tymczasową Komisją Koordynacyjną podziemnej „S” oraz czteroletniego ukrywania się przed SB stał się legendą solidarnościowego podziemia.

Po ogłoszeniu w Polsce stanu wojennego w ZM „Ursus” podjęto strajk. W poniedziałek 14 grudnia zebrali się niemal całe ursuskie prezydium KZ „S”. Zakład stanął. Przewodniczącym Komitetu Strajkowego został Jerzy Kaniewski. Włożono na rękawy biało-czerwone opaski. Nie namawiano jednak nikogo, aby się dołączył. Komitet doszedł do wniosku, że powinna to być osobista decyzja pracownika. Dyrekcja od razu urlopowwała całą załogę. Komitet Strajkowy zaś podjął decyzję o zabezpieczeniu wszystkich wydziałów.

– Patrole związkowe chodziły z opaskami po terenie zakładu, a było kilkanaście hektarów do patrolowania – opowiada Witold Kaszuba. – Podzieliliśmy między siebie prace. Ustaliliśmy skrzynki kontaktowe w mieście. Tymczasem zakład już był otoczony przez ZOMO i wojsko. Oczywiście, mieliśmy świadomość powagi sytuacji i bardzo uważaliśmy, by nie doszło do rozlewu krwi. Napięcie wśród załogi było oczywiste. Miałem się zająć organizowaniem sieci informacji. Zdecydowaliśmy, że wyjdę na zewnątrz, żeby się dowiedzieć, co się dzieje w innych warszawskich zakładach. Ruszyliśmy z kolegą maluchem [fiat 126p] do miasta. Podjechaliśmy do zakładów Świerczewskiego i Kasprzaka, ale tam już była milicja i wojsko. Bez większego trudu, od tyłu, dostaliśmy się do Huty Warszawa. Przy wszystkich bramach było wojsko i ZOMO. To, co mnie tam poraziło, to absolutna cisza. Na terenie zakładu nigdy nie ma takiej ciszy, zawsze coś dymi, syczy. Tu był wymarły zakład. Huta stała. W pewnym momencie pojawiło się dwóch chłopaków z biało-czerwonymi opaskami. Podeszliśmy, mówiąc, że jesteśmy z Ursusa. Zaprowadzili nas do Komitetu Strajkowego. W hali była gromada ludzi. Uwierzytelnił mnie człowiek, który miał wcześniej kontakt z naszą Komisją Kultury. Wygłosiłem do kilkuset zgromadzonych zagrzewające przemówienie, bo miny, pewnie podobnie jak my, mieli ponure. Powiedziałem, że strajkujemy i będziemy strajkować do oporu. Dowiedziałem się, że do FSO już się nie dostaniemy, bo jest szczelnie otoczone przez mundurowych. Po dwóch, może trzech godzinach wróciliśmy do zakładu, napotykając tuż przed Ursusem wojskowy patrol, przed którym udało mi się uciec. Po kilkunastu minutach dołączyłem do grupy ludzi, którzy szli do zakładu na strajk, zaopatrzeni w kanapki, termosy. W komitecie zdałem relację z naszej wyprawy. Ludzie byli w hali. Prezydium Komitetu Strajkowego objęło we władanie świetlicę. Siedzimy, rozmawiamy, a ludzie... powoli wyciekają. Zaczęliśmy się więc zastanawiać, czy jednak nie skończyć strajku, bo ludzi ubywa. W międzyczasie przyjechali Jan Józef Lipski i Marian Srebrny ze wsparciem dla nas. Zdecydowaliśmy, że strajkujemy do skutku. Zwolniliśmy do domu wszystkie kobiety. I czekaliśmy na to, co będzie. Choć chyba każdy z nas podejrzewał, że skończy się do wejściem wojska i ZOMO. Zdecydowaliśmy, że nie będziemy stawiać oporu. Nie mamy żadnych szans.

Wojsko i ZOMO zaatakowało Ursus po północy. Oddziały ZOMO i 13 Pułk Zmechanizowany LWP rozpoczęły atak na Komitet Strajkowy. Wśród atakujących znalazł się m.in. Jerzy Dziewulski. W III RP ulubieniec postkomunistycznych mediów. Po niespełna dwugodzinnej akcji 60 strajkujących zatrzymano i zawieziono do komendy milicji. Później dziewięciu z Komitetu Strajkowego osadzono w areszcie tymczasowym na Rakowieckiej. 20 stycznia 1982 r. odbył się proces Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” z Ursusa. Oskarżał prokurator Walczyk. Oskarżonych bronili najwybitniejsi przedstawiciele warszawskiej palestry, m.in. Jan Olszewski, Stanisław Szczuka, Władysław Siła-Nowicki. Zapadły kilkuletnie wyroki dla trzech z nich. Witold Kaszuba został skazany na trzy lata więzienia. Pozostali otrzymali podobne wyroki. Jedna osoba została uniewinniona.

Kolejny strajk w Ursusie, zorganizowany już przez młodsze pokolenie, nie odegrał większej roli w protestach, które wybuchły w 1988 r. Był jednym z wielu strajków. Już trwały rozmowy komunistów z działaczami Solidarności w sprawie obrad Okrągłego Stołu.

Mateusz Wyrwich

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Uwalane ręce

Decydowały o kłopotach. 17 grudnia 1981 r. milicja okrążyła młodych zadymiarzy na dworcu PKP w Gdańsku. Części z nich udało się dostać do pociągu jadącego do Częstochowy, który akurat wjechał na dworzec. Pociąg był jednak już zapchany, więc zbyt wielu nowych osób nie wchłonął. Reszta próbowała małymi grupami opuszczać rejon dworca, ale ZOMO sprytnie ustawiło się w różnych punktach wyjściowych i sprawdzało ręce. Jeśli na paznokciach czy na opuszkach palców było choć trochę ciemnobrązowego pyłu spod podkładów kolejowych (kamieniami z torów obrzucano milicjantów), to można było się już z góry gotować na wywiezienie do więzienia na ul. Kurkowej, gdzie czekało pałowanie.

Piotr Semka



Wakacje pod specjalnym nadzorem

Wiosną 1982 r. do ks. Piotra Kurowskiego w Biskupicach k. Lublina przybyli Jerzy Bartmiński i Małgorzata Kiszczak. Chcieli oddać pieniądze za koszty poniesione przez proboszcza na związkowe seminarium, a przy tym prosili o zgodę na zorganizowanie na terenie jego parafii wakacji dla dzieci osób internowanych i wyrzuconych z pracy związkowców. Ksiądz nie tylko się zgodził, ale i przekazał wszystkie otrzymane pieniądze na ten cel. Już w 1982 r. skorzystało z jego gościnności ok. 200 dzieci.

Tak udana akcja była kontynuowana. W atmosferze stanu wojennego, w czasie permanentnej inwigilacji i niepewności, działacze lubelskiej Solidarności spotkali się w maju 1983 r. – głównym tematem spotkania było zorganizowanie wypoczynku wakacyjnego dla dzieci aresztowanych i internowanych członków związku. Hasło brzmiało: „Wakacje z Bogiem 83”. W spotkaniu wzięli udział Dana Winiarska, Jadwiga Kiszczak, Małgorzata Kiszczak i Józef Kaczor. Krąg współpracowników rozszerzał się z każdym kolejnym spotkaniem. Finalnie zorganizowano wypoczynek dla kilkuset dzieci rocznie. Nie było to łatwe przedsięwzięcie – każdorazowo potrzebnych było kilkudziesięciu wykwalifikowanych wychowawców, należało koordynować i finansować przejazdy tam i z powrotem, wyżywić wszystkich uczestników. Dyskretnie wspierała to przedsięwzięcie Kuria Biskupia w Lublinie (bp Bolesław Pylak), a za jej zgodą wiele parafii i proboszczów diecezji lubelskiej.

Jak tylko Służba Bezpieczeństwa zorientowała się w skali tych działań (w 1983 r. z wakacji skorzystało prawie 900 dzieci – przebywały w Dąbrowicy, Klemensowie, Jarosławiu, Wrzelowcu, Tomaszowie i na kilku obozach wędrownych), a nie sposób było wszystko zorganizować bez oficjalnych zgód właściwych organów, zaczęto się zastraszanie i przesłuchiwanie księży, wychowawców i rodziców dzieci. Po sezonie 1983 utrwaliła się nazwa „Wakacje z Bogiem”. Od 1985 r. dzieci mogły wypoczywać także w górach – w Bieszczadach, Beskidach i w podhalańskiej wsi Małe Ciche. Zaczęto także organizować obozy żeglarskie, rowerowe, zimowiska z Bogiem na Torbaczu i w Tyliczu. Ten wypoczynek dostępny był dla wszystkich dzieci, nie stosowano kryterium wyznaniowego. Organizatorzy i wychowawcy spotykali się jesienią i zimą każdego roku w kościele przy ul. Staszica w Lublinie (ks. Janusz Rzeźnik), wzmacniani osobowo przez kleryków lubelskiego seminarium. Ogólnopolskie struktury Solidarności przyjmowały informacje o „Wakacjach” z niedowierzaniem. Wszyscy dorośli uczestnicy tej akcji pracowali bezpłatnie, miejsca na plebaniach i w domach katechetycznych udostępniane były za darmo, żywność otrzymywano z darów, tylko niewielka część kosztów pokrywana była z zasobów związku i z ofiar darczyńców.

Esbecja nie mogła spać spokojnie. 23 czerwca 1986 r. aresztowano organizatorów – Annę Stanek, Marię Głowacką i Józefa Kaczora. Zarekwirowano pieniądze zebrane na rzecz „Wakacji” i dokumenty. Wszczęto śledztwo przeciwko nim i jeszcze kilku osobom

(Janinie Marciniak, Halinie Anikij, Mirosławowi Załuskiemu i Kazimierzowi Kmieciovii). Przesłuchano biskupa lubelskiego Bolesława Pylaka i jego współpracowników. Te działania nie zatrzymały akcji. W 1987 r. skorzystało z niej ponad 600 dzieci. Ostatnie turnusy odbyły się w 1989 r., jeszcze w systemie półkonspiracyjnym (ponad 650 dzieci). W sumie z tej inicjatywy skorzystało kilka tysięcy dzieci. Zrodzona z potrzeby serca i chęci pomocy dzieciom rozwijała się dzięki licznej grupie wychowawców, nauczycieli, pielęgniarek, lekarzy i innych ludzi dobrej woli. Biuro przestało działać w 1991 r., a akcję kontynuowały już poszczególne zakłady pracy przy współpracy z komisjami zakładowymi Solidarności.

Paweł Janowski

Westerplatte i Zasp

Dlaczego wyróżniam te dwa spotkania z Janem Pawłem II (12 czerwca 1987) z wszystkich etapów pielgrzymek papieskich w latach 1979–1987? Być może dlatego, że były one w wyjątkowy sposób naznaczone ogromnym szacunkiem, jaki Ojciec Święty Jan Paweł II miał dla Solidarności. Trzeba było niezwykle silnej duchowości Pontifexa, jego wybitnej inteligencji moralnej, aby połączyć Westerplatte, symbol walki zbrojnej, z rzeczywistością Gdańska w 1987 r. – miasta, w którym narodziła się Solidarność. I było w tym wszystkim ogromne zaufanie papieża do gotowości młodego pokolenia do idealizmu. Już sam tytuł homilii w miejscu rozpoczęcia II wojny światowej wydawał się paradoksem – „Dla chrześcijanina sytuacja nigdy nie jest beznadziejna”. Słuchali go młodzi ludzie, którzy zmagali się bardzo często z pokusą emigracji i pozostawienia Polski w szarzyźnie komunizmu, gdzie propaganda PRL powtarzała, że Solidarność jest już zamkniętym rozdziałem historii. Oni na własne oczy widzieli, jak wielu rodziców odreagowywało szok stanu wojennego ucieczką w zdobywanie coraz bardziej doskonałych dóbr konsumpcyjnych. Owych słynnych meblóścianek, małych fiatów, a nawet pierwszych wtedy magnetowidów. Wszystko to za cenę odwrócenia się plecami do idei, które w tak spektakularny sposób zostały zmiażdżone w grudniu 1981 r. „Každy z was, młodzi przyjaciele, znajduje też w życiu jakieś swoje »Westerplatte«. Jakiś wymiar zadań, które musi podjąć i wypełnić. Jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić. Nie można »zdezerterować«. Wreszcie – jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba »utrzymać i »obronić«, tak jak to Westerplatte, w sobie i wokół siebie”. I osobno trzeba wspomnieć o drugim spotkaniu tego samego 12 czerwca, tyle że po południu. W dzielnicy Zasp, którą wówczas powszechnie łączono z miejscem zamieszkania Lecha Wałęsy, powstał ołtarz do dziś zdumiewający estetyczną wizją gigantycznego statku wypływającego na morską głębię. I w tym wypadku organizatorzy wizyty z archidiecezji gdańskiej połączyli w jeden symbol tradycje Kościoła jako nawy Piotrowej, żeglowania jako symbolu wolności i morskich tradycji Gdańska. Na takiej oto scenie Janowi Pawłowi II dane było wypowiedzieć niezwykle głębokie przesłanie: „»Jeden drugiego brzemiona noście« – to zwięzłe zdanie apostoła jest inspiracją dla międzyludzkiej i społecznej solidarności. Solidarność – to znaczy: jeden i drugi, a skoro brzemię, to brzemię niesione razem, we wspólnocie. A więc nigdy: jeden przeciw drugiemu. Jedni przeciw drugim. I nigdy »brzemię« dźwigane przez człowieka samotnie. Bez pomocy drugich. Nie może być walka silniejsza od solidarności. Nie może być program walki ponad programem solidarności. Inaczej – rosną zbyt ciężkie brzemiona”. Można tylko się zastanowić, ilu z młodych ludzi, którzy niemal rok później w maju i sierpniu 1988 r. podejmą strajk przyczyniający się do kresu Polski Ludowej, słuchało tych słów, wpatrując się w owiewanego przez „Wiatr od morza” przybysza z dalekiego Rzymu.

Piotr Semka

Wtyki w ścianie – techniki inwigilacji

Do typowych środków stosowanych przez pion techniczny Służby Bezpieczeństwa (Biuro „T” MSW – technika operacyjna) należał podsłuch telefoniczny, podsłuch pokojowy, podgląd fotograficzny, perlustracja korespondencji (Biuro „W”), podgląd dokumentalno-filmowy oraz tajne przeszukanie. Oczywiście, żeby założyć odpowiednie urządzenia wykorzystywano nieobecność w lokalu jego mieszkańców lub użytkowników, czasem inspirowano remont, by czasowo pozbyć się lokatorów.

Podsłuch elektroniczny służył do zbierania informacji z użyciem technologii elektronicznych – od zwykłego podsłuchu radiowego do telefonicznego. Służba Bezpieczeństwa najczęściej i najpowszechniej obserwowała figuranta (tym mianem określano osobę śledzoną, inwigilowaną), dzięki czemu uzyskiwała informacje o jego trybie życia i znajomych. Towarzyszyło temu wykonywanie zdjęć operacyjnych. Takie działania finalizowano sporządzeniem raportu i zdefiniowaniem zaleceń co do dalszej działalności w odniesieniu do osoby śledzonej.

Cechą charakterystyczną działań operacyjnych prowadzonych przez esbeków była głęboka konspiracja. Oficjalnie agenci byli pracownikami różnych instytucji cywilnych, przebywali w tzw. lokalach konspiracyjnych, które z zewnątrz mogły wyglądać jak zwyczajne mieszkania prywatne, biura lub zakłady rzemieślnicze. Nikt z osób postronnych nie mógł odkryć ich prawdziwego przeznaczenia, dlatego prowadzono wszelkie odpowiednie działania osłonowe, zapewniano agentom odpowiednie ubrania, przeszkolenie, w razie potrzeby charakteryzację. W czasie prowadzonych działań wykorzystywano wszelkie dostępne środki techniczne – samochody, motocykle, aparaty z teleobiektywami, mikroaparaty, podsłuchy bezprzewodowe. Trzymano sprzęt w zakonspirowanych garażach. Samochody były czasem wykorzystywane jako ruchome szatnie lub punkty sygnalizacyjne (w razie potrzeby zmieniano numery rejestracyjne). Odpowiednio do „wagi politycznej” figuranta zapewniano odpowiednie natężenie środków operacyjnych, także osobowych. Wszystko było podporządkowane utrzymaniu władzy komunistów.

Paweł Janowski

7

Zablokować chłopów – Solidarność rolników

Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych „Solidarność” był pierwszym w historii Polski Ludowej związkiem zawodowym tego środowiska. Został zarejestrowany 12 maja 1981 r., jednak zanim do tego doszło, rolnicy musieli pokonać wiele przeszkód.

Wszystko zaczęło się po wydarzeniach czerwcowych w Radomiu i Ursusie w 1976 r. „Zapałnikiem” samoorganizowania się rolników było uchwalenie 27 października 1977 r. przez Sejm PRL ustawy emerytalnej, w której przyjęto niekorzystne rozwiązania dla rolników. Wtedy powstały pierwsze grupy opozycyjne: Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Lubelskiej (30 lipca 1978), Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Grójeckiej (9 września 1978), Tymczasowy Komitet Niezależnego Związku Zawodowego Rolników (10 września 1978) i Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Rzeszowskiej (12 listopada 1978). Ludzie polskiej wsi zaczęli się organizować w całym kraju, powstały pierwsze niezależne pisma skierowane do tego środowiska.

W oczywisty sposób mocny impuls do szerszego organizowania się mieszkańców wsi dały wydarzenia Sierpnia '80. Do tych działań włączyli się przedwojenni członkowie Polskiego Stronnictwa Ludowego – Stanisław Mierzwa, Franciszek Kamiński, Adam Bień (i wielu innych często mających w swych życiorysach pobyt w stalinowskich więzieniach). Rolnicy nie tylko zaczęli organizować swoje struktury, ale ponadto wspierali materialnie strajkujących robotników, dostarczając im pożywienie w czasie strajków.

Pierwsze ogólnopolskie spotkanie Komitetów Samoobrony Chłopskiej i innych zorganizowanych środowisk wiejskich odbyło się 7 września 1980 r. w Warszawie. Istniejące już organizacje przekształcono w NSZZ Rolników, sukcesywnie poszerzając szeregi o nowe grupy rolników. W październiku 1980 r. Komitet Założycielski liczył 42 osoby – przewodniczącym został Zdzisław Ostatek (tajny współpracownik SB, ps. „Karol”). Do nowego związku mogli należeć rolnicy indywidualni, chłoporobotnicy i pracownicy rolni. Jednak 19 września 1980 r. Sąd Wojewódzki w Warszawie odmówił rejestracji związku, tzw. Solidarności Chłopskiej¹⁴. Podobnie organizowały się środowiska producentów rolnych (właściciele gospodarstw specjalistycznych, ogrodnicy, sadownicy, hodowcy, ekonomiści i agronomowie). Gabriel Janowski był przywódcą Samorządnego Związku Producentów Rolnych. 2 października 1980 r. ogłoszono skład Komitetu Organizacyjnego tej niezależnej organizacji rolniczej.

Walka o rejestrację tych środowisk trwała przez następne miesiące. Komuniści starali się storpedować te działania, aby nie utracić kontroli nad kolejnymi środowiskami.

¹⁴ Faktycznie był to Chłopski Związek Zawodowy Ziemi Dobrzyńskiej i Kujaw, ale później był też nazywany Solidarnością Chłopską – przyp. wydawcy.

Lansowano tzw. kółka rolnicze jako reprezentujące w sposób wystarczający polską wieś. Cenzurowano wszelkie informacje mówiące o aktywności środowisk chłopskich. 29 października 1980 r. Sąd Wojewódzki w Warszawie odrzucił wszystkie wnioski o rejestrację (także związkowych grup regionalnych). To nie zatrzymało oddolnego samorganizowania się środowisk wiejskich. Jednak pierwsze próby zjednoczenia kończyły się niepowodzeniami. Powołano do życia Krajową Komisję Porozumiewawczą, opracowano wspólny statut, ale zjednoczenia wciąż nie było.

Zorganizowano strajk okupacyjny w Ustrzykach Dolnych – rozpoczęty 29 grudnia 1980 r. Domagano się m.in. likwidacji „państwa arłamowskiego”, tj. ośrodków wypoczynkowych, które tworzone kosztem mieszkańców. Strajk rozszerzył się na Rzeszów – przywódcą był Jan Kułaj. Dopiero otwarte poparcie dla chłopów wyrażone przez kard. Stefana Wyszyńskiego, prymasa Polski, zmusiło Lecha Wałęsę do wsparcia rolników. Z udzielonym poparciem Kościoła katolickiego rozpoczęto rozmowy na poziomie rządowym, a do strajku dołączały grupy we Włocławku, Grójcu i Świdnicy. 10 lutego 1981 r. sąd ponownie odmówił ich rejestracji – to był przełomowy moment. Chłopi zrozumieli, że muszą się zjednoczyć, aby osiągnąć zamierzone cele. 13 lutego przedstawiciele wszystkich środowisk chłopskich spotkali się w Bydgoszczy¹⁵. 20 lutego rząd podpisał porozumienie tzw. rzeszowsko-ustrzyckie. Najistotniejsze ustalenia dotyczyły: nienaruszalności własności chłopskiej, uregulowania sprawy rent i emerytur rolniczych, szkolnictwa i religii oraz relacji z państwowymi gospodarstwami rolnymi i spółdzielniami kółek rolniczych. Walka o rejestrację wciąż trwała – sfinalizowano ją dopiero 12 maja 1981 r.

Niestety, stan wojenny przerwał działania Solidarności Rolników Indywidualnych – internowano ok. 300 działaczy. Związek najpierw zawieszono, a następnie zdelegalizowano 8 października 1982 r. Mimo represji ze strony komunistów rolnicy dzięki pomocy Kościoła organizowali konspiracyjną działalność – Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników był największą podziemną strukturą. Chłopi pomagali, dostarczając żywność internowanym, więzionym oraz ich rodzinom. Związek reaktywowano dopiero w maju 1988 r., jednak nie odzyskał on już wcześniejszej siły i rozmachu.

Paweł Janowski

¹⁵ W wyniku spotkania wszystkich związków zawodowych rolników w Bydgoszczy (13 lutego 1981 r.) utworzono KKP NSZZ Rolników Indywidualnych „S”, której zadaniem było koordynowanie przygotowań do zjednoczeniowego zjazdu – przyp. wydawcy.

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

Ś

T

U

W

Z

Ż

Adam Zwierz

Jego piosenka „Gdy Polska da nam rozkaz” puszczana była do znudzenia w telewizji i radiu w pierwszych dniach stanu wojennego. Wynikało to być może z faktu, że Adam Zwierz jako częsty wykonawca piosenek na festiwalach piosenki żołnierskiej w Kołobrzegu w latach 70. był dla oficerów politycznych wzorem artysty śmiało i zdecydowanie wspierającego władzę ludową. Obdarzony niskim, tubalnym głosem – stał się symbolem grudniowego puczu.

„Gdy Polska da nam rozkaz, stanie cały naród nasz, jak zielony młody las zgłosimy się do wojska, żeby wrogom spojrzeć śmiało w twarz” – brzmiały słowa jego wojennego szlagieru. Być może w grudniu 1981 r. Adam Zwierz „patrzył wrogom śmiało w twarz”, ale po upadku komunizmu nikt nie chciał go już widzieć. Przejść do historii jako symbol stanu wojennego to żaden interes.

Piotr Semka

B E R A

H J P S

K T W M

NDY 0 AUTOBRACH

ANDRZEJ HORUBAŁA – ur. w 1962 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Od grudnia 1980 r. przewodniczący NZS Wydziału Polonistyki UW, współzałożyciel biuletynu Centrum Informacji Akademickiej NZS UW (CIA), po 13 grudnia 1981 r. – aktywny w strukturach Solidarności, współzałożyciel Akademickiego Ruchu Samoobrony (ARS), współpracownik, a później członek redakcji tygodnika MKK „Wola”, autor w „Kulturze Niezależnej”. Po 1989 r. związany z „Tygodnikiem Literackim” i magazynem „Debata”. W latach 1994–1996 szef widowisk artystycznych i rozrywkowych w TVP 1.

Pisarz, krytyk, producent telewizyjny. Autor czterech powieści i pięciu tomów szkiców krytycznych, twórca wielu popularnych programów telewizyjnych. W 1999 r. wyróżniony przez ministra kultury i sztuki Andrzeja Zakrzewskiego odznaką „Zasłużony Działacz Kultury” za aktywność w podziemnym ruchu wydawniczym i kulturalnym. W 2017 r. odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Wolności i Solidarności oraz Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

PAWEŁ JANOWSKI – ur. w 1968 r. w Połczynie-Zdroju. Historyk, teolog, publicysta. Pracował m.in. w Instytucie Leksykografii (wydawca 20-tomowej „Encyklopedii katolickiej”) i Ośrodku Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym KUL. Był szefem Działu Historii Zakonów i Zgromadzeń Zakonnych w pierwszej w historii rosyjskiej „Encyklopedii katolickiej”. Jest autorem wielu artykułów naukowych, kilku książek, ponad 300 felietonów (m.in. dla „Tygodnika Solidarność”) oraz setek haseł i publikacji o charakterze popularnonaukowym. Pisał dla „Encyklopedii katolickiej”, „Powszechnej encyklopedii filozofii”, „Encyklopedii politycznej”, „Encyklopedii Gutenberga”, „Encyklopedii »Białych Plam«”. Był także wiceprzewodniczącym komisji uczelnianej NSZZ „Solidarność” KUL, członkiem Zarządu Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność” oraz twórcą i redaktorem naczelnym miesięcznika „Czas Solidarności” – wydawanym przez Region Środkowowschodni NSZZ „Solidarność”.

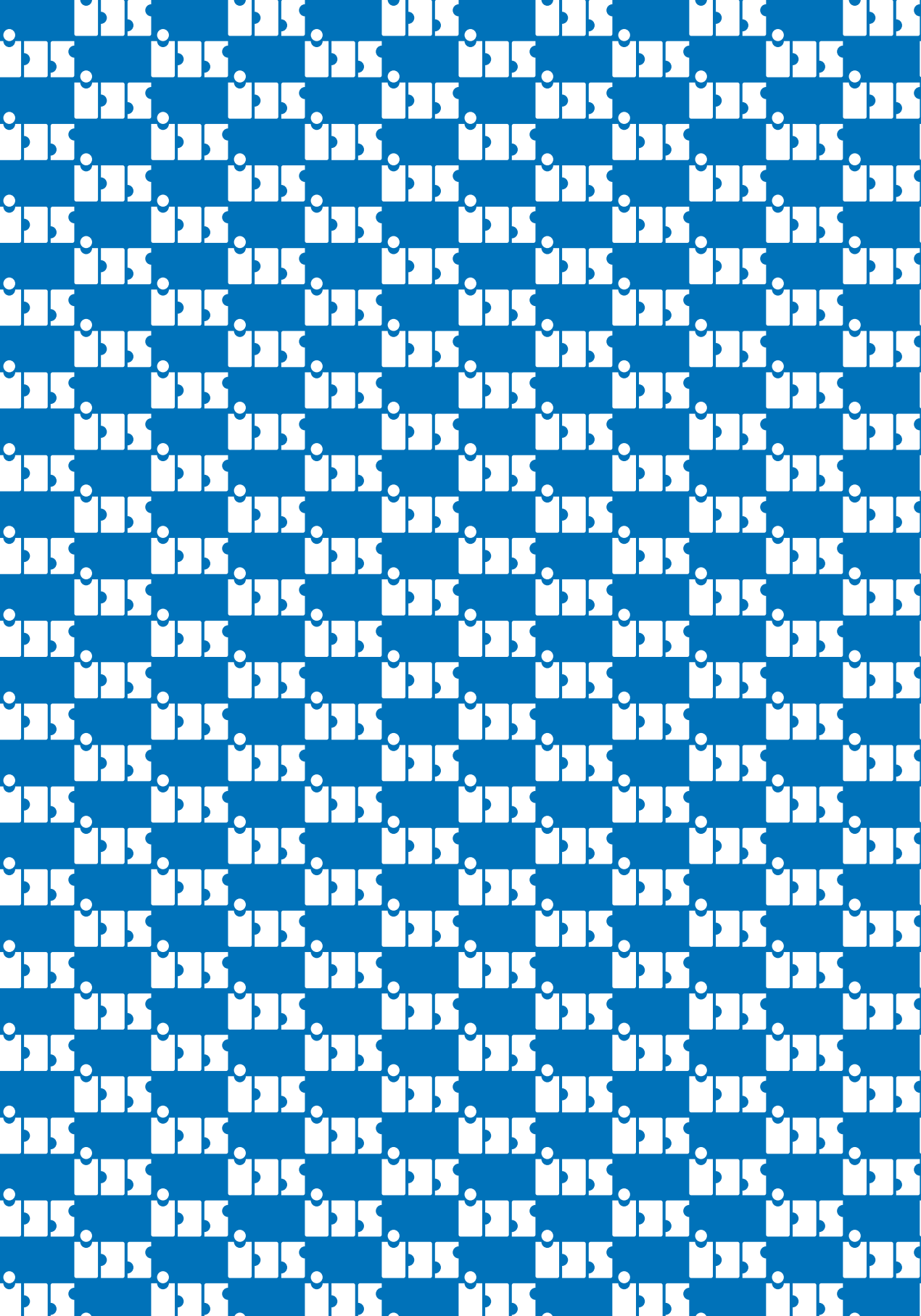
PIOTR SEMKA – ur. się w 1965 r. w Gdańsku. Historyk, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Od początku stanu wojennego zaangażowany w działalność niepodległościową i solidarnościową. Współtwórca i autor tekstów podziemnych czasopism i audycji radiowych. Członek Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Po 1989 r. zaangażowany w publicystykę prasową, a także aktywny dziennikarz telewizyjny i radiowy. Prowadził wiele audycji o charakterze społeczno-politycznym. Współautor książki „Lewy czerwcowy”, autor publikacji: „Wojna światów”, „Obrazki z wystawy”, „My, reakcja”, „Lech Kaczyński. Opowieść arcywłoska”, „Za, a nawet przeciw. Zagadka Lecha Wałęsy”.

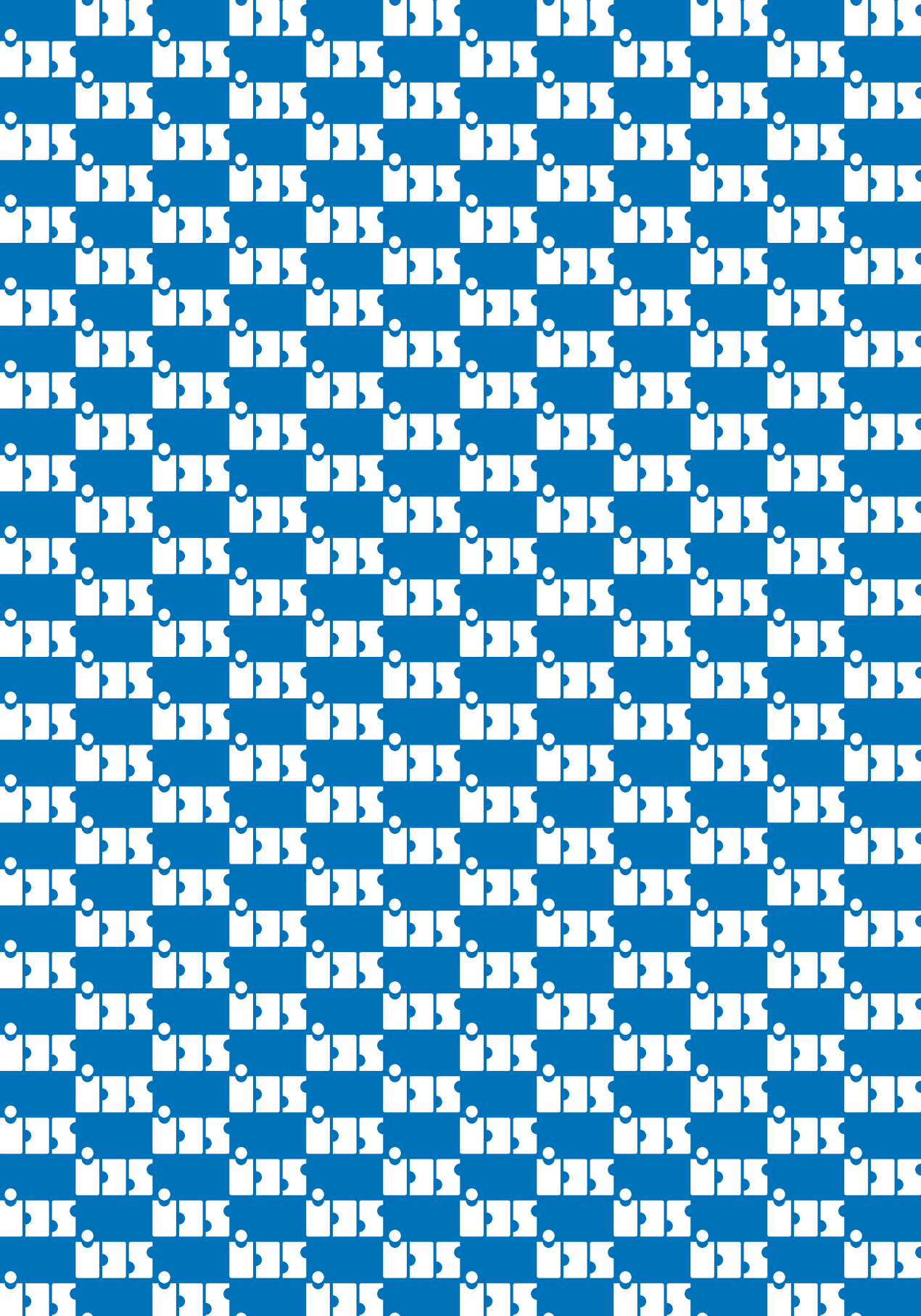
BARBARA SUŁEK-KOWALSKA – ur. w 1951 r. w Słupsku. Absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego, dziennikarka, publicystka i nauczyciel akademicki. Pracowała w tygodniku „ITD” (usunięta po weryfikacji dziennikarzy w 1982 r.), tygodniku „Zwierciadło”, podziemnej Niezależnej Agencji Informacyjnej, „Tygodniku Gdańskim”, „Tygodniku

Solidarność”, współtworzyła tygodnik „Idziemy”, gdzie w latach 2005–2020 była sekretarzem redakcji; od 2020 r. pisze dla „Tygodnika TVP”. W latach 80. współpracowała z Edmundem J. Osmańczykiem przy tworzeniu jego „Encyklopedii spraw międzynarodowych i ONZ”. W 1987 r. pomysłodawczyni pierwszej gazety parafialnej „Wiadomości Parafialne” na warszawskim Ursynowie. W latach 90. zaangażowana w ruch niezależnych gazet lokalnych. Wykładowca praktyki dziennikarskiej na Uniwersytecie Warszawskim i w katolickim Ośrodku OCIPE. Współautorka „Poradnika dla wydawców i dziennikarzy prasy lokalnej” oraz skryptu „Podstawy warsztatu dziennikarskiego”. Aktywna w dialogu chrześcijańsko-żydowskim, współtworzyła Polską Radę Chrześcijan i Żydów (1991–2013), członek Komitetu Episkopatu Polski ds. Dialogu z Judaizmem, w 2001 r. doradca premiera Jerzego Buzka.

MIROSLAW MATEUSZ WYRWICH – ur. w 1951 r. w Białogardzie. Politolog, dziennikarz, pisarz. Absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. W Solidarności od 1980 r. W 1981 r. dziennikarz działu informacyjno-związkowego „Tygodnika Solidarność” i wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej „S” w tym tygodniku. W latach 80. aktywny publicysta w podziemnych wydawnictwach, w tym dziennikarz, redaktor „Tygodnika Wojennego” i koordynator jego filii w kraju. Współzałożyciel, redaktor i dziennikarz, a także koordynator filii w latach 1985–1989 dwutygodnika „Samorządna Rzeczpospolita”. W 1989 r. uczestnik obrad Okrągłego Stołu w podzespole ds. samorządu terytorialnego. W latach 1989–1993 wicedyrektor w Urzędzie Rady Ministrów. Od 1990 r. publicysta i dziennikarz, autor telewizyjnych reportaży społeczno-historycznych, również książek z zakresu najnowszej historii Polski. Odznaczony odznaką „Zasłużony Działacz Kultury” (1999), Srebrnym Krzyżem Zasługi (2007), Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2011, nie przyjął). W 2018 r. uhonorowany Krzyżem Wolności i Solidarności, a w 2023 r. medalem Pro Patria i Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości.









EGZEMPLARZ BEZPŁATNY



9 788397 182806



KONSPIRA

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

WSPÓŁZAŁOŻYCIEL IDS



INSTYTUT
DZIEDZICTWA
SOLIDARNOSCI



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

NSZZ

Solidarność

KOMISJA KRAJOWA